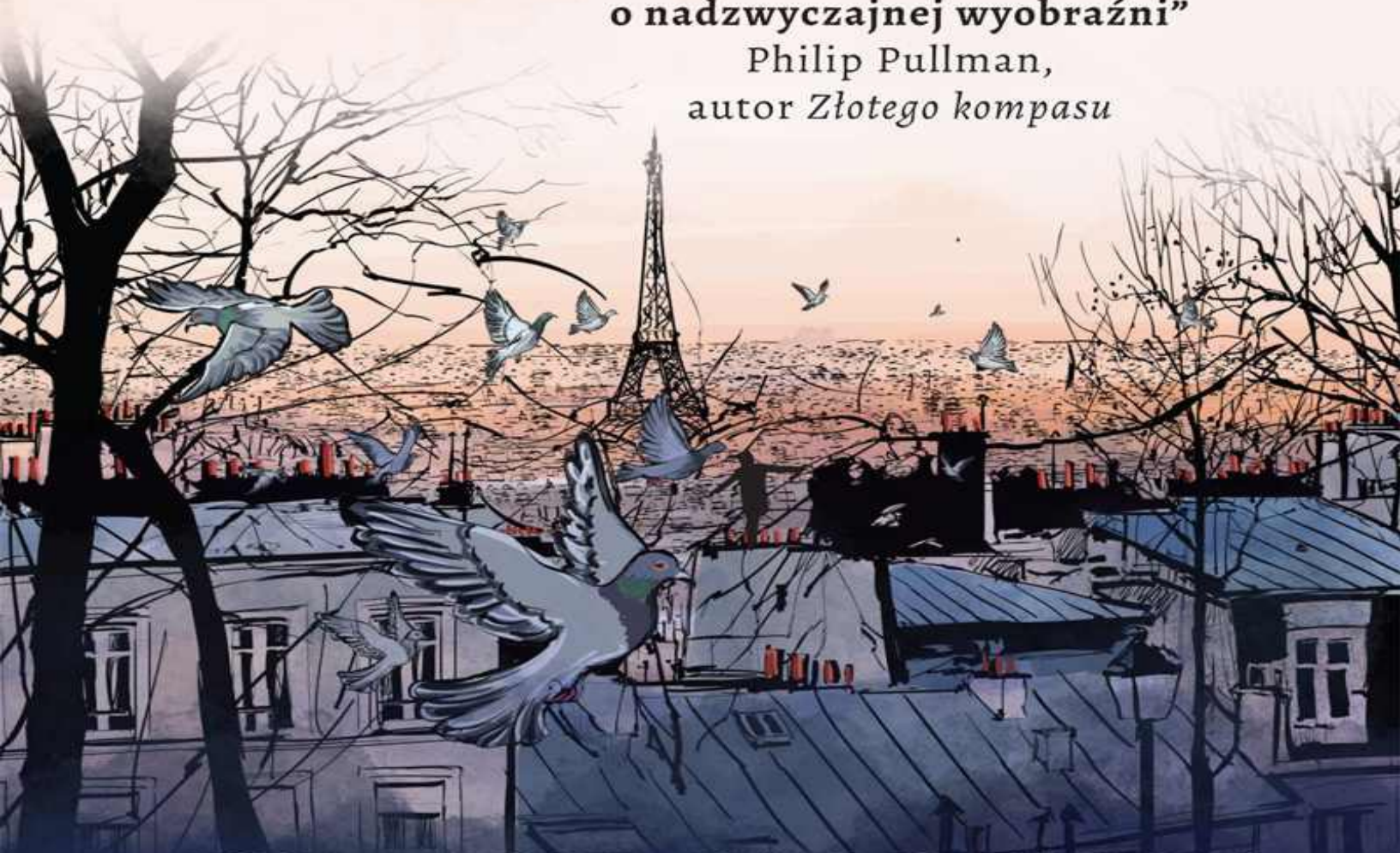


Katherine Rundell

DACHOŁAZY

„Jedyna w swoim rodzaju pisarka
o nadzwyczajnej wyobraźni”

Philip Pullman,
autor *Złotego kompasu*



NAGRODA
**Literatury
Dziecięcej
Waterstones**

NAGRODA
**Blue
Peter**

NOMINACJA DO
**Medalu
Carnegie**

NOMINACJA DO
**Nagrody
Guardiana**
za powieść dziecięcą

Katherine Rundell

DACHOŁAZY



„Magiczna opowieść” Publishers Weekly

„Cudowna, magiczna i wyjątkowa książka” Goodreads

„Zachwyca i działa jak miód na serce” Booklist

„Nadzwyczajna, niezwykła” The Guardian

Przełożył Tomasz Bieroń



Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Tytuł oryginału: ROOFTOPPERS
Przełożył: TOMASZ BIEROŃ

Projekt okładki: MARZENNA DOBROWOLSKA
Opracowanie typograficzne i skład: MARZENNA DOBROWOLSKA
Redakcja: JOANNA MORAWSKA
Korekta: MAGDALENA GERAGA

Copyright © Katherine Rundell, 2013
Copyright © for the Polish translation by Tomasz Bieroń
Copyright © for the Polish edition by Poradnia K, 2017

Wydanie I

ISBN 978-83-63960-89-6

Poradnia K sp. z o.o.
ul. Wilcza 25 lok. 6, 00-544 Warszawa
e-mail: poradniak@poradniak.pl
www: www.poradniak.pl
Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: sklep.poradniak.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Mojemu bratu, z miłością.



ROZDZIAŁ 1

Rano, w dniu jego pierwszych urodzin, znaleziono niemowlę, które unosiło się na środku kanału La Manche w futerale na wiolonczelę.

Dookoła nie było żadnej innej żywej istoty. Niemowlę, trochę krzesel z jadalni i znikający w oceanie czubek statku. Przed katastrofą w jadalni grała muzyka, tak głośna i dobra, że nikt nie zauważył zalewającej dywan wody. Smyczki jeszcze przez jakiś czas pracowały, zanim rozległy się krzyki. Czasami wrzask któregoś z pasażerów zawiązywał duet z wysokim C.

Dziecko ktoś zawiązało w partyturę symfonii Beethovena, żeby się nie wychłodziło. Odpłynęło ponad kilometr od statku i zostało uratowane jako ostatnie. Do łodzi ratunkowej wciągnął je współpasażer, z zawodu naukowiec. Zadaniem naukowca jest zauważać różne rzeczy. Ten człowiek zauważył, że ocalone dziecko to dziewczynka z włosami koloru błyskawicy i nieśmiałym uśmiechem.

Wyobraźcie sobie obdarzoną głosem noc. Albo pomyślcie, jakby to było, gdyby światło księżycy umiało mówić, czy gdyby atrament miał struny głosowe. Potem dorysujcie wąską, arystokratyczną twarz z haczykowatymi brwiami plus długie ramiona i nogi – coś takiego zobaczyło niemowlę, kiedy zostało wyjęte z futerału na wiolonczelę. Naukowiec nazywał się Charles Maxim. Kiedy trzymał dziewczynkę w swoich dużych dłoniach – na wyciągnięcie ramienia, jak przeciekającą donicę – postanowił, że mała zostanie z nim. Dziecko prawie na pewno miało rok. Wywnioskowali to z przypiętej na piersi czerwonej rozety z cyfrą „1!”.

– Jest jeszcze druga możliwość: zajęło pierwsze miejsce w jakimś konkursie – myślał głośno Charles Maxim. – Z drugiej strony niemowlęta rzadko biorą udział w konkurencjach sportowych. Przyjmiemy zatem, że niemowlę kończy rok. – Dziewczynka chwyciła go brudnymi palcami za ucho. – Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, moje dziecko – powiedział.

Charles dał niemowlęciu nie tylko urodziny, ale także imię. Wybrał Sophie już tego pierwszego dnia, bo nie było nikogo, kto mógłby się temu sprzeciwić.

– Masz za sobą dramatyczny i niezwykły dzień, moje dziecko – zwrócił się do dziewczynki. –

Chyba najlepiej będzie dać ci jak najzwyczajniejsze imię. Możesz być Mary, Betty, Sophie, a na upartego Mildred. Twój wybór.

Sophie się uśmiechnęła, kiedy powiedział „Sophie”, więc zostało Sophie. Potem zawinął ją w swój płaszcz i zabrał do domu powozem. Trochę padało, ale żadne z nich nie było tym zmartwione. Charles generalnie nie zwracał uwagi na pogodę, a Sophie zdążyła tego dnia oswoić się z wodą.

Charles nie miał wcześniej zbyt wiele do czynienia z dziećmi. Po drodze do domu wyznał Sophie:

– Niestety znacznie lepiej znam się na książkach niż na ludziach. Z książkami tak łatwo się dogadać.

Jazda powozem zajęła cztery godziny. Charles trzymał Sophie na kolanie i opowiadał jej o sobie tak, jakby właśnie się poznali na jakimś spotkaniu towarzyskim. Ma trzydzieści sześć lat i metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Do ludzi mówi po angielsku, do kotów po francusku, do ptaków po łacinie. Pewnego razu o mało się nie zabił, próbując jednocześnie czytać i jechać konno.

– Ale teraz będę ostrożniejszy, skoro mam ciebie, moja wiolonczelistko. – Dom Charlesa był piękny, ale niezbyt bezpieczny: same schody, śliskie podłogi i ostre kanty. – Kupię trochę mniejszych krzesel. I będziemy mieli puszyste, czerwone dywany! Ale właściwie jak się kupuje dywany? Wiesz coś może na ten temat, Sophie?

Sophie nie odpowiedziała, co go nie zaskoczyło: jak przystało na niemowlę, jeszcze nie mówiła, a poza tym spała.

Obudziła się na ulicy, pachnącej drzewami i końskim łajnem. Pokochała dom od pierwszego wejrzenia. Cegły były pomalowane na najjaśniejszą biel w całym Londynie i świeciły nawet w ciemnościach. Piwnica służyła do przechowywania nadmiaru książek i obrazów oraz szeregu gatunków pajaków, natomiast dach należał do ptaków. Charles mieszkał pomiędzy.

Po gorącej kąpieli koło pieca Sophie wyglądała bardzo blado i krucho. Charles nie miał świadomości, że niemowlę jest aż tak przerażająco drobne. Kiedy trzymał ją na rękach, wydawała mu się za mała. Prawie poczuł ulgę, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Ostrożnie położył Sophie na krześle, ze sztuką Szekspira w roli podkładki, i po dwa stopnie naraz poszedł na górę.

Wrócił w towarzystwie siwowłosej kobiety. *Hamlet* był trochę wilgotny, a Sophie miała zawstydzoną minę. Charles podniósł ją i włożył do zlewu, rozważywszy po drodze dwie inne możliwości: stojak na parasole w rogu i piec kaflowy. Uśmiechnął się, jego brwi i oczy też.

– Nie martw się, Sophie – powiedział. – Wszystkim zdarzają się wypadki. – Potem skinął głową w stronę kobiety. – Panie pozwolą, że je sobie przedstawię. Sophie, to jest panna Eliot, z Krajowego Urzędu Opiekuńczego. Panno Eliot, to jest Sophie, z oceanu.

Kobieta westchnęła – w uszach leżącej w zlewie dziewczynki westchnienie to zabrzmiało urzędowo – zmarszczyła brwi i wyjęła z niewielkiego pudła czyste ubrania.

– Proszę mi ją dać.

Charles wziął od niej ubrania.

– Wyłowilem to dziecko z morza, proszę pani. – Sophie patrzyła na nich dużymi oczami. – Ona nie ma nikogo, kto by się o nią troszczył. Czy mi się to podoba czy nie, ponoszę za nią odpowiedzialność.

– Nie na zawsze.

– Słucham?

– Ta dziewczynka jest pańską podopieczną, a nie córką. – Panna Eliot należała do kobiet, które znacząco podkreślają niektóre słowa. Charles był gotów postawić duże pieniądze na to, że jej ulubionym zajęciem jest komenderowanie ludźmi. – Zostanie u pana tylko tymczasowo.

– Pozwolę sobie wyrazić inne zdanie – odparł Charles. – Ale o to możemy się kłócić później. Dziecko jest zmarznięte.

Podał Sophie śpioszki, które ona wzięła do ust. Wobec tego sam jej założył ubranko. Potem dźwignął ją w ramionach, jakby próbował odgadnąć jej wagę podczas konkursu na festynie, i uważnie jej się przyjrzał.

– Widzi pani? Wygląda na bardzo inteligentne dziecko. – Zobaczył, że Sophie ma długie, zwinne palce. – I ma włosy koloru błyskawicy. Jak można jej się oprzeć?

– Będę musiała przychodzić i sprawdzać, jak ona się miewa, a nie narzekam na nadmiar czasu. Mężczyzna nie może opiekować się dzieckiem sam.

– Oczywiście, proszę przychodzić – odparł Charles, a potem dodał, jakby nie potrafił się powstrzymać: – jeśli pani koniecznie musi. Postaram się być wdzięczny. Ale to ja ponoszę odpowiedzialność za to dziecko, rozumie pani?

– Przecież to jest dziecko, a pan jest mężczyzną!

– Podziwiam pani spostrzegawczość – odrzekł Charles. – Przynosi pani chlubę swojemu optykowi.

– Ale co zamierza pan z nią robić?

Charles miał zdeorientowaną minę.

– Zamierzam ją kochać. To powinno wystarczyć, jeśli wierzyć poetom, których czytałem.

Dał Sophie czerwone jabłko, a potem zabrał je z powrotem i zaczął wycierać rękawem do momentu, kiedy mógł zobaczyć w nim swoją twarz.

– Jestem pewien – powiedział – że tajemnice opieki nad dziećmi, chociaż mroczne i zawikłane, nie są nieprzeniknione.

Posadził sobie dziewczynkę na kolanie, dał jej jabłko i zaczął czytać na głos *Sen nocy letniej*.

Nie był to może idealny sposób na rozpoczęcie nowego życia, ale zawierał w sobie spory potencjał.



ROZDZIAŁ 2

W jednym z pokoi Krajowego Urzędu Opiekuńczego w Westminsterze była szafka, a w szafce czerwona teczka z napisem „Opiekunowie: ocena charakteru”. Wewnątrz czerwonej teczki znajdowała się mniejsza, niebieska teczka z napisem „Maxim, Charles”. Po jej otwarciu można było przeczytać następujące słowa: „C.P. Maxim jest czytany, jak można się spodziewać po naukowcu, a ponadto hojny, niezdarny i przedsiębiorczy. Jest ponadprzeciętnie wysoki, ale z zaświadczeń lekarskich wynika, że poza tym jego zdrowiu nic nie dolega. Żywi uparte przekonanie, że potrafi się zajmować swoją podopieczną”.

Być może takie rzeczy są zaraźliwe, ponieważ Sophie wyrosła na osobę wysoką, hojną, czytającą i niezdarną. Jako siedmiolatka miała długie i cienkie jak parasolki nogi i dorobiła się całej kolekcji upartych przekonań.

Na siódme urodziny Charles upiekł jej ciasto czekoladowe. Przedsięwzięcie to nie zakończyło się pełnym sukcesem, ponieważ ciasto opadło na środku, ale Sophie lojalnie oznajmiła, że takie najbardziej lubi.

– Dzięki temu dołkowi jest więcej miejsca na lukier. Lubię, żeby lukier był ekstragancki.

– Miło to słyszeć – zauważył Charles – chociaż moim zdaniem słowo to tradycyjnie wymawia się: ekstrawagancki. Wszystkiego najlepszego z okazji prawdopodobnie siódmych urodzin, serduszko. Co byś powiedziała na odrobinę urodzinowego Szekspira?

Sophie miała zwyczaj rozbijać talerze, toteż jedli ciasto z przedniej okładki *Snu nocy letniej*. Teraz Charles wytarł książkę rękawem i otworzył mniej więcej na środku.

– Poczytasz mi trochę Tytanii?

Sophie się skrzywiła.

– Wolalabym być Pukiem.

Przeczytała kilka linijek, ale szło jej to bardzo mozolnie. Kiedy Charles nie patrzył, upuściła książkę na podłogę i stanęła na niej na rękach.

Charles się roześmiał.

– Bravo! – zawołał, uderzając dłonią o blat. – Byłabyś doskonałym materiałem na elfa.

Sophie przewróciła się na stół kuchenny, wstała i powtórzyła ćwiczenie pod drzwiami.

– Świetnie! Wychodzi ci to coraz lepiej, prawie idealnie.

– Tylko prawie? – Zachwiała się i zmrużonymi oczami spojrzała na niego z głową w dół. Gałki oczne zaczęły jej płonąć, ale wytrzymała. – Nogi mam wyprostowane?

– Prawie. Lewe kolano wygląda trochę niepewnie. Ale żaden człowiek nie jest doskonały. W każdym razie od czasów Szekspira.

Sophie zastanawiała się nad tym później, w łóżku. Charles powiedział, że żaden człowiek nie jest doskonały, ale nie miał racji. On sam był doskonały. Miał włosy w kolorze słupka balustrady schodów, a w oczach magię. Dom i wszystkie ubrania odziedziczył po ojcu. Kiedyś były to piękne, powalające i modne stroje w stu procentach z jedwabiu, a teraz zostało z nich pięćdziesiąt procent jedwabiu i pięćdziesiąt procent dziur. Charles nie miał żadnego instrumentu muzycznego, ale śpiewał Sophie piosenki, a kiedy jej nie było, śpiewał ptakom i stonogom, które od czasu do czasu urządzały najazd na kuchnię. Śpiewał jak z nut, wydawało się, że jego głos szybuje.

Czasami Sophie nachodziło w środku nocy wspomnienie o tonącym statku i ogarniała ją wtedy rozpaczliwa potrzeba, żeby się na coś wspiąć. Tylko w ten sposób mogła się poczuć bezpieczna. Charles pozwalał jej spać na szafie, a sam na wszelki wypadek kładł się na podłodze, tuż obok.

Sophie nie całkiem go rozumiała. Mało jadł, rzadko sypiał i nie uśmiechał się tak często jak inni ludzie. Ale tam, gdzie inni mieli płuca, on miał życzliwość, a uprzejmość skapywała mu z palców. Jeśli szedł ulicą i czytał książkę, skutkiem czego wpadł na latarnię, przepraszał i sprawdzał, czy latarni nic się nie stało.

Raz w tygodniu przed południem przychodziła panna Eliot, „żeby rozwiązać problemy”. Sophie miała ochotę spytać: „Jakie problemy?”, ale szybko się nauczyła trzymać język za zębami. Panna Eliot rozglądała się po domu, zauważała łuszczącą się farbę i pajęczyny w pustej spiżarni, po czym kręciła głową.

– Co wy tutaj jecie?

To prawda, że w ich domu jedzenie było ciekawsze niż w domach kolegów i koleżanek Sophie. Czasami Charles przez wiele miesięcy zapominał o mięsie. Czyste talerze pękały, kiedy w pobliżu pojawiła się Sophie, więc Charles podawał opiekane ziemniaki na atlasach świata, otwartych na mapie Węgier. On sam chętnie żywiłby się ciastkami i herbatą, plus whisky na noc. Odkąd Sophie nauczyła się czytać, trzymał whisky w butelce z napisem „koci mocz”, żeby Sophie się do niej nie dobrała, ale ona odkorkowała butelkę i wypila łyk, a potem powąchała podbrzusze kota sąsiadów. Zapachy były do siebie zupełnie niepodobne, chociaż tak samo nieprzyjemne.

– Jemy chleb – odparła Sophie. – I konserwy rybne.

– Jecie co? – zdziwiła się panna Eliot.

– Lubię konserwy rybne – powiedziała Sophie. – I jemy szynkę.

– Doprawdy? Nie widziałam w tym domu ani jednego plasterka szynki.

– Codziennie! A na pewno od czasu do czasu – dodała, ponieważ była prawdomówna, co nie

zawsze wychodziło jej na zdrowie. – I ser. I jabłka. Piję pół litra mleka na śniadanie.

– Jak pan Maxim może pozwolić ci tak żyć? To nie może być dobre dla dziecka. To nie w porządku.

W rzeczywistości radzili sobie doskonale, ale panna Eliot miała kłopoty ze zrozumieniem pewnej rzeczy. Słowa „to nie w porządku” Sophie zinterpretowała w ten sposób, że panna Eliot nie lubi bałaganu, ale dziewczynka uważała, że porządek nie jest niezbędny do szczęścia.

– Chodzi o to, panno Eliot – powiedziała – że mam twarz, która nigdy nie wygląda porządnie. Charles mówi, że mam bałagan w oczach. To z powodu tych cętek.

Miała delikatną, jasną cerę i na mrozie wyskakiwały jej czerwone plamy, a włosy zawsze, odkąd pamiętała, były potargane. Nie przeszkadzało jej to jednak, bo takie same włosy i cerę zapamiętała u matki, a matka była piękna, co do tego Sophie nie miała żadnych wątpliwości. Matka na pewno pachniała chłodnym powietrzem i sadzą, i nosiła spodnie z nogawkami, ściąganyimi w kostce.

Chyba właśnie od spodni zaczęły się kłopoty. Jakiś czas przed ósmymi urodzinami Sophie poprosiła Charlesa o spodnie.

– Spodnie? Kobiety rzadko chodzą w spodniach.

– Nieprawda, moja matka nosi spodnie.

– Nosiła, moje dziecko.

– Nosi. Czarne. Ale ja chciałabym czerwone.

– Hm. Nie wolałabyś spódnicy? – zapytał ze zmartwioną miną.

– Nie – skrzywiła się – naprawdę chciałabym spodnie. Proszę cię.

W sklepach nie było spodni, które by na nią pasowały, tylko czarne szorty dla chłopców, na widok których Charles zawołał:

– Wielkie nieba! Wyglądasz w nich jak lekcja matematyki!

Ostatecznie sam uszył z jasnej bawełny cztery pary i dał je Sophie zawinięte w gazetę. Któraś para miała jedną nogawkę dłuższą od drugiej. Dziewczynka była zachwycona, panna Eliot wstrząśnięta.

– Dziewczyny nie chodzą w spodniach.

Sophie upierała się jednak, że chodzą.

– Moja mama nosiła spodnie. Wiem to na pewno. Tańczyła w nich, kiedy grała na wiolonczeli.

– To niemożliwe – powiedziała panna Eliot. – Kobiety nie grają na wiolonczeli, Sophie, a ty byłaś o wiele za mała, żeby to pamiętać. Musisz się postarać być bardziej prawdomówna.

– Kiedy to prawda. Spodnie były czarne i szarawe na kolanach. I chodziła w czarnych butach. Pamiętam.

– Zmyśliłaś to sobie, moja droga.

Uwaga panny Eliot zabrzmiała jak zatrzaśnięcie okna.

– Słowo daję, że nie zmyśliłam.

– Sophie...

– Nie zmyśliłam!

Sophie nie dodała: „Ty stara ropucho z kartoflowatą twarzą!”, chociaż miała na to wielką ochotę. Problem polegał na tym, że ktoś, kto dorastał u boku Charlesa, musiał być uprzejmy do szpiku kości. Nieuprzejmość byłaby dla Sophie jak chodzenie w brudnej bieliźnie, ale miała kłopoty z uprzejmością, kiedy ludzie mówili o jej matce. Byli absolutnie przekonani, że ona to wszystko zmyśla, a ona była absolutnie przekonana, że się mylą.

– Masz oczy jak łebki od szpilek! – szepnęła. – Wiedźma! Naprawdę pamiętam mamę.

Poczuła się trochę lepiej.

Sophie rzeczywiście pamiętała matkę, ostro i wyraźnie. Ojca nie pamiętała, ale miała przed oczami gęste włosy i okryte płótnem nogi, które podskakiwały do rytmu cudownej muzyki, co nie byłoby możliwe, gdyby właścicielka tych nóg miała na sobie spódnice.

Sophie była również pewna, że bardzo wyraźnie pamięta widok matki, która leży na unoszących się na wodach kanału La Manche drzwiach.

Wszyscy mówili: „Niemowlę jest za małe, żeby pamiętać”. Mówili: „Wmawiasz to sobie, bo chciałybyś, żeby tak było”. Miała dosyć słuchania tego wszystkiego. Pamiętała, że widziała matkę, jak macha o pomoc. Słyszała, jak matka gwizdże. Gwizd jest bardzo charakterystyczny. Wbrew temu, co mówiła policja, Sophie wiedziała zatem, że jej matka nie poszła na dno razem ze statkiem. Była o tym uparcie przekonana.

Każdego wieczoru szeptała do siebie w ciemnościach:

– Moja matka żyje i kiedyś po mnie przyjedzie.

– Przyjedzie po mnie – mówiła do Charlesa.

Kręcił głową.

– To prawie niemożliwe, serduszko.

– Prawie niemożliwe znaczy możliwe. – Sophie starała się prostować plecy i brzmieć dorośle. Ludzie bardziej ci wierzą, jeśli jesteś wyższa. – Zawsze powtarzasz, żeby nigdy nie przekreślać możliwego.

– Ale, moje dziecko, to jest tak wysoce nieprawdopodobne, że nie warto budować na tym życia. To tak, jakbyś próbowała zbudować dom na grzbiecie ważki.

– Przyjedzie po mnie – zwróciła się Sophie do panny Eliot.

Panna Eliot była bardziej brutalna.

– Twoja matka nie żyje – powiedziała. – Żadna kobieta nie przeżyła. Nie możesz ulegać takim mrzonkom.

Dorośli obecni w życiu Sophie czasami mieli kłopoty z odróżnieniem „mrzonek” od „szczerzej prawdy, w którą trudno uwierzyć”. Sophie poczuła, że się czerwieni.

– Ona po mnie przyjedzie – powtórzyła. – Albo ja pojedę do niej.

– Nie, Sophie. Świat tak nie działa.

Panna Eliot była pewna, że dziewczynka jest w błędzie, ale panna Eliot była również pewna, że haft krzyżykowy to niezbędna umiejętność życiowa oraz że Charles jest niemożliwy, a to dowodziło, że dorośli nie zawsze mają rację.

Pewnego dnia Sophie znalazła trochę czerwonej farby i namalowała na białej ścianie domu nazwę statku – Queen Mary – i datę sztormu na wypadek, gdyby jej matka tamtędy przechodziła.

Kiedy Charles ją na tym zastał, miał zbyt skomplikowaną minę, żeby Sophie potrafiła ją

odczytać, ale pomógł jej namalować górne partie liter i umyć potem pędzle.

- To przypadek „na wszelki wypadek” – wyjaśnił pannie Eliot.
- Przecież ona...
- ...postępuje zgodnie z tym, co jej powiedziałem.
- Powiedział jej pan, żeby zdewastowała własny dom?
- Nie. Powiedziałem jej, żeby nie przekreślała tego, co jest w życiu możliwe.



ROZDZIAŁ 3

Panna Eliot nie akceptowała Charlesa ani Sophie. Nie lubiła jego rozrzutności ani tego, że ciągle spóźniał się na kolację.

Nie lubiła wyrazu zapatrzenia i zasłuchania na twarzy Sophie.

– To nienaturalne u małej dziewczynki!

Nie znosiła zwyczaju pisania sobie wiadomości na tapecie w przedpokoju.

– To nie jest normalne! – powiedziała, zapisując coś w notesie. – To nie jest zdrowe!

– Wręcz przeciwnie – zaprotestował Charles. – Im więcej słów w domu, tym lepiej, panno Eliot.

Panna Eliot nie lubiła również poplamionych atramentem dłoni Charlesa i jego wystrzępionego kapelusza. Nie akceptowała ubrań Sophie.

Charles nie był dobry w robieniu zakupów. Przez cały dzień stał zdezorientowany na środku Bond Street i wracał z pakunkiem pełnym chłopięcych koszul. Panna Eliot dostawała szału.

– Nie może pan jej pozwolić w tym chodzić. Ludzie pomyślą, że jest pomyłona.

Sophie spojrzała na koszulę, którą wcześniej włożyła, i dotknęła materiału. Zupełnie normalny, może trochę sztywny, bo świeżo ze sklepu, ale poza tym nic mu nie dolega.

– Po czym poznać, że to nie jest dziewczęca koszula? – spytała.

– Chłopięce koszule zapinają się z lewej na prawo, a bluzki, podkreślam: bluzki, z prawej na lewo. Jestem wstrząśnięta, że o tym nie wiesz.

Charles odłożył gazetę, za którą wcześniej się schował.

– Jest pani wstrząśnięta, że ona nie wie czegoś o guzikach? Guziki rzadko odgrywają kluczową rolę w sprawach międzynarodowych.

– Słucham?

– Chodziło mi o to, że ona wie o rzeczach ważnych. Oczywiście nie o wszystkich, bo jest

jeszcze dzieckiem, ale o wielu.

Panna Eliot prychnęła.

– Pan wybaczy, może jestem staroświecka, ale moim zdaniem guziki mają znaczenie.

– Sophie zna stolice wszystkich krajów świata – przypomniał sobie Charles.

Sophie, która stała w drzwiach, szepnęła:

– Prawie.

– Umie czytać i rysować. Zna różnicę między żółwiem morskim a lądowym. Rozróżnia gatunki drzew i umie się na nie wspinać. Dzisiaj rano powiedziała mi, jak się mówi na grupę ropuch.

– Tabun – wyjaśniła Sophie. – Tabun ropuch.

– I umie gwizdać. Tylko wybitnie nieinteligentna osoba nie zauważy, że gwizdanie Sophie jest wyjątkowe. Wybitnie nieinteligentna albo głucha.

Równie dobrze mógł się w ogóle nie odzywać. Panna Eliot skwitowała jego słowa machnięciem ręki.

– Sophie będzie potrzebowała nowych koszul. Błagam pana, panie Maxim, damskich koszul. I, mój Boże, te spodnie!

Sophie nie dostrzegła problemu. Spodnie traktowała jak spódnice, do których coś doszyto.

– Potrzebuję ich – powiedziała. – Proszę, niech mi pani ich nie zabiera. W spódnicy nie można się wspinać. A właściwie można, ale wtedy wszyscy zobaczą majtki, co przecież byłoby gorsze.

Panna Eliot zmarszczyła brwi. Nie należała do osób, które by się przyznały do noszenia spodni.

– Na razie ci odpuszczę. Jesteś jeszcze dzieckiem, ale to nie może trwać wiecznie.

– Co? Czemu? – Sophie dotknęła palcami regału, na szczęście. – Może, dlaczego miałyby nie móc?

– Absolutnie nie może. Anglia nie jest miejscem dla kobiet bez ogłady.

Najbardziej ze wszystkiego panna Eliot nie lubiła u Charlesa zwyczaju zabierania Sophie na niezapowiedziane wyprawy.

– Londyn jest brudny – mówiła. – Sophie nabawi się zarazków i złych nawyków.

W dniu przypuszczalnie dziewiątych urodzin Sophie, Charles postawił ją na krześle i wypolerował jej buty, kiedy ona w jednej ręce trzymała tost, a w drugiej książkę. Strony przewracała zębami. Na papierze zostawały okruszki i ślina, ale poza tym było to zadowalające rozwiązanie.

Wybierali się na koncert i byli już prawie gotowi do wyjścia z domu, kiedy do środka wtargnęła panna Eliot.

– Ona nie może wyjść z domu w tym stanie! Jest cała upačkana! Nie garb się, Sophie.

Charles z zainteresowaniem spojrział na czubek głowy Sophie.

– Doprawdy?

– Panie Maxim! – warknęła panna Eliot. – Dziewczyna ma całą bluzkę w dzemie!

– To prawda. – Spojrział na pannę Eliot z uprzejmym zdziwieniem. – Jakie to ma znaczenie?

Jednak kiedy zobaczył, że panna Eliot sięga po notes, wziął do ręki ścierkę i wytarł nią Sophie

tak delikatnie, jakby była obrazem.

Panna Eliot prychnęła.

– Jeszcze na rękawie.

– Resztę spłucze deszcz. Dzisiaj są jej urodziny.

– Higiena obowiązuje nawet w urodziny! Nie zabiera jej pan do zoo.

– Rozumiem. Wolałaby pani, żebym zabrał ją do zoo. – Przechylił głowę na bok. Przypominał Sophie wyjątkowo dobrze wychowaną panterę. – Może nie jest jeszcze za późno, żeby oddać bilety.

– Nie to miałam na myśli! Ona narobi panu wstydu. Ja bym się wstydziła z nią pokazywać.

Charles spojrział na pannę Eliot, która spuściła wzrok jako pierwsza.

– Ma błyszczące buty i błyszczące oczy – powiedział. – Tak jest dostatecznie elegancko. – Wręczył Sophie bilety. – Wszystkiego najlepszego, moje dziecko.

Pocałował ją w czoło – coroczny pocałunek urodzinowy – i pomógł zejść z krzesła.

Sophie wiedziała, że istnieje wiele sposobów na pomaganie ludziom w schodzeniu z krzesel. Każdy z tych sposobów wiele mówi o osobie, która to robi. Na przykład panna Eliot trąciłaby ją drewnianą łyżką. Charles zrobił to ostrożnie, chwycił Sophie za koniuszki palców, jakby ze sobą tańczyli. Kiedy szli ulicą, cały czas gwizdał partię smyczkową z *Così fan tutte*.

– Muzyka, Sophie! Muzyka jest szalona i wspaniała.

– Tak! – Charles utrzymywał urodzinowe plany w tajemnicy, ale jego podniecenie było zaraźliwe. Sophie podskakiwała u jego boku. – Co to będzie za muzyka?

– Klasyczna. – Twarz jaśniała mu ze szczęścia, a koniuszki palców podrygiwały. – Inteligentna i skomplikowana.

– Aha. To... świetnie. – Sophie nie miała zbytnej wprawy w kłamaniu. – Wspaniale...

W rzeczywistości wolałaby iść do zoo. Prawie w ogóle nie słuchała muzyki klasycznej i najchętniej by tego nie zmieniała. Lubiła pieśni ludowe i muzykę, do której można tańczyć. Podejrzewała, że bardzo niewiele świeżo upieczonych dziewięciolatek mogłoby w całkowitej zgodzie z prawdą powiedzieć, że lubią muzykę klasyczną.

Dla Sophie koncert nie zaczął się obiecująco. Utwór fortepianowy był długi. Pianista miał wąsy i robił miny, jakie kojarzyła z ludźmi bardzo nerwowymi.

– Charles? – Zerknęła na niego i zobaczyła, że siedzi cały zasłuchany z półprzymkniętymi oczami i błogim wyrazem twarzy. – Charles?

– Tak, Sophie? Staraj się mówić szeptem.

– Jak długo to potrwa? To znaczy nie chodzi mi o to, że nie jest wspaniale. – Trzymała kciuki za plecami. – Po prostu chciałabym wiedzieć.

– Niestety tylko godzinę, moje dziecko. Mógłbym zamieszkać w tym fotelu, a ty?

– Godzinę?!

Próbowała siedzieć spokojnie, ale było to trudne. Ssała koniec warkocza. Zwijała i rozwijała palce u nóg. Postanowiła, że nie będzie obgryzała paznokcia kciuka, ale nie umiała się powstrzymać. Znajdowała się już na pograniczu snu, kiedy na scenę weszło trzech skrzypków w towarzystwie wiolonczelisty i wiolisty.

Rozbrzmiały zupełnie inne utwory, przyjemniejsze i bardziej żywiołowe. Sophie usiadła

normalnie i przesunęła się do przodu, aż w końcu miała fotel tylko pod centymetrem pupy. Muzyka była taka piękna, że Sophie zapało dech. Jeżeli muzyka może świecić, to ta świeci, pomyślała. Tak jakby wszystkie głosy ze wszystkich chórów w mieście połączyły się w jedną melodię, która przenikała aż do serca.

– To brzmi jak osiem tysięcy ptaków! Charles, czy to nie brzmi jak osiem tysięcy ptaków?

– Tak! Ale ciii, Sophie.

Melodia przyspieszyła, jednak puls Sophie dotrzymywał jej tempa. Brzmiała zarówno znajomo, jak i nowo. Szarpała Sophie za palce i stopy.

Nogi Sophie zrobiły się niespokojne. Uklękła w fotelu. Po chwili zaryzykowała szepnięcie:

– Charles! Posłuchaj! Wiolonczela śpiewa, Charles!

Kiedy muzyka ucichła, Sophie klaskała jeszcze po tym, jak reszta publiczności przestała bić brawo, a ona miała rozgrzane i zaczerwienione ręce. Klaskała do momentu, kiedy wszyscy zaczęli się gapić na dziewczynkę z włosami w kolorze błyskawicy i podartych rajstopach, dziewczynkę, której oczy i buty rozświetlały cały drugi rząd.

Sophie dosłuchała się w tej muzyce czegoś znajomego.

– Jest jak dom – powiedziała do Charlesa. – Rozumiesz mnie? Jak świeże powietrze.

– Naprawdę? W takim razie musimy ci kupić wiolonczelę.

Wiolonczela była mała, ale i tak za duża, żeby wygodnie się na niej grało w sypialni. Charles odblokował świetlik na strychu i jeśli nie padało, Sophie wychodziła na dach i grała na wiolonczeli pośród zgniłych liści i gołębi.

Kiedy granie szło dobrze, świat pozbywał się wszystkich zmartwień i trosk, jaśniał pięknym blaskiem. Po paru godzinach muzykowania Sophie przeciągała się, mrugała powiekami i odkładała smyczek, czując się silniejsza i odważniejsza. Jakby zjadła bitą śmietanę ze światłem księżycowym, ale kiedy instrument stawiał opór, ćwiczenie przypominało uciążliwy obowiązek, na przykład mycie zębów. Sophie wyliczyła, że dobrych i złych dni jest mniej więcej po równo. Uznała, że warto.

Na szarym dachu nikt jej nie przeszkadzał. Wokół dachu biegła kamienna balustrada, która sięgała Sophie do brody. Z dołu ludzie mogli zobaczyć tylko jasną czuprynę i przesuwający się z boku na bok łokieć.

– Kocham niebo.

Sophie powiedziała to bez zastanowienia któregoś wieczoru przy kolacji. Ugryzła się w język. Jej koleżanki się śmiały, kiedy ktoś tak mówił.

Ale Charles położył sobie kawałek pasztecika z wieprzowiną na Biblii i skinął głową.

– Cieszę się – odparł. Nałożył trochę musztardy i podał książkę Sophie. – Tylko kiepscy myśliciele nie kochają nieba.

Niedługo po tym, jak nauczyła się chodzić, Sophie umiała się już wspinać. Zaczęła od drzew, najszybszej drogi do nieba. Charles jej w tym towarzyszył. Nie należał do mężczyzn, którzy ciągle by powtarzali: „Nie, nie rób tego, trzymaj się mocniej!”. Stał pod drzewem i krzychał:

– Wyżej, Sophie! Tak, brawo! Wypatruj ptaków! Ptaki wyglądają cudownie od dołu!



ROZDZIAŁ 4

Pierwszy futerał na wiolonczelę, tratwę ratunkową Sophie, trzymali obok jej łóżka. Na jedenaste urodziny Sophie Charles starł pleśń i kupił trochę farby.

– Jaki kolor? – zapytał wcześniej.

– Czerwony. Czerwony jest przeciwieństwem morskich kolorów.

Sophie miała trudności z pokochaniem morza.

Charles pomalował futerał na najjaśniejszy czerwony kolor, jaki udało mu się znaleźć, i założył kłódkę. Sophie trzymała w środku cenne rzeczy i nocne przekąski. Otwierała futerał tylko w sytuacjach, kiedy zgłodniała albo przyśnił jej się kolejny mroczny morski koszmar.

Gdyby wiedziała, jak ważny okaże się futerał na wiolonczelę, przypuszczalnie nie trzymałaby w nim miodu, któremu zawsze udaje się wyciec. Ale nie wiedziała.

– To niemożliwe – powtarzał często Charles – żeby wiedzieć wszystko.

Ostrzegał ją, żeby nie myślała zbyt wiele o futerale.

– Pilnuj się, żebyś ceniła w życiu odpowiednie rzeczy – doradzał. – Nie mamy pewności, czy zgodnie z prawem ten futerał należy do ciebie. Ktoś może się o niego upomnieć.

– Tak, wiem! – Uśmiechnęła się radośnie. – Na pewno ktoś się o niego upomni. Moja mama. Kiedy przyjedzie.

Sophie splunęła na dłoń i zacisnęła kciuki na szczęście. To był odruch: każdego wieczoru robiła tak ze sto razy.

– Nie wiadomo, czy futerał należał do twojej mamy. Może go komuś zabrała, kiedy statek zaczął tonąć. Kobiety bardzo rzadko grają na wiolonczeli, Sophie. Właściwie to nigdy nie słyszałem o kobiecie, grającej na wiolonczeli. Bardziej typowym instrumentem dla kobiety są skrzypce.

– Nie, to była wiolonczela – odparła Sophie. – Wiem to na pewno. Pamiętam. Pamiętam jej palce na smyczku.

Charles uprzejmie skłonił głowę, tak jak zawsze robił, kiedy się z nią nie zgadzał.

– Dobrze pamiętam ten statek, Sophie. Pamiętam orkiestrę. Ale nie pamiętam żadnych kobiet z wiolonczelami.

– Ja pamiętam.

– Nie, Sophie. Orkiestra składała się z mężczyzn z wąsami i wypomadowanymi włosami.

– Kiedy ja to pamiętam! Naprawdę!

– Wiem. – Twarz Charlesa posmutniała, więc Sophie spuściła wzrok na swoje stopy. – Ale byłaś wtedy niemowlęciem, serduszek.

– To nie znaczy, że nie pamiętam. Widziałam ją, Charles, naprawdę. Pamiętam wiolonczelę. – Argumenty zawsze były takie same. Co zrobić, żeby ludzie uwierzyli? To żmudne i mozolne zadanie. – Widziałam ją, jak unosi się na wodzie. Naprawdę!

Zacisnęła dłonie w pięści. Gdyby go tak bardzo nie kochała, to by go opluła.

– Ale ja jej nie widziałem, moje dziecko. Ja też tam byłem. – Westchnął tak głęboko, że oddech niemal zmarszczył zasłony. – Wiem, że to dla ciebie ciężkie, Sophie. Życie jest takie ciężkie. Boże drogi, życie to najcięższa rzecz na świecie! Ludzie powinni częściej o tym wspominać.

Prawie każdego wieczoru Sophie urządzała wypatrywanie matki. Gasiła świecę, siadała na parapecie, machała nogami i patrzyła na przechodzące ulicą matki. Najlepsze miały radosne twarze. Niektóre niosły na rękach śpiące dzieci, pulchne niemowlęta i oseski z nogami sterczącymi pod dziwnymi kątami. Czasami śpiewały, kiedy przechodziły pod fikającymi stopami Sophie.

Tego wieczoru Sophie wyjęła trzymany pod poduszką szkicownik w skórzanej oprawie. Wyciągała go w każde urodziny.

Ołówek był kiepsko zastrugany, próbowała zaostrzyć go zębami. Potem zamknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć. Narysowała czarne spodnie, wytarte na kolanie („wytarte na kolanie” zaskakująco trudno jest narysować, ale starała się jak mogła), a nad nimi tułów i głowę kobiety. Potem dodała włosy. Nie miała kolorowych kredek, więc obgryzła paznokcie do krwi i pomalowała nią włosy na czerwono. Potem znieruchomiła z ołówkiem nad narysowaną twarzą.

– Ach – szepnęła. – Pomyśl. Proszę cię.

Przypominała sobie jednak tylko rozmazaną plamę. W końcu narysowała drzewo na wietrze, a potem potargane, rozwiane włosy.

Matki to coś potrzebnego jak powietrze i woda, pomyślała. Nawet papierowe, wyimaginowane matki są lepsze niż nic. Matka to miejsce, gdzie można odłożyć serce. Przystanek, na którym można odzyskać oddech.

Sophie napisała pod obrazkiem „Moja matka”. Korzystając z tego, że palec krwawił, narysowała kwiatek za uchem kobiety i pokolorowała go na czerwono.

Każdego wieczoru przed pójściem spać opowiadała sobie historie, w których matka wracała, żeby ją znaleźć. Były długie i trudne do przypomnienia sobie rano, ale kończyły się tańcem. Matka zawsze kojarzyła się jej z tańcem.



ROZDZIAŁ 5

Zanim nadeszły dwunaste urodziny, Sophie prawie przestała rozbijać talerze, dzięki czemu książki mogły wrócić z kuchni do gabinetu. Charles zawołał ją do tego pokoju, żeby dać jej prezent. Na biurku stała owinięta w gazetę kwadratowa wieża.

– Co to jest?

Prezent miał rozmiary szafki łazienkowej i nawet w przypadku kogoś tak nietypowego jak Charles, wydawał się dziwny.

– Otwórz.

Sophie rozpakowała prezent z papieru.

– Och!

Zaparło jej dech w piersi, kiedy ujrzała stos książek. Każda miała innego koloru skórzaną oprawę. Skóra świeciła, mimo że na zewnątrz było szaro.

– Jest ich dwanaście. Jedna na każdy rok.

– Są piękne. Ale czy nie były potwornie drogie?

Odniosła wrażenie, że okazałyby się ciepłe, gdyby ich dotknęła. Taka skóra nie kosztuje mało. Charles wzruszył ramionami.

– Dwanaście lat to odpowiedni wiek, żeby zacząć kolekcjonować piękne rzeczy. Każda z nich była moją ulubioną książką.

– Dziękuję ci! Dziękuję.

– To, co przeczytasz w twoim wieku, zostanie w tobie. Książki są łomem, którym wyważysz drzwi świata.

– Są przepiękne.

Sophie obracała je w dłoniach. Wąchała od środka. Papier pachniał jeżynami i blaszaną puszką.

– Cieszę się, że tak myślisz. Ale jeśli będziesz tak zaginała rogi, będę zmuszony zatłuc cię na śmierć *Robinsonem Crusoe*.

Kiedy Sophie obejrzała ostatnią książkę – baśnie braci Grimm z obiecującą ilustracją na karcie tytułowej – Charles podszedł do parapetu i po chwili wrócił z pudełkiem lodów. Pudełko było wielkości głowy Sophie.

– Wszystkiego najlepszego, moje dziecko.

Włożyła do lodów palec, co było zabronione, ale liczyła na to, że w urodziny jej się upiecze. Były gęste i słodkie. Nabrała więcej na linijkę Charlesa i uśmiechnęła się do niego wesoło.

– Pyszne. Dziękuję ci. Smakują dokładnie tak, jak powinny smakować urodziny.

Charles uważał, że jedzenie jest najprzyjemniejsze w pięknych miejscach: w ogrodach, na środku jeziora, na łodziach.

– Mam teorię – powiedział – że lody najlepiej się je w deszczu na skrzyni czterokonnego powozu.

Sophie spojrzała na niego spod oka. Czasami trudno było poznać, czy mówi poważnie.

– Naprawdę?

– Nie wierzysz mi?

– Nie, nie wierzę.

Próbowała zachować powagę, ale czuła, że śmiech podchodzi jej do gardła jak kichnięcie do nosa.

– Szczerze mówiąc, ja też w to nie wierzę. Ale to możliwe. Wyjdziemy z domu i sprawdzimy. Nigdy nie przekreślaj możliwego!

– Fantastycznie! – Sophie uważała czterokonne powozy za najlepszy wynalazek na świecie. Czuła się w nich jak królowa wojowniczką. – Możemy poprosić, żeby konie galopowały?

– Możemy. Sugerowałbym jednak, żebyś najpierw włożyła spodnie. Te spódnice są fascynujące; wyglądasz, jakbyś obrabowała bibliotekarkę – powiedział Charles.

– Dobrze! Szybko się uwinę. – Wzięła stertę książek na ręce. Ledwo co było widać nad nimi jej głowę. – A potem?

– A potem znajdziemy dorożkę. Szczęście nam sprzyja, bo akurat pada deszcz.

Jak się okazało, Charles miał rację. Deszcz ostro zacinał, kiedy z dudnieniem kół pokonywali zakręty, i spowodował, że lody popłynęły Sophie po nadgarstku, a jej włosy zamieniły się w mokre strąki. Jedzenie w deszczu było wyzwaniem, ale Sophie lubiła wyzwania.

Kiedy wrócili do domu, ociekający wodą i napchani lodami, na wycieraczkę zobaczyli list. Jedno spojrzenie na kopertę wystarczyło, aby Sophie się zorientowała, że nie jest to kartka urodzinowa. Z głośnym sykiem uszło z niej całe szczęście.

Charles przeczytał list z zastygłą twarzą.

– Co to jest? – Próbowała czytać mu przez ramię, ale był na to za wysoki. – Od kogo? Czego chcą?

– Nie jestem do końca pewien. – Trudno byłoby rozpoznać w nim człowieka sprzed kilku minut. – Zdaje się, że czeka nas inspekcja.

– Czego? Mnie?

– Nas. To jest list z Krajowego Urzędu Opiekuńczego. Piszą, że jesteś już teraz młodą kobietą

i mają wątpliwości, czy potrafię się tobą opiekować. Uważają, że nie będę umiał cię nauczyć, żebyś zachowywała się jak dama.

– Co? Kiedy to jest szaleństwo!

– O państwie często można tak powiedzieć.

– Mam dopiero dwanaście lat! A właściwie dalej jedenaście.

– Niemniej jednak zamierzają przyjść.

– Kto zamierza? Kto to wysłał?

– Dwaj mężczyźni. Jeden nazywa się Martin Eliot, a nazwiska drugiego nie potrafię odczytać.

– Ale dlaczego? Dlaczego mają o mnie decydować dwaj obcy? To tylko mężczyźni!

– Mężczyźni! Znam ja takich. To nie mężczyźni, tylko wąsy z doczepionymi idiotami.

Sophie prychnęła zasmarkanym śmiechem. Wytarła oczy.

– Co zrobimy?

– Chyba powinniśmy posprzątać.

Razem rozejrzeli się po przedpokoju. Jak dla niej było tam już dostatecznie czysto, jeśli nie liczyć wierszy, które przepisała na tapecie, no i pajęczyn. Sophie lubiła pająki i zawsze ścierała kurze w pewnej odległości od nich.

– Musimy przenieść gdzieś pająki?

– Obawiam się, że tak – odparł Charles. – I będziemy musieli uciąć bluszcz.

W zeszłym roku pnącze bluszczu wpęzło przez okno i rozgościło się na jednej ze ścian przedpokoju. Usadowiło się jak niedzielny kapelusz na portrecie babci Charlesa. Sophie je uwielbiała.

– Mógłbyś zostawić część, która rośnie na babci Pauline? Raczej nie zauważą, prawda?

– Z pewnością mogę spróbować. – Ale Charles najwyraźniej nie myślał o babciach. – No i zostajesz jeszcze ty, Sophie.

– To znaczy? – Poczula, że się czerwieni. – Coś jest ze mną nie w porządku?

– Dla mnie oczywiście jesteś bliska ideału, ale mam podejrzenie – popraw mnie, jeśli się mylę – że twoje włosy nie spotkają się z aprobatą. Nie, nie z przodu, tutaj, z tyłu.

Sięgnęła dłonią za szyję.

– Co im dolega?

– W sumie nic im nie dolega. Po prostu przypominają kłębek sznurka. Wydaje mi się, że włosy częściej są porównywane do zasłony. Albo fali.

Tego wieczoru Sophie wydała bitwę swoim włosom. Początkowo przewagę miały włosy. Kołtun znajdował się u nasady szyi, czyli w najtrudniej dostępnym miejscu.

Tak to już jest z kołtunami. Sophie szarpała grzebieniem z posępną miną i w końcu miała na kolanach garść włosów, ale kołtun nadal był ogromny. Pociągnęła ze złością za grzebień, który pękł na pół i został we włosach. Zakłęła pod nosem.

– Cholera!

Zbiegła do kuchni i znalazła nożyczki. Wsunęła je we włosy, zacisnęła zęby i odcięła kołtun. Osiągnęła zaskakująco dobry rezultat. Kiedy już udało jej się wyciąć obie połówki grzebienia i większość kołtuna, zaplotła włosy w gruby warkocz. Tylko ktoś bardzo spostrzegawczy by

zauważył, że z jej włosami jest coś nie w porządku. Delikatnie pomacała tył głowy. Bycie damą to bolesne zadanie.

W dniu inspekcji Sophie tak długo szorowała dłonie, że paznokcie jej świeciły, a z palców zeszła połowa skóry. Charles wypolerował jej buty świeczką i węgielkiem, a ubrania wyprasował rozgrzaną cegłą, ponieważ nie mieli żelazka. Charles umył podłogę, a Sophie wytarła ściany namydloną gąbką, usuwając z tapety połowę wzoru. Po całym domu porozstawiała słoje z kwiatami. Wszystko pachniało płatkami róży i mydłem.

– Myślę, że wygląda świetnie – powiedziała. Zawsze kochała ten dom, a tego dnia wydawał jej się szczególnie urodziwy. – Myślę, że wygląda doskonale.

Potem kręcili się w pobliżu drzwi, nie mogąc usiedzieć na miejscu. W ostatniej chwili Sophie przysłała do głowy pewna myśl.

– Ile mam czasu do ich przyjścia? – spytała.

– Około trzech minut. Po co chcesz to wiedzieć?

– Zaraz wracam.

Pokonywała po cztery stopnie naraz. W swoim pokoju upudrowała sobie nos talkiem, a następnie wtarła w policzki i wargi czerwoną farbę. Nie miała u siebie lustra. Liczyła na to, że efekt jest zadowalający.

Charles zrobił wielkie oczy na jej widok. Pogłębiły się podejrzenia Sophie, że z pomalowanymi na czerwono policzkami wygląda bardziej jak klaun niż uroczą młodą damą, ale zanim którekolwiek z nich zdążyło coś powiedzieć, zadzwonił dzwonek.

Stojąca w drzwiach kobieta trzymała w ręku podkładkę pod kartki i miała minę, która przypominała mokrą skarpetę. Obok niej stał mężczyzna z aktówką i śmiesznym zarostem. Sophie miała wrażenie, że skądś go zna.

– Wąsy – szepnął Charles i Sophie musiała powstrzymać się od śmiechu.

Zaprowadzili gościa do salonu. Przybysze podziękowali za herbatę i natychmiast rozpoczęli odpytywanie. Sophie odwróciła głowę ze skrzywioną miną. Czuła się pod ostrzałem.

– Dlaczego dziecko nie jest w szkole? – spytała kobieta.

Sophie zaczęła na reakcję Charlesa, ale się nie odezwał, więc powiedziała:

– Nie chodzę do szkoły.

– Dlaczego? – spytał mężczyzna.

– Uczę się od Charlesa.

– Masz normalne lekcje?

Kobieta patrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Tak! – zawołała Sophie. – Oczywiście, że mam. – Przypomniało jej się użyteczne zdanie. – Charles mówi, że bez wiedzy widzimy tylko połowę świata.

– Mhm. Czy te lekcje odbywają się codziennie?

– Tak – skłamała Sophie.

W rzeczywistości miała lekcje wtedy, kiedy któreś z nich sobie o tym przypomniało. Sophie bardzo łatwo zapominała o nauce.

– Umiesz czytać? – spytała kobieta.

– Tak, oczywiście!

Głupie pytanie. Sophie nie pamiętała czasów, kiedy nie umiała czytać, tak samo jak nie pamiętała czasów, kiedy nie umiała chodzić.

– Znasz tabliczkę mnożenia?

– Yyy, tak. – Nie minęła się z prawdą, a raczej nie całkiem. – To znaczy nie znoszę mnożenia przez siedem, ale przez osiem i dziewięć bardzo lubię.

– Potrafisz wyrecytować katechizm?

– Nie. – Sophie zmroziło w środku. – Nie wiem, co to jest. Jakiś poeta? Mogę wyrecytować większość Szekspira, jeśli pani sobie życzy.

– Nie, dziękuję, to nie będzie konieczne. Umiesz gotować? – Sophie skinęła głową. – Obiad, ciasto, deser biszkoptowy na wykwinne przyjęcie?

– Yyy, chyba tak.

To nie jest kłamstwo, uznała. Nigdy w życiu nie zrobiła deseru biszkoptowego, ale jeśli ktoś umie czytać, umie też gotować, byle miał odpowiednie książki.

– Widać po tobie, że źle się odżywasz. Garbisz się i jesteś zbyt blada. Dlaczego ona jest taka blada?

Charles odezwał się po raz pierwszy.

– Nie jest zbyt blada, tylko utkana z materii księżycowej.

Kobieta prychnęła. Mężczyzna z roztargnieniem rozglądał się po pokoju.

– Tutaj masz lekcje? – spytał Sophie.

– Najczęściej... – Zamierzała powiedzieć „na dachu”, ale Charles ostrzegł ją wzrokiem i dyskretnie pokręcił głową. – Tak, najczęściej tutaj.

– W takim razie gdzie trzymacie tablicę?

Sophie nie potrafiła wymyślić przekonującej odpowiedzi na to pytanie, toteż powiedziała prawdę.

– Nie mamy tablicy.

– Jak chcesz się czegośkolwiek nauczyć bez tablicy? – spytała kobieta.

– Mam książki. I papier. I – Sophie wyjaśniała – wolno mi też pisać na ścianach, i rysować, bylebym tego nie robiła w salonie. Ani w przedpokoju, chyba że za wieszakiem.

Z jakiegoś powodu nie uśmierzyło to wątpliwości kobiety. Wstała i odwróciła się w stronę mężczyzny.

– Zaczniemy? Strach pomyśleć, co znajdziemy.

Rozglądali się po domu, jakby zamierzali go kupić. Sprawdzili, czy w pościeli nie ma dziur, a na zasłonach kurzu, zajrzeli też do spiżarni. Spisali liczbę krążków sera i słoików z dżemem. Na koniec poszli do pokoju Sophie na poddaszu i przejrzeni zawartość komody.

Kobieta wyjęła czerwone spodnie, na co mężczyzna pokręcił ze smutkiem głową. Na widok zielonej pary – która dorobiła się kilku interesujących plam wokół kostki – kobietę przeszedł dreszcz.

– Nie do przyjęcia! – oburzyła się. – Uważam za bulwersujące, panie Maxim, że pan na to pozwala.

– Kiedy on wcale na to nie pozwala – zaprotestowała Sophie. – To moje ubrania. Nie mają nic

wspólnego z Charlesem.

– Zamilcz, dziecko.

Sophie miała ochotę ją uderzyć. Charles stanął bliżej niej, ale się nie odezwał. W ogóle bardzo mało mówił. Milczał też przez całą drogę na dół i dopiero ściskając inspektorom dłonie na pożegnanie, powiedział do nich kilka słów. Sophie wyteżęła uszy, ale nic nie usłyszała. Zamknęła za nimi drzwi i klapnęła na dywanik.

– Co powiedzieli? Dobrze wypadłam? – Włożyła sobie do ust koniec warkocza. – Okropni, ty też tak uważasz? Miałam ochotę ich opluć. A ten mężczyzna! Miał twarz pawiana.

– Doskonały dowód na słuszność teorii ewolucji, prawda? A ta kobieta! Spotkałem w życiu żeliwne poręcze, które miały w sobie więcej ludzkich uczuć.

– Co mówili przed wyjściem?

– Że złożą raport.

– Tylko tyle? Na pewno zdążyli ci więcej powiedzieć.

– Myślę, że przyszedł czas na rozmowę. Gdzie jest najlepsze miejsce na rozmowę? Kuchnia?

Sophie nie chciała być w żadnym z pomieszczeń, odwiedzonych przez inspektorów, wszystkie wydawały się wilgotne i lepkie.

– Nie, dach.

– Oczywiście. Zabiorę trochę whisky. A ty może pójdziesz do kuchni po dzbanek ze śmietaną? Myślę, że w takie dni warto mieć ze sobą śmietaną.

Sophie pobiegła do kuchni. Dzbanek ze śmietaną chłodził się w lodówce. Zabrała też słoik z dżemem i bochenek chleba prosto z pieca. Zastała Charlesa siedzącego na kominie.

– Usiądź. Napij się trochę whisky. – Rozejrzał się za szklanką, a potem podał Sophie butelkę. – Łyknij sobie. – Sophie zaczęła się krztusić i dusić, ale Charles powiedział: – Potraktuj to jak lekarstwo. Tak, brawo. Wszystko w porządku?

– Oczywiście. Co się dzieje? Co powiedzieli?

– Musisz spróbować uwierzyć w to, co zamierzam ci powiedzieć, Sophie. Musisz spróbować zrozumieć. Możesz to dla mnie zrobić?

– Oczywiście, że mogę – odparła z oburzoną miną. – Dlaczego miałabym nie móc?

– Nie bądź taka pewna, kochanie. Żeby uwierzyć w pewne rzeczy, trzeba mieć do tego talent.

– Dobra, uwierzę ci. O co chodzi?

– Zjedz trochę chleba z dżemem. Możesz go zanurzyć w śmietanie.

– O co chodzi, Charles?

Urwał kawałek chleba i zaczął go obracać w palcach.

– Po pierwsze, pęknie mi serce, kiedy cię zabiorą. Jesteś najcudowniejszą przygodą mojego życia. Bez ciebie moje dni będą jak bez światła. – Spojrzał na nią. – Rozumiesz to, Sophie? Wierzysz mi?

Skinęła głową i zaczerwieniła się, jak zawsze, kiedy słyszała o sobie miłe rzeczy.

– Chyba tak.

– Nie mogę nic zrobić, żeby powstrzymać tych ludzi. Według prawa nie jesteś moja. Według prawa jesteś własnością państwa. Rozumiesz to?

– Nie, nie rozumiem. To głupie!
– Absolutnie się z tobą zgadzam. Niemniej taka jest prawda, moje dziecko.
– Jak mogę należeć do państwa? Państwo nie jest osobą. Państwo nie potrafi nikogo kochać.
– Wiem o tym. Ale, jak sądzę, zamierzają cię zabrać. Nie powiedzieli tego wprost, tylko zasugerowali między wierszami.

Sophie nagle zrobiło się zimno.

– Nie mogą.
– Mogą, najdroższa. Państwa mogą robić zarówno wspaniałe, jak i głupie rzeczy.
– Może uciekniemy? Do innego kraju? Moglibyśmy wyjechać do Ameryki.
– Zatrzymaliby nas, Sophie. Zgłosiliby na policję, że cię porwałem.
– Skąd wiesz? Założę się, że tego by nie zrobili! – Zerwała się na nogi i zaczęła szarpać Charlesa za ramię, za rękaw, za włosy. – Wyjedźmy. Możemy po prostu zniknąć, Charles. Nie musimy nikomu mówić. Zanim złożą raport. Proszę cię! – Charles się nie poruszył. Chwyliła go za rękaw. – Proszę cię!

– Tak mi przykro, serduszek. – Wyglądał dwa razy starszej niż rano, a kiedy pokręcił głową, Sophie się wydawało, że coś mu zaskrzypiało w szyi. – Przyjechaliby za nami i zabraliby cię, najdroższa. Są na świecie ludzie, którzy dostają wysypki na widok złamanego przepisu. Jedną z takich osób jest panna Eliot, drugą Martin Eliot.

Sophie aż podskoczyła.

– Eliot! Wiedziałaś, że wygląda znajomo! Myślisz, że są ze sobą spokrewnieni?
– Rany boskie! Tak, to całkiem możliwe. Mój Boże! Wspomniała kiedyś, że jej brat jest urzędnikiem państwowym.
– Wiedźma jedna! – Myśl o panie Eliot z jakiegoś powodu podziałała na nią pocieszająco. Gniew jest łatwiejszy niż rozpacz. – Nie poddam się. – Poczuli się twardsza i mocniejsza, kiedy to powiedziała. – Nie pozwolę, żeby nas rozdzielili.

Łatwo jest przysiąc, że będzie się twardym, ale kiedy przyszedł list, twardość wymagała wielkiego wysiłku.

List dostali pewnego szarego poniedziałkowego ranka. Był zaadresowany do Charlesa, ale Sophie i tak otworzyłyby kopertę, gdyby Charles jej delikatnie nie odebrał. Sophie obserwowała jego twarz, która jednak pozostała nieprzenikniona.

– Pokaż. Mogę zobaczyć? – poprosiła tak szybko, że Charles na pewno nie skończył jeszcze czytać. – Co tam piszą? Jest dobrze? Mogę zostać? Powiedz, że mogę. Pokaż!

– To... To nie jest...

Najwyraźniej zabrakło mu słów, chyba po raz pierwszy. Podał jej list. Sophie podniosła go do światła.

Drogi panie Maxim,

My, niżej podpisani, pragniemy Pana poinformować o zmianach w naszej polityce opieki nad nieletnimi płci żeńskiej w wieku od dwunastu do osiemnastu lat.

Sophie się nastroszyła.

– Dlaczego muszą pisać takim językiem?

Nie znosiła listów urzędowych. Wprawiły ją w nerwowość. Podejrzewała, że ludzie, którzy je piszą, mają segregator w miejscu, gdzie powinno być serce.

– Czytaj dalej – ponaglił ją markotnym głosem.

Komisja doszła do jednomyślnego wniosku, że młoda kobieta nie powinna być wychowywana przez samotnego mężczyznę, który nie jest z nią spokrewniony, pomijając nadzwyczajne okoliczności. W przypadku Pańskiej podopiecznej, Sophii Maxim, uznano, że pewne elementy jej wychowania są absolutnie nieodpowiednie dla dziecka płci żeńskiej.

– Co to są „pewne elementy”? – Sophie dźgnęła papier palcem. – Nie rozumiem!

– Nie wiem. Mogę się tylko domyślać.

– Chodzi im o moje spodnie, prawda? To jakieś szaleństwo! To są źli ludzie!

– Czytaj dalej.

Jesteśmy zatem zmuszeni Pana poinformować, że pańska podopieczna zostanie Panu odebrana i umieszczona w Sierocińcu Św. Katarzyny w północnym Leicestershire. Odmowa podporządkowania się temu postanowieniu skutkuje nakazem sądowym i karą pozbawienia wolności do lat piętnastu. Decyzja komisji jest ostateczna i obowiązuje ze skutkiem natychmiastowym.

– Karą pozbawienia wolności? Co to znaczy?

– Więzienie – wyjaśnił.

Kurator rejonowy, panna Susan Eliot, odbierze pańską podopieczną w środę, dnia piątego czerwca.

Z poważaniem

Martin Eliot

Sophie poczuła się pusta w środku. Szukała odpowiednich słów.

– Zrobili błąd w moim imieniu.

– Tak.

– Skoro już muszą łamać mi serce, to mogliby przynajmniej poprawnie napisać moje imię. – Spojrzała na Charlesa, który jednak nie reagował. – Charles? – Pojedyncza łąza spływała jej po twarzy. Ze złością ją zlizwała. – Proszę cię, powiedz coś.

– Czyli zrozumiałas ten list?

– Odbierają mnie tobie. Odbierają cię mnie.

– W każdym razie zamierzają spróbować.

Nie chciała dotykać listu. Upuściła go na podłogę i stanęła na nim, a potem podniosła i przeczytała jeszcze raz. Nie mogła znieść słów „absolutnie nieodpowiednie”.

– Myślisz, że pozwoliliby mi zostać, gdybym nosiła spódnice? I gdybym się nie garbiła? Albo

gdybym była ładniejsza? Albo, nie wiem, słodsza?

Pokręcił głową. Ze zdziwieniem zobaczyła, że Charles bezgłośnie płacze.

– Co teraz? – Wsunęła dłoń do kieszeni, wyjęła chusteczkę i włożyła mu do ręki. – Masz. Proszę cię, powiedz coś. Co teraz zrobimy?

– Przykro mi, moje dziecko. – Nigdy nie widziała, żeby mężczyzna był taki biały. – Obawiam się, że nic nie możemy zrobić.

Sophie nie mogła już tego dłużej wytrzymać. Pognała do swojego pokoju, potykając się na schodach. Łzy rozmazały jej świat. Bez zastanowienia chwyciła za pogrzebacz, zamachnęła się i uderzyła w futerał wiolonczeli, który pękł z trzaskiem. Potem łupnęła w dzbanek z wodą przy łóżku – rozprysnął się na koc i poduszkę. Usłyszała z dołu okrzyk, a potem odgłos kroków na schodach. Tupiła i kopała. Futerał rozpadł się na kawałki polakierowanego drewna, które latały po pokoju.

Jeśli ktoś nigdy nie rozbił drewnianego pudła pogrzebaczem, to warto spróbować. Sophie powoli poczuła, że odzyskuje panowanie nad oddechem.

– Nie pójdę – szeptała przy każdym zamachnięciu. – Nie pójdę.

Po jakimś czasie łzy i smarki, które nadal spływały po twarzy, przestały ją dusić. Wpadła w rytm: łup, oddech, trzask, oddech.

– Nie pójdę – szepnęła. – Nie. – Łup. – Nie. – Trzask. – Nie.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim Sophie zdała sobie sprawę, że Charles stoi w drzwiach.

– Żyjesz jeszcze, serduszko?

– O! Ja tylko...

– Oczywiście. Bardzo rozsądnie. – Obejrzał pokój, a potem zaprowadził Sophie za rękę do łazienki. – Potrzebna będzie gorąca woda.

Nie chciał powiedzieć nic więcej. Sophie usiadła skulona na stercie ręczników, czkając i pociągając nosem, a Charles nastawił wodę we wszystkich garnkach. Kiedy wanna wypełniła się parującą wodą, dosypał mięty i suszonej skórki z cytryny.

– Pomocz się pół godziny. Ja muszę załatwić kilka spraw.

Sophie nie potrafiłaby wysiedzieć w wannie. Chodziła tam i z powrotem po łazience, a potem zaczęła łomotać pięścią w ścianę, aż w końcu doleciał do niej z dołu głos Charlesa:

– Wejść do wanny i popluskaj się trochę. Będziesz zaskoczona, jak bardzo poprawia to nastrój.

Sophie zapomniała, że łazienka jest dokładnie nad kuchnią. Westchnęła i rozebrała się, szarpiąc mściwie za buty.

– Dobra! – zawołała. – Jestem w wannie.

Skoro to powiedziała, musiała rzeczywiście wejść do wody, bo inaczej dopuściłaby się kłamstwa. Gorąca woda sięgała jej do pępka, a skórka z cytryny obijała się o nogi. Sophie położyła się w wannie. W gorącej wodzie ciało zwiotczało, uszła z niego wszelka wojowniczość. Serce się uspokoiło. Nie potrafiła o niczym myśleć.

Kiedy w końcu wyszła z wanny, dotarła tylko do dywanika w swoim pokoju, zanim nogi się pod nią ugięły, i runęła na podłogę, wciąż zawinięta w ręcznik. Leżała tak półprzytomna i w dalszym ciągu patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Potem jednak coś zobaczyła. Na ścianie była kropka światła, w którą Sophie wpatrywała się nieświadomie od dłuższej chwili.

Chcąc sprawdzić, co rzuca to odbicie, odwróciła głowę w stronę stosu połamanego drewna, z którego kiedyś zrobiony był futerał na wiolonczelę. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach i Sophie zerwała się na nogi.

Długie, polakierowane drewno nadal było częściowo przyklejone do zielonego sukna wyściółki futerału. Sophie złapała za nie i wbiła sobie drzazgę w kciuk.

– Auć! Cholera!

Pod zielonym suknem zobaczyła przybitą gwoździkami do drewna mosiężną tabliczkę. Wpadający przez okno promyk światła słonecznego odbijał się od tabliczki na przeciwległą ścianę pokoju.

Sophie zobaczyła na tabliczce adres. Nie był po angielsku.

Ręce tak bardzo jej drżały, że musiała położyć drewno na stole, aby przeczytać napis.

FABRICANTS
D'INSTRUMENTS À CORDES
16 RUE CHARLEMAGNE
LE MARAIS
PARIS
291054

Sophie zastała Charlesa w jego gabinecie. Siedział przy oknie z gazetą w dłoniach, ale chyba jej nawet nie widział. Do środka zacinął deszcz i rozmywał druk na pierwszej stronie, a Charles w żaden sposób nie próbował się zasłonić.

Sophie podbiegła do niego, ale się nie odwrócił. Zamrugał. Jego czarne oczy były puste. Wystraszone. Sophie wgramoliła się na podłokietnik fotela i szarpnęła Charlesa za rękaw. Później jej się wydawało, że może nawet polizła go w brwi, żeby przykuć jego uwagę.

– Popatrz! Charles, popatrz!

Uśmiechnął się nieznacznie.

– Na co ja patrzę?

– Na to!

Charles rozglądał się w poszukiwaniu okularów, a ponieważ ich nie znalazł, podsunął sobie drewno pod nos.

– Le Marais, Paris. Co to jest, Sophie?

– Była z Francji! Wiolonczela była z Francji!

– Gdzie to znalazłaś?

– Musimy pojechać do Francji! Natychmiast! – Krztusiła się i dusiła. – Dzisiaj!

– Usiądź i wszystko mi wyjaśnij.

Sophie usiadła na stopach Charlesa, żeby nie mógł się poruszyć. Miała sucho w ustach i musiała chwilę popracować językiem, żeby starczyło jej śliny do mówienia. A potem wszystko

wytłumaczyła najspokojniej jak umiała.

Charlesowi zajęło niecałą sekundę, żeby zrozumieć, do czego zmierza Sophie. Zerwał się na nogi, strącając ją na dywanik przed kominkiem.

– Mój Boże! Najśłodsze śpiewające salamandry! Sophie, jesteś genialna! Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że wiolonczela może być z Francji? Chyba muszę się napić whisky. Boże przenajświętszy!

Sophie przetoczyła się pod biurkiem na plecy.

– A jeśli ona mieszka w Paryżu?

– No właśnie! To możliwe, Sophie. Nie mówię, że prawdopodobne, kochanie, bo wiesz, że mimo twojego odkrycia futerał nie musi być jej, ale możliwe. Francja, oczywiście, mój Boże!

– Nigdy nie przekreślaj możliwego!

– No właśnie! Moje ukochane stworzenie, co za odkrycie! – Spojrzał na list, który wciąż leżał na jego biurku. – Tak czy owak, musimy się stąd wyrwać.

– Do Paryża?

Zacisnęła kciuki i zrobiłaby to samo z palcami u nóg, gdyby potrafiła.

– Oczywiście. A dokąd? Do Paryża, Sophie! Szybko! Bierz się do pakowania! Zgromadź swoje najlepsze spodnie i najbielsze skarpetki!

To było jak zagrane na sygnałowie wezwanie do walki. Sophie skoczyła na równe nogi.

– Chyba nie mam żadnych skarpetek, które dalej byłyby białe – zmartwiła się.

– W takim razie na miejscu kupimy nowe!

– Paryskie skarpetki! Tak, proszę. – Roześmiała się, ale list od Martina Eliota leżał na stole i wydawało się, że ją obserwuje. – Pojadą za nami?

– Może. Tak. Najprawdopodobniej. Dlatego wyjedziemy jutro.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mówisz poważnie?

– Nie żartowałbym z takich rzeczy. – Charles rozłożył gazetę na stronie z ogłoszeniami o handlu, pogodzie, rozkładzie kursowania promów i statków. – Jeśli postanowią nas ścigać, a raczej, co wydaje się bardziej prawdopodobnie, zawiadomić paryską policję, nie zrobią tego wcześniej niż za dwa albo trzy dni.

– Dni?

Liczyła na tygodnie. To niemożliwe, żeby tak szybko zadziałali.

– Dni. Musimy uważać, ale mamy przewagę. – Postawił znaczek iks obok kolumny z kursami statków i porami przypływów, a potem zamknął gazetę. Oczy tak mu się jarzyły z podniecenia, że Sophie miała wrażenie, jakby grzała się przy w ogniu. – Organizacje są znacznie mniej inteligentne od istot ludzkich. Zwłaszcza kiedy istotą ludzką jesteś ty. Pamiętaj o tym.



ROZDZIAŁ 6

Podróż nie była łatwa. Podróże bardzo rzadko są łatwe, a stają się jeszcze trudniejsze, jeśli zamierzasz nielegalnie czmychnąć z kraju w biały dzień, pomyślała Sophie.

– Zapakuj się oszczędnie – powiedział Charles. – Jeśli ktoś nas zobaczy wychodzących, musimy wyglądać tak, jak byśmy szli do dentysty.

– Do dentysty? Nigdy nie chodzimy do dentysty.

– W takim razie na koncert. Jedna torba i na tym koniec.

Sophie zabrała więc tylko wiolonczelę. Bluzy i spodnie pozwijała najciaśniej jak umiała i wcisnęła do futerału obok wiolonczeli. Kiedy wszystkie już zapakowała, zostało miejsca tylko na jedną rzecz. Powinna wziąć notes czy sukienkę, tak na wszelki wypadek?

– Sukienka to kamuflaż – powiedziała do siebie. – Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się przebranie. – Z ciężkim sercem dołożyła sukienkę i zamknęła futerał.

Charles zabrał tylko aktówkę. Sądząc po tym, jak pakował ją do dorożki, była ciężka. Kiedy odjeżdżali, Sophie miała wrażenie, że zasłona u sąsiadów opada i ktoś za nią znika. Sapnęła i popatrzyła prosto przed siebie. Potem zacisnęła kciuki i usiadła na nich, na szczęście.

Ciągnąc za sobą futerał, Sophie weszła do hali dworca kolejowego, w którym było za dużo krzyczących ludzi i pary.

– O rany. O, nie – powiedziała bardzo cicho. Tłumy przyprawiwały ją o ból. Za bardzo przypominały tonący statek. – Pomocy.

Miała ochotę wdrapać się na ścianę i schować za dworcowym zegarem.

Ale Charles zachowywał się beztrząsco. Oczy mu świeciły.

– Kurczę, robi wrażenie, prawda? Czujesz ten zapach? Olej silnikowy! – Dopiero wtedy zauważył przestrach, malujący się na twarzy Sophie, i przyciśnięte do boków łokcie. – W porządeczku, moje dziecko?

– Oczywiście! Z grubsza. Prawie. – Sophie się skrzywiła, kiedy minęła ich z rykiem horda chłopców, którzy tłukli się między sobą. – Właściwie to nie.

– Wiesz co, na dworcu najlepiej jest kupić coś smacznego do jedzenia, usiąść w kącie i gapić się na sufit.

– Gapić się na sufit? Dlaczego?

– Dworce kolejowe z reguły mają niewypowiedzianie piękne sufity.

Sophie odchyliła głowę do tyłu i spadła jej czapka. Charles powiedział prawdę. Sufit wyglądał jak labirynt ze szkła i żelaza.

Charles zaczął grzebać w kieszeniach. Spośród płataniny sznurka, papierków i landrynek wysupłał trochę monet.

– Tu masz sześciopensówkę. Albo zaczekaj, dam ci szylinga, żebyś kupiła sobie herbatę. Poproś o taką gorącą, żeby poparzyła ci przełyk, bo inaczej nie będzie się nadawała do picia.

– Tak, dziękuję, oczywiście. Ale zaczekaj, Charles, dokąd idziesz?

– Znaleźć tragarza i kupić bilety.

– Co będzie, jeśli cię zgubię?

– Wtedy ja cię znajdę.

– Ale co będzie, jeśli mnie nie znajdziesz? – Położyła dłoń na jego płaszczu. – Zaczekaj, nie idź!

Nie znosiła siebie w takich chwilach, ale nerwy zjadały ją od środka.

– Masz włosy koloru błyskawicy, Sophie! – Uśmiechnął się. Szeroko, radośnie. – Niełatwo cię przeoczyć.

Przy budce z jedzeniem wahała się między gigantyczną drożdżówką z żurawinami a okrągłymi ciasteczkami z czerwonym dżemem na środku, o których panna Eliot mówiła, że są dla dzieci z pospólstwa. Sophie nigdy ich nie próbowała, ale błyszcząły jak rubiny.

Kobieta za ladą działała na nią uspokajająco. Miała czerwoną wysypkę na policzkach i sympatyczne oczy.

– Drożdżówkę, skarbie? Eklere? Ciasteczka truskawkowe?

Na myśl o tym, co powiedziałyby panna Eliot, Sophie wróciła odwaga.

– Poproszę ciasteczka. Sześć.

– Masz, skarbie. Nie zjedz wszystkich od razu, myszko, bo będziesz musiała zawrzeć bliższą znajomość z dworcowym kibelkiem.

Sophie z powagą pokiwała głową. Wgryzła się w jedno ciasteczko i stwierdziła, że cudownie skleja jej zęby. Smakowało jak przygoda, chociaż z całą pewnością nie jak truskawki.

– Jedziesz w jakieś ciekawe miejsce, skarbie? – spytała kobieta, szukając w fartuchu reszty.

Kleistymi ustami Sophie próbowała powiedzieć „Paryż”. Spojrzała na dworcowy zegar.

– Jeszcze tylko pół godziny.

– Do rodziny? Fajnie masz.

Zęby Sophie nieodwołalnie się skleiły. Nie mogła mówić, więc tylko rozciągnęła w uśmiechu pełną ciasteczek buzię i skinęła głową. Rzeczywiście jechała do rodziny, a w każdym razie taką miała nadzieję.

– No to z Bogiem i życzę szczęścia – powiedziała sprzedawczyni. Zawinęła w gazetę drożdżówkę z żurawinami i podsunęła Sophie. – Na szczęście. Szczęście najbardziej sprzyja na pełny żołądek.

Pociąg był dwa razy większy, niż spodziewała się Sophie, i zielony. W tym odcieniu zieleni, który na ogół mają szmaragdy i smoki. Uznała to za dobry znak.

– Szukaj wagonu szóstego – powiedział Charles. – Siedzisz w przedziale A. Podobno zazwyczaj jest zarezerwowany dla dzieci księcia Kentu, ale tego lata strzelają do różnych rzeczy w Szkocji. Będziesz go miała wyłącznie dla siebie.

Przeciskali się w kierunku lokomotywy obok tragarzy z prostymi plecami i wykrochmalonymi kołnierzami. Przez całą długość pociągu biegł wąski korytarz z suwanymi drzwiami do przedziałów. Sophie próbowała nie plątać się pod nogami, nie wyglądać na za bardzo podekscytowaną i za bardzo nie przypominać wyjętego spod prawa zbiega. Żadne z tych trzech zadań nie było łatwe.

– Tutaj! – Charles wepchnął futerał na wiolonczelę przez drzwi i odwrócił się. Cały promieniał. – Został tylko ten. Mam nadzieję, że nie wyda ci się okropny.

Sophie spojrzała za jego plecy i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Okropny? Wygląda jak z bajki! – Ludzie przeciskali się korytarzem, ale nie zwracała na nich uwagi. – Jest taki... złocony. Prawdziwy pałac!

Charles roześmiał się, wciągnął ją do środka i zamknął drzwi, odcinając ich od reszty pociągu.

– Bardzo mały pałac. Powiedzmy: w wersji podróżnej.

Przedział był piękny. Wszystko w rozmiarze dziecięcym, wykonane z delikatnością i misternością czarodzieja. Sophie próbowała wyglądać tak, jakby przywykła do takich rzeczy – przynajmniej dopóki tragarz na nich patrzył – ale nie potrafiła, ponieważ nigdy wcześniej nie widziała czegoś tak gładko wypolerowanego i suto pozłoczonego. Poduszki były okrągłe i miękkie jak puch. Złota rama lustra zajmowała prawie tyle samo miejsca co szkło. Sophie postukała w ramę – zabrzmiało jak lite złoto.

– Rzuć też okiem na nocnik – powiedział Charles. – Warto go obejrzeć.

Kucnęła, żeby zajrzeć pod łóżko. Stał tam przypięty do ściany złoty nocnik z czerwonymi goździkami, namalowanymi wokół brzegu.

– Widzisz? Pomyśleli nawet o nocnym sikaniu.

– Ale gdzie ty będziesz spał? Też tutaj?

W przedziale były dwa łóżka, tyle że dziecięcych rozmiarów. Większość Charlesa zwiślałaby poza krawędź.

– Będę dzielił łóżko z grabarzem z Luksemburga. Los dosyć ponury, ale nie umrę od tego. Poza tym mogło być gorzej. Mogłem trafić na Belga. – Uśmiechnął się do niej. – Przez najbliższe trzy tygodnie nie będzie żadnych innych wolnych łóżek. Uznałem, że tak będzie lepiej niż czekać i się denerwować.

– Tak! – Pomyślała, że czekanie byłoby niemożliwe, chyba by umarła. – Tak, dziękuję ci!

– Wszystko w porządeczku? – spytał. Nie miał chusteczki, więc wyjął z bagażu czystą skarpetkę i wydmuchał w nią nos. W uszach Sophie zabrzmiało to jak trąba nadziei. – Masz wszystko, czego ci potrzeba?

– Chyba tak. Chociaż właściwie – zaburczało jej w żołądku – mamy coś do jedzenia?

– Oczywiście! Jak mogłem o tym zapomnieć! Jedzenie to najlepsza rzecz w każdej podróży. Jest wagon restauracyjny, ale otwierają dopiero za kilka godzin. Przeszmuglowałem tyle, ile mi się udało.

Charles podszedł do przymocowanego do ściany drewnianego biurka i zaczął opróżniać kieszenie. Sześć jabłek, potem bułki do hot dogów – okruszki obsypały mu cały płaszcz – i gruba kostka żółtego sera. Z wnętrza zegarka z dewizką wy dostał saszetkę soli. Na koniec, jak sztukmistrz, wyjął spod kapelusza zawiniętą w papier śniadaniowy połówkę pieczonego kurczaka.

– Wielkie nieba! Cudownie! – Sophie dorzuciła do sterty jedzenia ciasteczka, ale drożdżówkę z żurawinami zachowała na później. Z reszty ułożyła wieżę, która sięgała jej do nosa. – Tak będzie idealnie.

– Mamy wszystko?

– Uhum. – Ugryzła kawałek sera. Smakował fantastycznie, jednocześnie słony i kremowy. Pociąg zadygotał i powoli ruszył. Sophie miała Charlesa, pieczonego kurczaka i przysgodę. – Wszystko – odparła z pełnymi ustami.

W Dover przesiedli się z pociągu na statek. Pogoda była wietrzna. Morze huczało wokół nich. Było szare i dziko pachniało. Sophie próbowała nie patrzeć na wodę. Próbowała nie myśleć o nieżywych kobietach.

– Wszystko w porządeczku? – zapytał Charles.

Tylko skinęła głową, bo nie mogła mówić.

Co gorsza, wśród pasażerów był policjant.

– To niemożliwe, żeby przyjechał tutaj za mną – uspokajała się cichutko – pewnie jest na wakacjach. – Ale i tak przeszedł ją dreszcz. Chcąc zniknąć mu z oczu, przemknęła w stronę rufy, aż została sama na zewnętrznym pokładzie. Próbowała nie zwracać uwagi na morze. Jednak nie zwracać uwagi na morze to jak nie zwracać uwagi na mężczyznę z bronią: niewykonalne. Morze ciągnęło się aż po horyzont i chociaż wyteżała wzrok, nie widziała Francji. Chwyła się relingu i próbowała nie panikować.

Charles z daleka zobaczył jej minę. Podszedł bezszelestnie i delikatnie położył dłoń na ramieniu Sophie.

– Posłuchaj! – powiedział. – Słyszysz to?

Sophie słyszała tylko morze.

– Co? – Ze strachu zrobiła się trochę za bardzo opryskliwa. – Czego mam nasłuchiwać?

– Mruczando! Dobry znak.

– Jakie ando?

– Mruczando. Kiedy morze i wiatr mruczą w zgodnym rytmie. Jak ludzie, którzy razem się śmieją. O, znowu! Słyszałaś?

Sophie nie była przekonana.

– Tylko ludzie mruczą. Morze ryczy, a wiatr wieje.

– Nie, czasem morze i wiatr mruczą. Są starymi znajomymi.

– Aha.

Oderwała dłonie od relingu i chwyciła Charlesa za rękę. Poczwała zapach jego płaszcza i wyprostowała plecy.

– Kiedy zabrzmią razem – powiedział – przynoszą szczęście. Mruczando to dobry znak.



ROZDZIAŁ 1

Pewien oczywisty problem przyszedł Sophie do głowy dopiero na paryskim dworcu Gare du Nord, gdzie stała obok Charlesa z przyciśniętym do piersi futerałem na wiolonczelę.

Angielski tragarz z pociągu obserwował niebo.

– Znowu nadciąga burza, proszę pana. Mam nadzieję, że przywieźliście ze sobą parasole.

– Jestem Anglikiem – odparł Charles. – Zawsze noszę ze sobą parasol. Nie ruszyłbym się bez niego z domu, tak jak nie ruszyłbym się z domu bez jelita.

– Mimo to na pana miejscu bym się pospieszył, żeby dotrzeć do hotelu, zanim się rozpada. To niebo mi się nie podoba.

Właśnie wtedy Sophie uświadomiła sobie wspomniany problem. Zaskoczyło ją, że nie pomyślała o nim wcześniej, ale w tym całym pośpiechu nie sięgała wyobraźnią poza angielską kontrolę graniczną.

– Gdzie będziemy spali, Charles?

– Bardzo dobre...

– No i co potem zrobimy?

– Oba pytania bardzo dobre. Pierwsze jest łatwe. Grabarz bardzo chciał pomóc i polecił znakomity hotelik blisko Sekwany. – Charles podniósł swoją aktówkę. – Weźmiemy dorożkę.

Przy dworcu kolejowym czekał rząd powozów. Różniły się między sobą pod względem elegancji. Pod niektórymi zwisały interesujące wozowe wnętrzości, a inne lśniły i pachniały mydłem karbolowym. Sophie natychmiast się spodobał pojazd pomalowany na czarny i srebrny kolor. Koń pasował do powozu, a pysk miał chudszy i zabawniejszy od innych. Wyglądał jak Charles, jednak Sophie postanowiła tego nie mówić.

– Możemy wziąć tę? – Podsunęła szarej kłaczy ostatnią kostkę czekolady. – Koń wygląda na znudzonego.

– Oczywiście, że możemy. – Charles wyjął trochę monet dla woźnicy, który zaczął ładować

ich skąpy bagaż do dorożki. – Muszę przyznać, że francuskie konie są bardzo urodziwe. Paryż wywołuje we mnie poczucie, że powinienem uczesać włosy.

Sophie spojrzała wokół siebie, na wysokie drzewa górujące nad budynkami i brukowane ulice, odchodzące kręto we wszystkich kierunkach. Paryskie spódnice wyglądały inaczej niż londyńskie. Wydawało się, że kobiety w nich płyną.

– Tak, wiem, o co ci chodzi! – odparła. – Nawet gołębie są tutaj szykowniejsze niż w Londynie. – Poczula, że cała drży z emocji jak przed Bożym Narodzeniem. – Jak już dotrzemy do hotelu, to co potem zrobimy?

– Znajdziemy piekarnię i wymyślimy plan działania.

– Dlaczego piekarnię? Ja myślałam raczej o posterunku policji, poczcie albo ratuszu.

– Najważniejszym elementem planowania jest to, żeby mieć co zjeść. Na świecie byłoby mniej wojen, gdyby na posiedzeniach rządu ministrowie jedli pączki.

– A potem? – nie ustępowała. – Co potem?

– Potem wybierzemy się na polowanie.

Wysoko nad Sekwaną, dziesięć metrów w górze, ktoś o brązowych oczach obserwował ulicę. Patrzył, jak pod hotel Bost zajeżdża powozik i gramoli się z niego jakaś dziewczynka. Zauważył, że porusza palcami, a jej łopatki są napięte z podniecenia. Dostrzegł, że dziewczynka zaciska z determinacją zęby, ściąga z powozu futerał na wionoczelę i uskakuje skonsternowana do tyłu, żeby nie wpaść pod automobil. Tajemniczy obserwator zobaczył, jak dziewczynka nerwowo otwiera futerał, wyjmując z niego instrument i sprawdza go z obu stron, a następnie przykuca na chodniku, aby palcem wskazującym i kciukiem zagrać jakąś melodię.

Dźwięk niemal zatonął w odgłosach ruchu ulicznego, ale powieki brązowych oczu zatrzepotały, jakby obserwator był pod wrażeniem.



ROZDZIAŁ 8

Plan sporządzony przez Sophie i Charlesa z konieczności był prosty. Sophie zapisała go na skrawku papieru.

1. Znaleźć *rue Charlemagne*.

2. ?

Pióro Sophie zawisło nad cyfrą „2”. Potem narysowała duży znak zapytania, podkreśliła go czerwonym atramentem, włożyła listę do kieszeni i poszła do Charlesa.

Pokój Charlesa był sympatyczny, chociaż nie zasługiwał na miano porządnego. Stały tam dwa krzesła na niepewnych nogach, z siedziskami powycieranymi przez liczne pośladki, a na podłodze leżały dwa dywaniki, przy których zakupie sporo zaoszczędzono. Nawet świece przy łóżku wyglądały na kupione z drugiej ręki, ale pościel pachniała lawendą. Wiał wiatr od rzeki i powietrze było słonawe. W żadnym innym hotelu Sophie nie czuła się tak bardzo jak u siebie w domu. Na ogół w hotelach ciarki ją przechodziły.

Budynek był wysoki i wąski, wciśnięty między dwie bardziej okazałe kamienice. Noclegi kosztowały niewiele, ponieważ, jak właśnie odkryła Sophie, za potrzebą trzeba było iść do drewnianej budy w ogrodzie, ale poza tym hotel okazał się idealny. Ciasne ulice z kawiarniami na chodnikach wiły się za oknem w stronę rzeki.

Sophie usiadła na łóżku Charlesa i podskoczyła. Nad łóżkiem wisiał portret mężczyzny, który miał brodę przyciętą w szpic.

– Podoba mi się jego broda – powiedziała Sophie. – Mógł jej używać jako pędzla.

Charles podniósł wzrok, zaskoczony.

– Co? – Roześmiał się. – Znalazłaś łazienkę?

– Tak. Ale dzielimy ją z rodziną pajaków. Jest też gniazdo na belce pod sufitem. Całkiem mi się podoba.

– To dobrze. Pójdziemy zbadać twój pokój? Poniosę ci futerał. Nie? Jak sobie życzysz.

Pokój Sophie znajdował się na poddaszu. Nie bardzo było co badać. Miał tak wąskie drzwi, że Charles został na korytarzu, a Sophie weszła sama. Kiedy postawiła na podłodze futerał, dla niej zostało już bardzo niewiele miejsca.

– Popatrz! – powiedziała.

Na ścianach wisiały szkice tuszem, rozmieszczone bez żadnego widocznego porządku. Szybkie, czarne pociągnięcia sprawiały wrażenie, jakby chciały wyskoczyć z ramek.

– Podobają mi się. Wyglądają francusko.

– Wyglądają jak muzyka – ocenił Charles. Wyciągnął szyję i zajrzał głębiej. – Nie ma okna?

– Jest świetlik – uspokoila go Sophie.

Maleńkie łóżko miało po bokach zasłony z białej bawełny. Świetlik był zamontowany w spadzistym dachu. Sophie szybko zrozumiała, dlaczego Charles go nie zauważył: szybę pokrywała tak gruba warstwa ptasich odchodów, że okienko prawie się nie odróżniało od białego sufitu.

– Myślisz, że się otwiera? – spytała.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić.

Charles wcisnął się do pokoju, rozłożył na łóżku gazetę, stanął na niej i zwolnił zatrask. Okienko się nie otworzyło, kiedy je pchnął ani nawet kiedy stuknął parasolem w zawias.

– Zardzewiałe zawiasy – powiedział. – Sprawa do załatwienia. Okienko nie jest sklezione farbą z framugą, więc nie powinno być problemu.

– Myślisz, że w hotelu będą mieli oliwę?

– Wątpię. Ale jutro znajdziemy oliwę.

– Dziękuję ci. – Stała na łóżku i spojrzała przez szpary między gołębimi kupami. Zobaczyła czerwone kominy i błękitne niebo. – Serce bije mi tak mocno. Nie wiem dlaczego, ale wszystko wydaje mi się takie znajome. Naprawdę. Wierzysz mi?

– Paryż?

– Tak, w pewnym sensie. Może. Ale konkretnie miałam na myśli kominy. Wyglądają znajomo. I mają taki piękny kolor.

Charles był naukowcem, a naukowcy, jak często powtarzał, są stworzeni do tego, żeby zauważać różne rzeczy. Przypuszczalnie usłyszał w głosie Sophie, jak bardzo chce być sama, bo szybko podszedł do drzwi.

– Zostawię cię, żebyś się rozejrzała. Pół godziny, Sophie, a potem znajdziemy plan miasta i dotrzemy na rue Charlemagne. Skoro jest blisko rzeki, to na pewno mamy stąd niedaleko.



ROZDZIAŁ 9

Rue Charlemagne okazała się nietrudna do znalezienia. Szło się tam dziesięć minut. Dziesięć minut brukowanymi ulicami, pod skrzynkami z czerwonymi goździkami i między dziećmi, które jadły na ulicy ciepłe bułeczki. Dziesięć minut, podczas których serce Sophie jeździło na karuzeli, tańczyło kankana i ogólnie zachowywało się niesfornie.

– Uspokój się – szepnęła do siebie. – Przestań. Już dosyć.

– Mówiłaś coś? – spytał Charles.

– Nie, śpiewałam gołębiom.

Nad sklepem wisiał szyld. W oknie wystawowym leżały skrzypce na łożu z czegoś jedwabistego i trochę kwiatów. Jedyne skrzypiec nie pokrywał kurz.

Po wejściu do środka zobaczyli zagracony sklepik, w którym wszystko wyglądało tak, jakby za chwilę miało spaść z półki. Sophie wciągnęła brzuch i nerwowo zerknęła na Charlesa, który był strasznie wysoki i nie zawsze uważał na to, gdzie stawia nogi.

– Halo? – powiedziała Sophie.

– Dzień dobry? – dodał Charles.

Nikt nie odpowiedział. Stali bez ruchu i czekali. Sophie odliczyła pięć minut. Co dziesięć sekund wołała:

– Halo? *Bonjour*? Halo?

– Chyba nikogo nie ma – stwierdził w końcu Charles. – Wrócimy później?

– Nie! Zaczekamy.

– Halo? – powtórzył Charles po raz kolejny. – Mam tutaj dziecko od wiolonczeli, potrzebuje państwa pomocy.

Rozległ się dźwięk podobny do kichnięcia konia i w drzwiach za ladą stanął mężczyzna, który przecierał oczy. Był przygarbiony, a wielki brzuch zwisał mu nad paskiem.

– *Je m'excuse!* – odezwał się i dodał kilka szybkich zdań po francusku.

Sophie uśmiechnęła się z uprzejmą, ale tępą miną.

– Uhum – odparła.

– *Pas du tout* – powiedział Charles.

– Co on mówi? – szepnęła Sophie.

– Ach! – Mężczyzna się uśmiechnął. – Mówiłem, że uciałem sobie drzemkę. Jesteście Anglikami. – Po angielsku mówił z ciężkim, francuskim akcentem, ale płynnie. – Mogę w czymś pomóc?

– Tak, bardzo prosimy! W każdym razie mam taką nadzieję. – Sophie położyła na ladzie mosiężną tabliczkę. Zacisnęła osiem palców. – Chodzi nam o to.

– Była przykręcona do wieka futerału na wiolonczelę – poinformował go Charles. – Może nam pan coś na ten temat powiedzieć?

Mężczyzna nie sprawiał wrażenia ani trochę zaskoczonego.

– *Bien sûr*. Oczywiście. – Przeciągnął po tabliczce palcem. – To moje. Osobiście wygrawerowałem napis. Przybijamy je wewnątrz futerałów. Pod zielonym suknem.

– Tak! – Sophie otworzyła palce, a potem znowu je zacisnęła. – Tak, właśnie tam ją znalazłam!

– Czyli musi być stara, bo dziesięć lat temu przestaliśmy używać mosiądzu. Stwierdziliśmy, że rdzewieje pod suknem.

– Ale dlaczego pod suknem? – spytał Charles. – To chyba mija się z celem?

– Ależ skąd: dzięki temu tabliczka nie zarysuje wiolonczeli, jednak można znaleźć adres, gdyby okazał się potrzebny.

– A czy – Sophie wstrzymała oddech, ale potem musiała wypuścić powietrze, żeby móc dokończyć zdanie – pamięta pan, z którą poszła wiolonczelą? Pamięta pan, kto ją kupił?

– Oczywiście. Wiolonczele są drogie, moje dziecko. Jeden człowiek przez całe życie zrobi ich może dwadzieścia. Tutaj widzisz numer seryjny: 291054. To znaczy, że był to instrument dwudziestodwujęciocalowy. Przez ostatnie trzydzieści lat zrobiłem tylko trzy takie wiolonczele. Norma, jak z pewnością ci wiadomo, wynosi trzydzieści dwa cale.

– Ale kto kupił tę wiolonczelę? – Sophie przesunęła tabliczkę po ladzie w stronę lutnika. – Tylko to mnie obchodzi.

– Tę konkretną wiolonczelę, jak sądzę, kupiła kobieta.

– Kobieta? – Sophie zakotłowały się wnętrzności, ale zapanowała nad sobą. – Jaka kobieta?

– Urodziwa kobieta, jak sądzę.

– Można prosić o więcej konkretów? – wtrącił się Charles. – Jak dawno to było?

– Około... piętnastu lat temu. Mniej więcej. Jak na piękną kobietę wydawała się względnie normalna. Z moich doświadczeń wynika, że piękne kobiety są trochę dziwne.

– Co jeszcze może pan o niej powiedzieć? – naciskała Sophie. – Bardzo pana proszę! Co jeszcze?

– Była wysoka, jak sądzę.

– I co jeszcze? Co jeszcze?

Sophie podciągnęła bluzkę do ust i zacisnęła na niej zęby.

– Co jeszcze?

– Obawiam się, że niewiele.

– Bardzo pana proszę! – Sophie głośno szumiało w uszach. – To ważne. To strasznie ważne!

– Pamiętam, że miała palce muzyka. Bardzo blade, jak korzenie drzewa.

– Tak? I co jeszcze?

– Miała krótkie włosy i bardzo wyrazistą mimikę.

– Jakiego koloru włosy? Jakiego koloru oczy?

– Włosy jasne, chyba blond. Albo jasnorude. *Je ne sais pas*.

– Bardzo pana proszę! Niech pan spróbuje sobie przypomnieć! To ważne.

– Bardzo bym chciał ci pomóc, ale muszę przyznać, że kiepsko znam się na twarzach. Lepiej znam się na instrumentach. – Zmrużonymi oczami spojrzął na dwójkę ludzi, którzy stali ramię w ramię w półmroku. – Ale była bardzo podobna do ciebie, jak sądzę.

– Jest pan pewien? – spytała Sophie. – Daje pan słowo, że pan nie zmyśla? Daje pan słowo, że jest pan pewien?

– *Ma petite belle*, na starość człowiek rzadko może być czegokolwiek pewien. Bycie pewnym to zły nawyk. – Uśmiechnął się. – Nie idźcie jeszcze. – Opadł na krzesło. – Mam pomocnika, który był przy sprzedaży tej wiolonczeli. Ma lepszą pamięć ode mnie. W dzisiejszych czasach pamiętam tylko muzykę.

Pomocnik okazał się twardy i kanciasty w tych miejscach, w których właściciel sklepu był miękki i opływowy. Przez chwilę rozmawiali ze sobą po francusku, a potem młodszy z mężczyzn zwrócił się do Charlesa.

– Tak, pamiętam. Miała na imię Vivienne.

Imię to spadło na Sophie tak nagle, że poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w brzuch. Oddech opuścił jej ciało. Potrafiła tylko gapić się na młodszego mężczyznę wytrzeszczonymi oczami.

– Vivienne – powtórzył Charles. – A dalej?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam. Chyba jakiś kolor. Może Rouge. Nie wiem. Może Vert. *Oui*, chyba Vert.

– Vivienne!

Wnętrznosci Sophie wykonały piruet. Vivienne. Takie słowo może posłużyć jako zakłęcie.

– Dziękuję panu – powiedział Charles. – Pamięta pan coś jeszcze? Była mężatką? Miała ze sobą dziecko?

– Nie była i nie miała. – Pomocnik właściciela patrzył na Charlesa kąpiąco. – Ale była biedna, jej ubranie wołało o pomstę do nieba. Nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał o całej gromadce dzieci. Wyglądała na osobę będącą na bakier z prawem.

– Co? – zdziwiła się Sophie.

Prychnął.

– Wzbudzała podejrzenia.

Na widok miny Sophie Charles wkroczył do akcji.

– Była zawodowym muzykiem? – spytał.

Pomocnik lutnika wzruszył ramionami.

– We Francji kobiety nie są zawodowymi muzykami, proszę pana. I Bogu dzięki. Ale grała w sklepie na tej wiolonczeli, dopóki jej nie przerwałem.

– Przerwał jej pan?! – oburzyła się Sophie.

– Nie mów do mnie takim tonem, dziewczynko! Przeszkadzała innym klientom.

– Była dobra? – Ten człowiek najwyraźniej nie rozumiał, jakie to ważne, a ona nie miała pewności, jak mu to uświadomić. Zabębniła pięściami o ladę. – Była genialna?

Znowu wzruszył ramionami.

– Była kobietą, a kobiece talenty są ograniczone. – Sophie chciała go uderzyć, mocno, z całej siły. Chciała go tłuc jednym z wiszących na ścianie skrzypiec. – Dziwaczka.

Usłyszeli chrząknięcie. Stary właściciel stanął koło swojego pomocnika, trzymając w ręku smyczek, jakby to był bat.

– Proszę się trochę bardziej postarać, panie Lille.

Pan Lille poczerwieniał.

– To znaczy dziwaczka w sensie muzycznym. Grała marsze pogrzebowe w dwa razy szybszym tempie. Grała *Requiem* Faurégo bez należącego poważania.

– Naprawdę? – spytała Sophie.

– Naprawdę! – odpowiedział za pomocnika właściciel i uśmiechnął się. – To akurat pamiętam! Powiedziała, że mieszka koło kościoła i zna tylko marsze pogrzebowe.

– Koło kościoła? – spytała Sophie. – Powiedziała którego?

– Nie. Ale mówiła, że ludzie powinni móc tańczyć do muzyki, więc nauczyła się kościelnych melodii i grała je w dwa razy szybszym tempie.

Sophie była zachwycona. Sama chciałaby robić coś takiego.

– I była dobra, prawda? Wiem, że była dobra.

Palce ją świerzbiły.

– To nie ma nic do rzeczy – odezwał się pomocnik. – Zachowywała się nieprzyzwoicie. Uroczysta muzyka brzmiała przez nią frywolnie. To nie było... *comme il faut*.

– Mógłby nam pan to zademonstrować? – poprosił Charles.

– Nie, nie mógłbym.

Właściciel wyprężył plecy. Strzeliły jak pistolet i Sophie się skrzywiła.

– Ja mógłbym – oświadczył.

Pan Lille miał osłupiałą minę.

– *Monsieur!* Proszę pamiętać, co powiedział pański lekarz!

– Chcę zrobić dziewczynce przyjemność. – Z jednego z futerałów wyjął wiolonczelę. – Posłuchajcie.

Muzyka zaczęła się powoli. Sophie zadygotała. Nigdy nie lubiła *Requiem* Faurégo. Starszy pan przygryzł wargę i przyspieszył. Muzyka rozpedziła się do marszu, potem do biegu, aż w końcu brzmiała jednocześnie skocznie i smutno. Sophie miała ochotę klaskać do rytmu, który był jednak trudny do uchwycenia. Ta muzyka wierzgała i fikała.

– To jest jak burza – szepnęła do Charlesa. – Taką muzykę grałaby burza.

– Tak – odparł.

Starszy pan to usłyszał i zawołał, nie przerywając grania:

– Tak właśnie, *chérie*! Świetnie to ujęłaś!

Właściciel szybko – dla Sophie o wiele za szybko – odłożył smyczek.

– Coś w tym guście – podsumował. – Ona grała szybciej ode mnie, jak sędzę.

– Ale nie tak dystyngowanie jak *monsieur* Esteoule – wtrącił pomocnik. – Wymachiwała smyczkiem jak wariatka. Młodzi są głupi i wielbią szybkość.

Charles uniósł brew. Brwi potrafią zrobić silne wrażenie i pan Lille wyglądał na poskromionego.

– Przyznaję – powiedział – że nigdy nie słyszałem nikogo grającego tak szybko jak ta dziewczyna.

– Vivienne – szepnęła Sophie. – Miała na imię Vivienne.

– Tak, Vivienne – potwierdził *monsieur* Esteoule. – Teraz wyraźnie sobie przypominam, jak sędzę. Coś niezwykłego. *Mon Dieu*, ta prędkość! Wcześniej uznałbym to za niemożliwe.

– Ale tak się nie gra – zaprotestował pomocnik. – Mnie nie zaimponowała.

– A mnie tak – powiedział *monsieur* Esteoule. – Nawet bardzo. A niełatwo mi zaimponować.

Sophie zostawiła podziękowania i pożegnania Charlesowi. Nie mogła mówić. Musiała zatrzymać muzykę w głowie. Miała w mózgu kącik – z przodu po lewej – w którym przechowywała muzykę. Teraz ją tam zmagazynowała.

ROZDZIAŁ 10



Poznali imię i nazwisko, a to wszystko zmieniało. Charles umówił na następny dzień wizytę w policyjnych archiwach. Formularz wypełnił zgrabnymi wersalikami.

– *Nom du disparu* – powiedział. – To znaczy „nazwisko zaginionej osoby”. Vivienne Vert. – Potem się zawahał. – A tutaj piszą: „nazwisko zgłaszającego”.

– To my? Skłamiemy? Chyba nie podamy prawdziwych nazwisk, prawda?

– Naturalnie, że nie. Ale mimo to sprawa jest trudna. Formalnie rzecz biorąc, kochanie, jesteśmy zbiegami. Uważam, że powinnaś zostać w hotelu.

– Nie moglibyśmy po prostu podać fałszywych nazwisk?

– Tak, oczywiście. Ale Londyn mógł już rozesłać do najbliższych portów depezę z rysopisami.

– Mówiłeś, że to potrwa co najmniej kilka dni.

– Mówiłem, że na to liczę. Byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybyś została w domu.

– Dlaczego ja, a nie ty?

– Bo ja niczym się nie wyróżniam, kochanie. Ty zapadasz w pamięć. Nie pogniewaj się, ale moim zdaniem jesteś wyjątkowo łatwa do opisania. Przez te włosy.

Sophie rozważyła perspektywę czekania na Charlesa w pokoiku na poddaszu. Na samą myśl zrobiło jej się niedobrze.

– Nie, muszę iść z tobą.

– Jesteś pewna?

– Nie będę się odzywała, ale muszę iść z tobą.

Charles się zawahał.

– Masz spódnicę?

– Tak. A w każdym razie sukienkę.

– A kapelusik? Coś, żeby zasłonić włosy?

- Tak. Panna Eliot mi dała. Chociaż wyglądam w nim jak pudel.
- Znakomicie. W policyjnych opisach nie będzie żadnej wzmianki o pudlu. Włóż go.

Następnego dnia rano Sophie wcześniej się obudziła. Szybko się ubrała, a raczej podjęła taką próbę. Tego ranka niełatwo jej się oddychało. W piersiach miała za dużo nadziei, żeby mieściło się tam jeszcze powietrze.

Komenda policji znajdowała się w dużym gmachu. Za dużym i za zimnym, pomyślała Sophie. Ale recepcjonistka wyglądała sympatycznie i Charles poczęstował ją czekoladkami miętowymi, kiedy czekali. Zrobiła zaskoczoną minę, a potem uśmiechnęła się radośnie i wzięła trzy czekoladki. Sophie nie chciała ich jeść. I bez tego miała problemy z przełykaniem. Charles i dziewczyna rozmawiali o czymś ze śmiechem po francusku, wywołując zbyt głośne echo w marmurowym holu. Sophie wolałaby, żeby przestali. Ludzie się na nich gapili. Odsunęła się trochę i udawała, że czyta francuskie napisy na ścianach.

Recepcjonistka ją obserwowała, a potem pociągnęła Charlesa za połę płaszcza. Kiedy uprzejmie pochylił głowę w jej stronę, szepnęła mu coś do ucha. Spojrzała na Sophie i znowu się roześmiała. Zażenowana Sophie zrobiła naburmuszoną minę. Kiedy echo śmiechu recepcjonistki dogasało, pojawił się archiwista, toteż dziewczyna schyliła głowę i zaczęła wyglądać jakies papiery.

– Proszę się pospieszyć – powiedział. Po angielsku mówił bez akcentu. – Mogę państwu poświęcić tylko dziesięć minut. A ty, Brigitte, nie powinnaś się śmiać w godzinach pracy.

Archiwista miał zwyczaj zwilżać językiem zęby, zanim się odezwał. Przypomina ropuchę, łowiącą muchy, pomyślała Sophie. Próbowowała nie wyglądać na zdenerwowaną. Na górną wargę wystąpiły jej krople potu. Schowała się za Charlesa i zlizwała je.

Podczas marszu korytarzem za archiwistą buty Sophie stukały o marmurową posadzkę. Próbowowała iść na palcach, ale poruszała się przez to dwa razy wolniej. Archiwista odwrócił się i westchnął mlaskająco.

Sophie poczerwieniała.

– Przepraszam! Nie robię tego specjalnie, tylko... mam nowe buty.

Charles też się odwrócił, podszedł do niej i wziął ją za rękę.

– Nie przepraszaj. Masz świetne buty, twoje kroki brzmią, jakbyś stepowała.

Archiwista odwrócił się do nich plecami. Sophie pociągnęła Charlesa za ramię. Musiał się schylić, żeby mogła mówić szeptem.

– Co powiedziała recepcjonistka?

– Między innymi to, że jej zdaniem jesteś piękna. Opowiedziałem jej trochę o tobie. Mówiła, że masz twarz wojowniczkę.

– O! To dlaczego się śmiała?

– Nie śmiała się z ciebie. Poza tym przydałoby się tutaj trochę śmiechu, prawda?

– Tak! Tu jest jak w więzieniu. – Chwyciła go mocno. – Jakby zapomnieli o czymś ważnym, prawda? To znaczy jakby zapomnieli, że istnieją takie rzeczy jak koty i taniec.

– Otóż to. Niech zadrzą korytarze, co? Potuptamy trochę?

– Tak!

– Bądź odważna – powiedziała sobie. – Masz twarz wojowniczkę.

Wyprostowała plecy i potupała w głąb korytarza. Charles poruszał się krokiem polki na swoich patykowatych nogach. Wyglądał jak koń, który próbuje wejść na drabinę. Sophie od razu poczuła się lepiej. Podskoczyła wysoko i stuknęła o siebie kostkami. Charles plasnął dłonią o biodro w ramach aplauzu. Archiwista znowu westchnął znacząco, a grzywka mu zafalowała. Sophie pokazała za jego plecami język.

Archiwista zatrzymał się koło pokoju z dużym, brązowym biurkiem w środku.

– To jest nasz pokój przesłuchań – oznajmił. – Świeżo wyremontowany, więc proszę nie pozwolić dziewczynce niczego dotykać.

Obrazy na ścianach przedstawiały mężczyzn, których ubrania wyglądały na zbyt ciasne. Jeden z nich, sądząc po wyrazie twarzy, pierdział.

– Bardzo tu... czysto – powiedziała Sophie.

Wcisnęła kapelusik głębiej na włosy. Jakby celowo pomalowali wszystko na ponure kolory, pomyślała. Nawet żyrandol sprawiał wrażenie przygnębionego.

– Zapraszam do środka, panie Smith – rzekł archiwista. – Dziewczynka... – pokazał w stronę rzędu krzeseł pod ścianą korytarza – dziewczynka zaczeka na zewnątrz.

– Co? – zdziwiła się Sophie. – Nie! Charles, mogę? Proszę cię.

– Dziękuję panu – zwrócił się do niego Charles z opanowaną miną – ale „dziewczynka” do nas dołączy, jeśli zechce.

– Chcę – stwierdziła Sophie, a potem sobie przypomniała, że ma się nie odzywać, więc patrzyła na archiwistę z zaciśniętymi ustami.

– W takim razie proszę usiąść. – Archiwista był niski, nosem sięgał do obojczyka Charlesa. Jego kolejne westchnienie było tak potężne, że niemal zmarszczyło Charlesowi krawat. – To nie potrwa długo.

Sophie zerknęła na Charlesa.

– Dlaczego? – szepnęła. – To niedobrze, prawda?

Charles odrobinę pokręcił głową. Bezgłośnie powiedział: „Nic nie mów, serduszko”. Sophie zamilkła.

– Zanim zaczniemy – oświadczył archiwista – niestety muszę państwa poinformować, że niechętnie widzimy takie wnioski.

– Tak? – odparł Charles. Sophie nie odrywała od niego oczu. Twarz miał nieprzeniknioną jak ceglany mur. – Przecież rozpatrywanie takich wniosków to pańska praca?

– Owszem, jest to jakaś niewielka część mojej pracy, ale wniosek o dokumenty na temat zaginionej osoby, której państwo nigdy nie spotkali ani nawet nie widzieli, wydaje się absurdalny.

– Doprawdy? – Charles nie krył zdziwienia. – Fascynujące.

– Przepraszam, że to powiem, ale tego rodzaju poszukiwania w dziewięciu przypadkach na dziesięć prowadzą wyłącznie do straty czasu i rozczarowania.

– Rozumiem. A ten dziesiąty przypadek?

– Właściwie powinienem powiedzieć w dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach na tysiąc.

- Ach tak. A ten tysięczny przypadek?
- Nie będzie pan wyjątkiem. Nie potrafię uwierzyć, że taka kobieta istnieje.
- Istnieją tysiące rzeczy, w które nie wierzyliśmy, a jednak okazały się prawdziwe – stwierdził Charles. – Nie można przekreślać nawet najmniejszej możliwości.
- Kiedy to jest zupełnie niemożliwe, proszę pana. Pyta nas pan o kobietę, o której nic pan nie wie, nie zna pan jej miejsca urodzenia, daty urodzenia ani zawodu.
- Była muzykiem – wtrąciła się Sophie. – Chyba mu to powiedziałaś, Charles?
- Pani wybaczy, panno Smith, ale kobiety nie mogą być muzykami. Mamy dokumenty na temat kobiety, która nazywa się Vivienne Vert, ale...
- Macie? – Sophie usiadła prosto jak świeca. – Gdzie ona jest? – Archiwista puścił jej pytanie mimo uszu. – Co tam jest napisane?
- Charles powtórzył pytanie Sophie.
- Co jest napisane w tych dokumentach?
- Jeżeli podana przez pana informacja jest prawdziwa, nie może chodzić o tę samą kobietę. Nie była muzykiem. Miała pewne drobne kłopoty z prawem.
- Jakiego rodzaju kłopoty? – spytała Sophie.
- Wtargnięcia na cudzy teren, włóczęgostwo, zadawanie się z kloszardami i wagabundami. Tak czy owak, trzynaście lat temu rozplynęła się w powietrzu. Nagle zaginął po niej wszelki ślad w dokumentacji medycznej czy bankowej. Kobiety tego pokroju często znikają. Nie mamy żadnych informacji o dziecku. A już na pewno nie mamy żadnych informacji o tym, żeby ta kobieta znajdowała się na pokładzie Queen Mary.
- Zakładam, że możemy zobaczyć dokumentację Queen Mary? – spytał Charles.
- Niby proste pytanie, ale twarz mężczyzny zastygła, a kącik ust poszedł w dół.
- Ma pan jakiegokolwiek powody, żeby tam zaglądać?
- Oczywiście, że tak! – zawołała Sophie. – Ja byłam...
- Urwała.
- Tak?
- Nic.
- Była panną Smith i nie miała nic wspólnego z Sophie Maxim.
- Przepraszam – mruknęła. – Nic.
- Archiwista nadal ją ignorował.
- Moim zdaniem w większości spraw dobrym powodem jest ciekawość – powiedział Charles.
- Ma pan jakikolwiek powód, żeby nam ich nie pokazywać?
- Tak – odparł urzędnik i śmignął oczami w stronę szafek z dokumentami. – To znaczy nie całkiem. Chcę powiedzieć, że moim zdaniem dokumentacja mogła zatonać wraz ze statkiem. Tego rodzaju poszukiwania nie mieszczą się w moich obowiązkach. – Jego głos zrobił się piskliwy. – Robota papierkowa to skomplikowana sprawa, proszę pana! Obawiam się, że nie mogę panu pomóc.
- W takim razie czy mógłby pan przekierować nasz wniosek...
- Kawa! – krzyknął nagle archiwista i zadzwonił dzwonkiem. – Mogę pana poczęstować

kawą, zanim pan pójdzie?

– Nie, dziękuję. Wolałbym omówić...

– Nalegam! – Miał popłoch w oczach. – Francuska kawa jest najlepsza na świecie. – Recepcjonistka wtoczyła do pokoju srebrny wózek. Mrugnęła do Sophie. – Postaw na biurku i idź, Brigitte. Na czym stanęliśmy?

Sophie wzięła do ust łyk kawy i próbowała przełknąć, ale okazało się, że jej gardło przestało działać. Jak najdyskretniej wypluła kawę z powrotem do filiżanki. Ochlapała sobie przy tym białą bluzkę i archiwistą szarpnęło do tyłu.

– Przepraszam, za gorąca – mruknęła.

Nie wstając z krzesła, archiwista odwrócił się do niej plecami, co robiło wrażenie bardzo niewygodnej pozycji.

– Na czym stanęliśmy, proszę pana? – powtórzył.

– Na tym, że nie potrafi pan nam pomóc w znalezieniu dokumentacji Queen Mary. A ja pana poprosiłem o przekierowanie naszego wniosku do osoby, która ma inny stosunek do tej sprawy.

Nalewanie kawy dało urzędnikowi czas na pozbieranie myśli. Zwilżył swoje żabie usta.

– Niestety nie mogę tego zrobić. To absolutnie wykluczone. Przepisy nie pozwalają.

Charles skinął głową.

– Rozumiem – rzekł śmiertelnie uprzejmym tonem. – Mogłabyś na chwilę wyjść, Sophie?

– Dlaczego? Bo wyplułam kawę? Proszę cię, nie...

– Nie, nie dlatego, że wyplułaś kawę – odparł łagodnie. – Ale bardzo cię proszę, wyjdź na chwilę.

Kiedy spojrzała mu w twarz, wstała bez słowa.

– Będę tuż za drzwiami – powiedziała i zamknęła je za sobą.

Po wyjściu na korytarz usiadła na podłodze i ścisnęła się za kostki. Miała wrażenie, że jest tutaj zimniej i ciemniej niż przedtem. Zacisnęła pięści i zaczęła gapić się w sufit.

– Proszę – szepnęła do swoich kolan. – Proszę. Potrzebuję jej. – Jej serce kołatało boleśnie. – Nic innego nie chcę. Tylko jej.

Zza drzwi pokoju dobiegały głosy. Sophie otrząsnęła się i przystawiła ucho do dziurki od klucza. Metal był taki zimny, że aż się wzdrygnęła, ale przez dużą dziurkę od klucza słyszała wszystko wyraźnie.

W tym momencie mówił archiwista:

– ...absurdalne. Wyobraźnia dziecka, małej dziewczynki...

Potem głos Charlesa:

– Nie docenia pan dzieci. Nie docenia pan dziewczynek. Chcę się umówić z komendantem głównym.

– Pan z kolei przecenia swoją ważność. Nie mogę pana dopuścić do komendanta głównego.

– Rozumiem... – Charles urwał. Sophie wstrzymała oddech. – Dziewczyna w recepcji jest urocza, prawda? Bardzo mi pomogła.

– Nie dostrzegam, co to ma wspólnego z naszą rozmową.

– Wspomniała o pańskich nowatorskich metodach rachunkowości. Pańska biegłość liczbowa

jest naprawdę... nadzwyczajna. A pańskie konto bankowe pojawia się częściej, niż należałoby oczekiwać.

Sophie usłyszała jakiś chlupiący dźwięk. Zgadywała, że kawa archiwisty na powrót wyłoniła się z jego ust.

Usłyszała głos Charlesa:

– Nie mam ochoty babrać się w brudnych sprawach, ale uważam, że moje spotkanie z komendantem byłoby zarówno w moim, jak i w pańskim interesie.

– To jest szantaż.

– Oczywiście.

– Szantaż to przestępstwo.

– W rzeczy samej.

– Czy ta dziewczynka jest tego warta? – spytał archiwista głosem sztywnym i zimnym jak trup. – Warto popełniać dla niej przestępstwo?

– Warto – odparł stanowczo Charles. – Mógłbym z nią konie kraść.

– Wydała mi się całkiem zwyczajna.

Sophie słysząc to, najeżyła się.

– Większość ludzi się taka wydaje, dopóki ich nie poznamy – stwierdził Charles. – Sophie jest ponadprzeciętnie obdarzona inteligencją, silnym charakterem, a w tym momencie również plamami po kawie. Skoro już o niej mowa...

Krzesło szurnęło po podłodze i Sophie ledwo zdążyła odstać dwa kroki do tyłu, zanim drzwi się otworzyły.

– Wracaj, Sophie. Pan ma dla nas dobrą wiadomość.

Archiwista był bielszy niż przedtem i miał zmarszczony nos.

– Zorganizuję spotkanie z komendantem. Może będzie w stanie państwu pomóc.

– Dziękuję panu – powiedział Charles. – Jakże miło z pańskiej strony. Jutro?

– Niemożliwe. Właściwie cały ten tydzień jest bardzo zapchany. Nie jestem pewien, czy komendant...

Charles wstał. Wyprostowany na całą wysokość, górował nad archiwistą. Jego brwi przybrały swoją najgroźniejszą postać.

– W takim razie pojutrze. Dziękuję panu. Będziemy tutaj w południe. Chodź, Sophie.

Po raz drugi tego dnia szarpnęła go za ramię, żeby się schylił.

– Nie dopiłam kawy. Muszę to zrobić? – szepnęła.

– Nie. Myślę, że ja też zostawię moją. Smakuje jak dywan w płynie.

– To dobrze – odparła. – Chociaż mnie się wydawało, że smakuje jak spalone włosy.

Po raz drugi splunęła do filiżanki.



ROZDZIAŁ 11

Nocą w Paryżu było ciszej niż w Londynie. Sophie nie mogła spać. Kiedy położyła się do łóżka, księżyc świecił tak jasno, że mogła czytać w jego świetle, ale patrzyła na książkę, nie widząc słów.

Była wystraszona. Powiedziała sobie, że nie ma powodów się bać, ale tętno ciągle jej przyspieszało, aż w końcu nie mogła oddychać. Próbowwała myśleć o Charlesie, takim życzliwym i długonogim, a potem o matce, która być może przebywała zaledwie kilka ulic dalej. Nic nie pomagało. Potrafiła myśleć tylko o tym, że ją złapią, jakie to będzie straszne i jak wielką radość wywoła na twarzy panny Eliot.

W hotelu zapadła cisza. Sophie tak mocno się wierciła, że pościel pospadała na podłogę, ale sen nadal nie przychodził.

W końcu Sophie stanęła na łóżku i uważniej przyjrzała się okienku w dachu. Zapomnieli kupić oliwę i kiedy pchnęła okienko, nie przyniosło to żadnego skutku. Zawias był zardzewiały i obłaził.

Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Tak! – szepnęła.

Zbiegła na dół po dwa stopnie naraz. Stanęła pod drzwiami jadalni i zaczęła nasłuchiwać. Wydawało się, że w środku nikogo nie ma. Weszła, porwała z najbliższego stolika buteleczkę oliwy i już jej nie było, zanim mysz w kącie zdążyła choćby mrugnąć.

Po powrocie do swojego pokoju Sophie wylała trochę oliwy na skrawek gazety i posmarowała zawias. Po kilku minutach zawias nadal był zardzewiały, jednak lepka gazeta rozpadła się Sophie w dłoniach. Potrzeba czegoś wytrzymalszego, pomyślała Sophie.

– Płótno. Potrzebuję płótna – szepnęła.

Może nada się poszewka na poduszkę? Jednak hotel mógłby zgłosić pewne zastrzeżenia. Potem spłynęło na nią natchnienie: zdjęła wełnianą skarpetkę, wsunęła ją na dłoń jak rękawiczkę i wylała na nią pół buteleczki oliwy.

Z wysuniętym koniuszkiem języka, Sophie skrobała zawias. Zaczęły odchodzić grudki rdzy,

spod których wyłonił się jasny mosiądz. Z niewyjaśnionych powodów serce Sophie zaczęło łomotać. Kiedy zawias był już w miarę wyczyszczony, zwolniła zatrzask i mocno pchnęła okno. Nic się nie stało. Pchnęła jeszcze mocniej. Zaskrzypiało gniewnie, ale się nie otworzyło.

Zakłęła. Opadła na łóżko. Nie ma powodu tak się denerwować, to tylko okno. Może nie jest przeznaczone do tego, żeby je otwierać. Bez żadnego powodu musiała walczyć ze świerzbieniem z tyłu nosa, które poprzedza łzy.

– Uspokój się. Zachowujesz się głupio – powiedziała sobie. – Pomyśl.

Wstała i przy okazji strąciła coś ze stolika przy łóżku. Była to kupiona od kobiety na dworcu drożdżówka z żurawinami.

– Och! – szepnęła Sophie.

Od zewnątrz drożdżówka trochę wyschła, ale w środku nadal była słodka i lepka. Sophie zjadła ją w niecałą minutę.

Oblizła palce (natychmiast tego pożałowała: w połączeniu ze sobą cukier i oliwa smakowały paskudnie) i dźwignęła się na nogi. Splunęła w dłonie i całym ciężarem ciała pchnęła rogi ramy okna. Natężyła się i odskoczyła, kiedy okienko nagle się otworzyło z piskliwym skrzypnięciem.

– Tak! – triumfowała. Bez zastanowienia zaczęła wdrapywać się na dach. Stojąc jedną nogą na łóżku, odparła kolano o framugę, odbiła się i poszukała na dachu czegoś, czego mogłaby się uchwycić. Potem jęknęła z bólu, twardo klapnęła i znalazła się na dachu.

Na czworakach czekała, aż jej oddech się uspokoi. Cała się trzęsła i zauważyła, że kolano krwawi obficie. Oblizła je i obwiązała drugą pończochą.

Płaski, szary dach ciągnął się gładko, tu i ówdzie przystrojony ptasimi odchodami. Sophie zobaczyła komin, kurek pogodowy i warstwę czarnej sadzy na wszystkim. Pomyślała, że ten dach jest chyba najwyższy w promieniu wielu kilometrów. Obserwował ją pojedynczy gołąb. Zrobiła do niego minę. Popatrzył na nią wyniośle i odwrócił łeppek.

Podczołgała się na skraj dachu i spojrzała na miasto. Leżał pod nią Paryż, pokolorowany różnymi odcieniami nocnej czerni. Miasto było szachownicą ulic i placów. W świetle księżycy widziała wierzchy jasnych, sklepowych markiz – od góry okazały się zaskakująco brudne – i cylindry dwóch eleganckich panów. Z dachu cylindry wyglądają znacznie mniej idiotycznie. A ulice przypominają rzeki, pomyślała. Sama rzeka błyszczała w świetle księżycy niczym rtęć. Wiatr zmienił kierunek i przyniósł ze sobą zapach mokrego siana.

Wychyliła się jeszcze dalej i spojrzała prosto w dół. To był błąd. Cicho wyszeptwała przekleństwo, a żołądek podjechał jej do gardła. Dosyć szybko się wycofała, wbijając paznokcie w cegły kominów dla większego poczucia bezpieczeństwa. Nigdy wcześniej nie była tak wysoko. Pomyślała, że księżyc jest tak blisko, że mogłaby rzucić w niego kamieniem.

Zdjęła nocną koszulę i stanęła na dachu w majtkach i koszulce. Obróciła się w miejscu, a Paryż razem z nią. Wiatr powiał mocniej. Wielki bąbel szczęścia pęczniał w piersi Sophie. Rozpostarła ramiona i odtańczyła wokół kominów taniec wojenny, cichuteńko pokrzykując pod nosem.

Najchętniej spędziłaby tam całą noc, ale niedługo po tym, jak zegar wybił drugą, zrobiło jej się zimno, a kolano znowu zaczęło krwawić. Starła krew liśćmi, mocniej obwiązała ranę pończochą i opuściła się przez okienko do pokoju.

Tuż zanim świat zewnętrzny zniknął jej z pola widzenia, na dachu domu po drugiej stronie

ulicy coś się poruszyło, a w każdym razie tak wydawało się Sophie. Wiedziała jednak, że nocne cienie potrafią płatać figle i mógł to być po prostu duży ptak.



ROZDZIAŁ 12

Sophie nie spała długo. W połowie kolejnego snu została z niego wyrwana przez klekoczący huk i łupnięcie. Leżała twarzą w dół i poduszka stłumiła jej krzyk. Mimo to w ciemnościach rozległ się wyraźny głos:

– Nie wyj tak. Obudzisz cały hotel.

Stolik leżał przewrócony na podłodze obok rozbitego kubka. Na dywanie widać było plamy błota i sadzy. Koło łóżka stał jakiś chłopiec.

– Przestań – powiedział. – *Arrête!* Przestań płakać! Przestań, Sophie.

We własnej opinii Sophie nie płakała, tylko się dusiła, co w zaistniałych okolicznościach wydawało się rozsądne. Odgarnęła włosy z oczu.

– Kto ty jesteś? – Wzięła do ręki książkę i zasłoniła nią serce. To mogłoby się przydać, gdyby chłopiec spróbował dźgnąć ją nożem. – Będę krzyczała.

– Nie, nie krzycz.

– A to dlaczego? – Było zbyt ciemno, żeby go wyraźnie widziała. – Zaraz zacznę.

Jest niedużo starszy ode mnie, pomyślała. Miał długie nogi, twarz napiętą i czujną jak zwierzę. Nie wyglądał na mordercę. Zaczęło jej się trochę łatwiej oddychać.

– Bo nie lubię krzyku.

– Czego chcesz?

– Chcę z tobą porozmawiać, Sophie.

– Skąd wiesz, jak mam na imię? I co tutaj robisz?

– Usłyszałem na ulicy, że ten pan tak cię nazywa. Ten dryblas. Na którego ty mówiłaś Charles. Ja mam na imię Matteo.

– Śledziłeś nas?

Chłopiec podłubał w nosie.

– Tak. Wszystkich śledzę. Nie jesteście wyjątkowi.

– Co będzie, jeśli zacznę wzywać policję?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Nie zaczniesz. Ale jeśli to zrobisz, zniknę w... – Spojrzał w stronę okienka i spokojnie dokonywał obliczeń. – Sześć sekund.

– Chyba, że cię powstrzymam.

Znowu wzruszył ramionami.

– Faktycznie mogłabyś spróbować.

– Co tutaj robisz?

Sophie usiadła na łóżku.

– Tylko spokojnie – powiedziała sobie. – To dobrze, że pokój jest taki mały. Jeśli chłopak mnie zaatakuję, do drzwi mam ledwie trzy kroki.

– Wszedłem przez dach.

– Tak, przecież widzę! – Okienko było otwarte szerzej, niż je zostawiła, a poza tym naniósł gołębie kupy, pochodzące od co najmniej dwóch tuzinów ptaków. – Ale dlaczego? Dlaczego nie wszedłeś drzwiami?

– Nie zamykasz ich na klucz? To niebezpieczne. Powinnaś zamykać.

– Zamykam, żeby ludzie nie mogli wchodzić.

Jeszcze raz wzruszył ramionami. W ciemnościach trudno to było zobaczyć, ale może się z niej śmiał. Nie był to śmiech przyjazny.

– A w ogóle to jak dostałeś się na dach? Myślałam, że jedyna droga na dach prowadzi przez moje okienko.

– Myślałaś, że to jest jedyna droga na dach? *Vraiment*? Naprawdę tak myślałaś?

– Z czego się śmiejesz?

– Na każdy dach są setki dróg. Mogłem wejść po rynnie.

– Czyżby? Wtedy bym cię usłyszała, prawda?

– Raczej tak.

– W takim razie jak to zrobiłeś?

– Skoczyłem. Z sąsiedniego dachu.

– Skoczyłeś? – Sophie próbowała zrobić obojętną minę. – Czy to nie jest niebezpieczne?

Trudno było udawać obojętność.

– Nie. Nie wiem. Może. A co jest bezpieczne? Oko ci się rusza.

– Naprawdę? – Sophie zrezygnowała z obojętnej miny. – Och.

– *Oui*. Ale przejdźmy do rzeczy. – Spojrzał na nią surowo ciemnymi oczami. – Przeszedłem ci powiedzieć, żebyś trzymała się z daleka od mojego dachu.

Sophie odebrało mowę. Sądziła, że chłopiec chce wymusić od niej pieniądze albo ukraść wiolonczelę. Wpadła w takie osłupienie, że zapomniała o strachu.

– To nie jest twój dach! Jak może być twój?

– Wszystkie dachy między rzeką a dworcem kolejowym są moje. Nie dałem ci pozwolenia, żebyś tam wchodziła.

– Ale... dachy nie należą do nikogo. Są jak powietrze i woda. To wspólna własność.

– Nieprawda. Są moje.

– Dlaczego? Dlaczego są twoje?

– Po prostu. Ja znam je najlepiej. – Sophie nie była przekonana, co najwyraźniej znalazło odbicie na jej twarzy, bo chłopiec się naburmuszył. – Tak, znam je najlepiej! Wiem dokładnie, które kominy przewrócą się następnej jesieni i które grzyby rynnowe można jeść. Założę się, że nawet nie wiedziałaś, że te grzyby, które rosną w rynnach, można jeść. – Sophie nie wiedziała, że istnieją, więc nic nie odpowiedziała. – I znam gniazdo każdego ptaka po mojej stronie miasta.

– To nie znaczy, że dachy są twoje.

– Należą do mnie bardziej niż do kogokolwiek innego. Mieszkam na nich.

– Nie, nie mieszkasz. To niemożliwe. Nikt nie mieszka na dachach. Ludzie mieszkają w domach.

– Nie wiesz, o czym mówisz. – Chłopiec zmiażdżył ją wzrokiem. Huknął w ścianę i jego dłoń zostawiła po sobie czarny ślad. Środkowy palec prawej dłoni nie miał koniuszka. – Posłuchaj, to głupie: nie chcę robić ci krzywdy, ale nie wchodź na dach, bo...

– Bo co?

– Zrobię ci krzywdę – oznajmił rzeczowym tonem sprzedawcy chleba.

– Ale dlaczego? Co ci to przeszkadza?

– Będziesz za mało uważała. Zdradzisz mnie. Ty masz ulice. Korzystaj z nich.

Chmury ześliznęły się z księżycy i srebrny blask na chwilę wypełnił pokój. Twarz chłopca była mocno opalona albo po prostu bardzo brudna; miał ostre rysy i wielkie oczy.

– Muszę wchodzić na dachy – powiedziała Sophie. – Potrzebuję ich.

– Dlaczego?

– Bo... Trudno to wyjaśnić. Czuję się na nich bezpiecznie. – Zaczerwieniła się. Chłopiec prychnął. – Znaczą one dla mnie ważne.

– I co z tego? *Et alors?*

– Mam wrażenie, że już wcześniej tu byłam. Myślę, że mogą być wskazówką.

Sądziła, że chłopiec da za wygraną. Tak się robi, jest to oznaka dobrych manier.

Ale on wpatrywał się w nią bez uśmiechu.

– *Non*. Dachy nie są żadną wskazówką. Są moje. Zdradziłabyś mnie. Byłabyś powolna. Jak ktoś jest powolny, to ludzie go widzą.

– Nie jestem powolna!

Spojrzał na jej dłonie i stopy.

– Za łatwo krwawisz. Wyglądasz na mięczaka.

– Nie jestem mięczakiem. Popatrz! Nie idź, popatrz. – Sophie uniosła lewą dłoń. Koniuszki palców były zrogowaciałe od strun wiolonczeli. – Czy one wyglądają na miękkie?

– Tak, wyglądają. – Sophie chciało się wrzeszczeć. – I robiłabyś hałas.

– Skąd wiesz? Nie znasz mnie.

Co za bezczelność: nie dość, że włamuje się do jej pokoju, to jeszcze obraża jej kontrolę nad poziomem głosu.

– Wszyscy chodnikołazi są hałaśliwi. Zdradziłabyś mnie. Albo byś spadła, ludzie zaczęliby się rozglądać i nas znaleźli. To znaczy mnie znaleźli. Nie będziesz już tam włąziła.

– Nie powstrzymasz mnie.

Chłopiec westchnął. Zaczął mówić takim tonem, jakby jego cierpliwość wisiała na włosku:

– Dobra! Ale zostań na swoim dachu. Nie podchodź do krawędzi. Nie wychylaj się. Nie zostawaj na dachu po wschodzie słońca, bo ludzie cię zobaczą. Nie rób hałasu, bo cię usłyszę, a wtedy przyjdę i spalę ci włosy, jak będziesz spała.

– Kiedy ja tak nie mogę! – zaprotestowała. – Naprawdę nie mogę. Muszę się porozglądać. Muszę dowiedzieć się więcej. Mogłabym... – zawahała się. – Mogłabym pójść z tobą?

Obrzucił ją zimnym jak lód spojrzeniem, które aż paliło.

– Dobra! Jeśli potrafisz mnie dogonić.

Chłopiec nie kłamał, kiedy mówił, że zniknie w sześć sekund. Chwycił za futrynę i dźwignął się na dach, zanim Sophie zdążyła policzyć do pięciu. Wydawał się zrobiony ze sprężyn i skóry.

Sophie ruszyła za nim. Kosztem tylko niewielkich otarć, odrobiny krwi. Miała długie nogi i była szybka, ale kiedy znalazła się na dachu, chłopiec był już cztery dachy dalej. Dziwnie utykał. W każdym razie założyła, że to on, bo widziała tylko czarny cień, zmieszany z cieniami chmur, które przesuwają się przez tarczę księżycy.

Sophie podążyła za chłopakiem. Noc zrobiła się wilgotna i dachówki były śliskie w nieoczekiwanych miejscach. Sophie nie miała odwagi biec szybko, tylko truchtała po swoim dachu, a potem sąsiednim.

Bieganie po dachu nie przypominało żadnego innego biegania. Sophie zgięła plecy i usiłowała trzymać głowę nisko. Ktoś, kto zobaczyłby sterczącą nad balustradami i kominami pupę, nie umiałby tego wyjaśnić. Jej ramiona i palce wydawały się dłuższe niż zazwyczaj i wchodziły jej w drogę.

Sophie przystanęła, zdyszana. Wzmógł się wiatr, więc przytrzymała się komina. Zegary na dole zaczęły wybijać czwartą. Paryż się budził. Jego odgłos brzmiał w uszach Sophie jak buczenie tysiąca tajemnic, pomruki tuzina wróżbitów.

Nigdzie nie widziała chłopaka. Zniknął.



ROZDZIAŁ 13

Następnej nocy Sophie zaczęła trenować.

Nigdy wcześniej tak ciężko nie pracowała. Robiła przysiady i podciągała się na futrynie drzwi. Ćwiczyła balansowanie na jednej nodze z zamkniętymi oczami. Za pierwszym razem wytrzymała w tej pozycji siedem sekund, za setnym już minutę czterdzieści dwie sekundy. Na bosaka biegła tam i z powrotem po dachu i śpiewała pod nosem, żeby odsunąć od siebie ból.

Koło pierwszej w nocy nagle sobie uświadomiła, dlaczego bieg Matteo wyglądał inaczej. Chłopiec stawiał najpierw palce, a potem pięty, co przesunęło środek ciężkości gdzieś w pobliże kolan. Olśnienie to było jak gorąca woda, jak rozwiązanie zadania matematycznego.

O drugiej w nocy pojawił się chłopiec. Kucnął za kominem dwa dachy dalej.

– Widzę cię! – krzyknęła. – Nie wydam cię!

Zrobiła gwiazdę. Najbardziej wyzywającą gwiazdę, jaką kiedykolwiek wykonano na paryskim dachu.

Sophie obróciła się w miejscu. Czuła się zmotywowana i twarda. Mało prawdopodobne, że mięśnie jej się wzmocniły. Podejrzewała, że to wymagałoby wielu miesięcy treningu. Ale na razie jej wystarczyło, że mięśnie się dla niej obudziły. Działały teraz bardziej jak mięśnie kota: bardziej sprężyste i szybsze. Mięśnie to coś, co warto mieć, pomyślała. Dzięki nim łatwiej dotrzeć do świata.

Na górze wiał mocny wiatr i dmuchnął jej w oczy pyłem z komina. Za pomocą gałązki odgarnęła włosy do tyłu.

Na dachu ciemności były ciemniejsze, gęste i nieme. Na ulicy w dole ciemności wydają się nudne i – nomen omen – przyziemne jak tablica szkolna, a tu w górze – pełne niewidocznych ptaków i miejskich szeptów. Różnił się także zapach. Sophie oceniła, że na poziomie ulicy potrafi poczuć zapachy najwyżej z kilku metrów. Na górze mieszały się zapachy wszystkich

paryskich piekarni i sklepów ze zwierzętami. Wynik był gęsty, osobliwy i rozkoszny.

Z dachu księżyc wyglądał na dwa razy większy i trzy razy piękniejszy. Taki widok jest wart każdego wysiłku.

Sophie wyobraziła sobie matkę, tu w górze, między gwiazdami. Miejsce matek jest na dachach.

Przeszła na sąsiedni dach, przeskoczyła przez metrową lukę na następny i biegiem pokonała kolejne trzy.

– Matteo! – krzyknęła. – Wiem, że mnie słyszysz. Nie zrezygnuję! Będę dalej badała teren! – Potem, czując się głupio, Sophie niepewnie zawołała w noc: – Sztama? Zakolegujemy się?

Gdzieś na dole zarżał koń. Zabrzmiało to tak, jakby się śmiał.

W drodze powrotnej Sophie biegła, naprawdę biegła, nie truchtała. Serce biło jej jak oszalałe. Wiatr ciągnął ją za ubranie i włosy, lecz ani na chwilę nie straciła równowagi. Tak musi być w niebie, pomyślała. Czuła się pewna siebie jak wrona. Mówcie, co chcecie o wronach, ale to są ptaki, które wiedzą, co robią.



ROZDZIAŁ 14

Sophie przygotowywała się na spotkanie z komendantem tak jak inni ludzie przygotowują się do wojny. Umyła się zimną wodą i przylizła brwi śliną. Wtarła lawendę w przeguby i szyję. Ćwiczyła przed lustrem niewinną minę. Wypolerowała śliną buty i zmyła z pończoch oliwę i ptasie odchody.

– Wyglądasz tak – powiedział Charles, kiedy się spotkali przy wyjściu z hotelu – jakbyś za chwilę miała zaśpiewać solo w kościelnym chórze.

– Naprawdę? – Zawiązała końcówkę warkocza i wcisnęła ją pod kapelusik. – Na to właśnie liczyłam.

– Naprawdę. Wyglądasz tak, jakbyś była właścicielką co najmniej jednego kucyka. W ogóle siebie nie przypominasz. Brawo!

Kiedy szli ulicami, Sophie miała wrażenie, że patrzy na Paryż nowym, krytycznym okiem. Odchyliła głowę do tyłu i prawie podświadomie oceniała dachy. Ten za stromy, ten o wiele za niski, a ten idealny, nie licząc wątlej rynny.

Kiedy ich oczom ukazała się komenda, Sophie pomyślała, jak cudownie byłoby wspiąć się na jej dach. Był płaski i wyposażony w rynnę z grubej, żelaznej blachy. Sophie cała się spięła, kiedy weszli do środka. Zdecydowanie wolałaby być na dachu.

Spotkanie odbyło się w pokoju z wysokimi sufitami i dużymi meblami, chyba specjalnie tak zaprojektowanymi, żeby Sophie poczuła się mała. Za drzwiami stał na baczność strażnik.

Szybko sobie uświadomili, że jest to raczej pułapka niż spotkanie.

Komendant nie wstał, żeby się z nimi przywitać. Machnięciem ręki pokazał na dwa krzesła.

– *Bonjour*. Dzień dobry.

Po angielsku mówił z wyraźnym francuskim akcentem, jakimś takim wąsatym.

– Proszę usiąść, panie Maxim, panno Maxim.

Sophie zdążyła usiąść, zanim do niej dotarło, co powiedział komendant. Potem się ocknęła, skoczyła na nogi i ruszyła w stronę drzwi.

– Charles! – zawołała. – Chodź! Uciekamy!

Charles się nie poruszył. Stał na środku pokoju z parasolem w ręku i kamienną miną. Wyglądał jak żołnierz. Sophie zatrzymała się z dłonią na klamce.

Na twarzy komendanta wykwitł uśmiech.

– Powiedziałbym: witamy w Paryżu, ale nie byłoby to z mojej strony szczere.

– Co się dzieje? – spytał Charles. – Zamierza mnie pan aresztować?

– *Non*. Zamierzam dać panu wybór. Proszę usiąść.

– Jaki wybór?

Charles pozostał na stojąco.

– Proszę usiąść. Marnuje się wygodne krzesło.

Sophie została tam, gdzie była, a Charles usiadł.

– Jaki wybór miał pan na myśli?

– Bardzo prosty. Jeżeli nie zrezygnuje pan ze swoich dziecinnych poszukiwań i nie opuści tego kraju, każę pana wsadzić do więzienia.

Nozdrza mu się rozszerzyły, jakby ucieszyła go ta perspektywa.

– Rozumiem. Prostota tej koncepcji rzeczywiście jest godna podziwu. Mogę zapytać, dlaczego jeszcze pan tego nie zrobił?

– Myślę, że chcemy uniknąć zamieszania, *si possible*. *Non*?

– Nie – powiedziała Sophie. – Ja wolałabym zamieszanie. Musimy ją znaleźć.

– Posłuchaj, dziewczynko. *Écoutez-moi*. Queen Mary poszła na dno. Nie przeżyła ani jedna kobieta. Listy pasażerów, adresy, listy płac załogi, polisy ubezpieczeniowe, wszystko to zostało stracone razem ze statkiem. Nie mam ochoty zaczynać dochodzenia. Ty nie masz ochoty trafić do sierocińca. Jesteśmy jak bliźnięta, prawda?

– Nienawidzę cię – szepnęła Sophie. – Nienawidzę cię.

– Daję wam jeden dzień na zarezerwowanie podróży powrotnej do Anglii. Polecam port w Dieppe. O tej porze roku jest tam bardzo pięknie.

Charles się uklonił.

– Proszę zwrócić uwagę, że moja mała podopieczna jeszcze pana nie opluła. Podziwiam ją za powściągliwość.

Przez jedną szaloną chwilę Sophie myślała, że Charles sam plunie na komendanta – odchylił głowę w taki sposób, jakby się do tego przymierzał – ale on tylko wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju.

Przeszli sto metrów korytarzem, a kiedy stracili strażnika z oczu, Charles zaklął pod nosem i zaczął biec. Sophie ledwo za nim nadążała. Spadł jej kapelusik, ale go zostawiła.

Obok osłupiałego odźwiernego wypadli przez ogromne drzwi na słońce.

– Nie mogłem tam wytrzymać ani chwili dłużej – powiedział Charles. – On kłamał.

– Tak! Nozdrza mu się rozszerzały.

- Czyli ty też to zauważyłaś. Były takie szerokie, że zmieściłby się tam prom.
- Ale jednego nie rozumiem. – Zatrzymała się i oparła o latarnię. – Dlaczego tak mu na tym zależy? Myślisz, że miał coś wspólnego z tą katastrofą?
- Może nie z katastrofą, ale podejrzewam, że chce zataić dokumenty.
- Dlaczego? Po co mieliby to robić?
- Dziesięć lat temu w Europie wybuchł skandal, związany z serią statków, które zatoniły. Było to oszustwo ubezpieczeniowe: nienadający się do żeglugi statek dostawał licencję, tonął, a jego właściciele występowali o odszkodowanie. Pasażerowie, którzy przeżyli, opowiadali sprzeczne historie. Prawda się rozmywała, dokumenty palono albo ukrywano, żeby nikt nie mógł sprawdzić, kto przyznał statkowi licencję. W sumie było osiem przypadków, zanim kogokolwiek złapano.
- Ale... ludzie też tonęli?
- Setki ludzi. Inaczej wyglądałoby to podejrzenie.
- To obrzydliwe! To nieludzkie!
- Wiem, kochanie. Pieniądze potrafią odebrać ludziom człowieczeństwo. Najlepiej jest trzymać się z daleka od tych, którym za bardzo zależy na pieniądzach, kochanie. Tacy ludzie mają kiepskie, wątle mózgi.
- I jednym z tym statków była Queen Mary?
- Tak.
- Czy to znaczy, że spalili dokumenty?
- To niemożliwe, pomyślała. Nie wolno im było tego robić. Ona potrzebuje tych dokumentów.
- Raczej nie. Jeśli była w to zaangażowana więcej niż jedna osoba, palenie czegokolwiek byłoby niemądre.
- Dlaczego? Nie rozumiem. Ja na ich miejscu bym spaliła.
- Jeśli cię złapią, lepiej mieć dowód, że nie działałaś sama. Przestępcy są wobec siebie lojalni tylko w książkach. – Charles wyczyścił okulary. Jego oczy za szklami patrzyły ponuro. – Nie twierdzą, że tak właśnie było, ale to możliwe.
- Nigdy nie przekreślaj możliwego?
- Właśnie. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Sam bym tego lepiej nie ujął.
- Gdzie by trzymali takie papiery?
- W przeróżnych miejscach. W swoich domach, biurach, pod podłogą. Jest też archiwum na najwyższym piętrze komendy. Cztery miliony kartek papieru w stu szafach, jak mi powiedziano.
- Kto ci powiedział?
- Ta młoda kobieta z recepcji. Powinni dać jej awans. W recepcji się marnuje. Przeszli na drugą stronę ulicy, żeby uniknąć stada amerykańskich turystów.
- Charles?
- Co?
- Właściwie to nic. – Zamilkła na chwilę. – Charles?
- Słucham cię.
- Czy papiery najlepiej ukryć między innymi papierami?

- Chyba tak.
- Czyli...
- Tak, rozumiem, do czego zmierzasz.
- A na najwyższym piętrze jest archiwum, tak?
- Sophie...
- Tak powiedziałaś. – Pojawiło się świerzbienie skóry, które towarzyszy ciekawym pomysłom. – Gdyby...
- Nie, Sophie.
- Ale...
- Nie. Nie mogę pozwolić, żeby cię złapali. Masz się tam nie zbliżać. Nawet o tym nie myśl.
- Ale nie wracamy do Anglii. – To nie było pytanie. – Nie wrócę. Nie mogę. Przecież być może jesteśmy tak blisko.
- Oczywiście, że nie. Ale będziesz musiała zostać w hotelu, Sophie. Mówię poważnie.
- Beze mnie tego nie zrobisz...
- Zrobię. Musisz mi zaufać, że poradzę sobie bez ciebie.
- Jak wtedy będę mogła pomóc? Musisz pozwolić mi pomóc! Co zamierzasz zrobić?
- Wynająć prawnika.
- Jakiego?
- Najlepszego, na jakiego nas stać. Czyli, niestety, nieszczęśliwie dobrego. I pokręcę się po okolicznych barach, może usłyszę jakieś plotki.
- Na temat mojej matki? Na temat Vivienne?
- Ogólnie na temat wiolonczelistów.
- Aha. – Sophie miała sceptyczny stosunek do prawników, ale Charles był taki zdeterminowany i miał takie dobre oczy, że nie chciała mu o tym mówić. Zamiast tego powiedziała:
 - Gdyby udało mi się dostać do tego archiwum...
 - Nie. Na każdym piętrze jest strażnik. Widziałaś tego koło biura komendanta?
 - Tak, ale gdyby archiwum...
 - Strażnik był zbudowany jak nosorożec. Tacy jak on są na każdym piętrze. – Charles spojrzął pod słońce. – Chciałbym też, Sophie, żebyś trzymała się z daleka od innych gości hotelowych. Nawet nie otwieraj drzwi swojego pokoju.
 - Dobrze. – Uznała, że to nie jest kłamstwo. – Nawet nie otworzę drzwi.
- Zerknął na nią, a ona odwzajemniła spojrzenie z niewinną miną.
- Przykro mi. – Charles westchnął. – Wiem, że jest tam duszno. Przyniosę ci jakieś dobre książki.
- Sophie milczała, ale puls przyśpieszył. Nigdy nie przekreślaj możliwego, pomyślała.



ROZDZIAŁ 15

Tego wieczoru Sophie wcześniej pożegnała się z Charlesem, a kiedy słońce zaczęło zachodzić, wyszła na dach.

Usiadła, oparta plecami o komin, i czekała, aż zrobi się naprawdę ciemno. Wsunęła kolana pod brodę i rozważała możliwości.

Z zaskoczeniem stwierdziła, że nie należy do nich rezygnacja. To było dziwne. O ile wiedziała, o tyle nie należała do ludzi szczególnie odważnych. Bała się głębokiej wody, dużych tłumów i karaluchów. Kiedy myślała o tym, że ją złapią i odwiozą z powrotem do Anglii, ze strachu dostawała mdłości. A przecież rezygnacja była jednakowo niemożliwa jak latanie. Tu, w Paryżu, jej matka sprawiała wrażenie dużo bardziej realnej. Sophie prawie czuła jej zapach; wiedziała, że jest to zapach róż i żywicy, że czeka na nią tuż za rogiem.

Wstała. Nie wymyśliła wcześniej żadnego planu, ale zachowywała się tak, jakby od początku wszystko zaplanowała. Zdjęła buty i trzymała je w zębach. Potem ruszyła na północ. W kierunku chłopaka.

Po dwudziestu minutach stanęła, wyjęła z jednego buta sznurówkę i obwiązała nią komin. Chciała zasygnalizować chłopakowi, że nie boi się opuszczać swojego dachu. Na każdym kolejnym dachu Sophie przywiązywała coś do komina: najpierw drugą sznurówkę, później pończochy i dwie wstążki do włosów (wszystko to łatwo się przywiązywało), a potem chusteczkę do nosa, z którą musiała trochę pokombinować, bo była za krótka. Na ósmym dachu Sophie obwiązała wokół komina szlafrok, zszarzały od zbyt częstego prania, więc nie było jej żal się z nim rozstawać.

Na dziewiątym się zatrzymała. Stanęła na jednej nodze. Od sąsiedniego dachu oddzielała ją przepaść długości deski do prasowania.

– To nie jest daleko – powtarzała sobie Sophie. Prawie na pewno uda jej się przeskoczyć. Z jakiegoś powodu nie potrafiła jednak przekonać do tego swoich stóp.

Zawahała się, a potem zdjęła koszulę nocną i rzuciła ją w stronę komina. Przez moment myślała, że koszula wpadnie do środka, ale zgrabnie wylądowała na brzegu, a rękaw kołysał się na wietrze jakby pozdrawiał ciemności.

Potem Sophie odwróciła się i pobiegła tak szybko, na ile starczyło jej odwagi. W samych majtkach, z butami w zębach i ramionami rozpostartymi na boki dla równowagi, nad głowami setek pogrążonych we śnie Francuzów, pognała wzdłuż eleganckich, paryskich ulic z powrotem do łóżka.

Następnego wieczoru pojawił się Matteo. Przyniósł ze sobą jej nocną koszulę i pończochy. Przyszedł dokładnie o północy, pod osłoną bicia zegarów. Sophie obudziła się dopiero wtedy, kiedy stał dziesięć centymetrów od jej twarzy.

– Rany boskie! – zawołała. – Zaskoczyłeś mnie.

– Wiem. – Rzucił ubrania na łóżko. – Szlafrok zatrzymałem. Jest mi potrzebny. – Usiadł na skraju łóżka. – Wy tłumacz się.

– Przysięgasz, że nikomu nie powiesz? – spytała Sophie.

– Nie.

Sophie nigdy wcześniej nie słyszała takiej odpowiedzi na to pytanie. Wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

– Nie przysięgniesz?

– Nigdy nie przysięgam. Ale mi powiedz.

Zagryzła wargę. Chłopak wyglądał na nieustraszonego, a nieustraszeni ludzie zazwyczaj nie paplają.

– Jeśli na mnie doniesiesz, dopadnę cię – zagroziła. – Pamiętaj, że nie boję się dachów.

Wszystko mu opowiedziała. Zaczęła od Queen Mary, przeszła przez pannę Eliot, Charlesa i swoją wiolonczelę, a skończyła na Paryżu i kominach.

– I wiesz co, mam takie poczucie, że już tutaj kiedyś byłam.

– W Paryżu?

– W Paryżu i na dachach. Ale to takie trudne. Charles próbuje, ale to tylko jeden człowiek. Nikt inny mi nie pomoże.

– Czy to jest prośba?

Spojrzała na chłopca. Chyba miał na sobie dwie pary szortów, jedno na drugich. Czerwonej parze na wierzchu brakowało połowy nogawki, toteż wystawała spod nich niebieska para. W sumie od biedy składały się na jedną parę szortów. Bluzę miał podniszczoną, ale tej nocy sprawiał znacznie lepsze wrażenie – jego twarz wydawała się inteligentna i bystra.

– Tak, to jest prośba – odparła Sophie.

– Masz plan?

– Oczywiście. Przygotuję ogłoszenia. No i są jeszcze prawnicy.

Matteo prychnął.

– Oni ci nie pomogą.

– Nieprawda, pomogą! Dlaczego tak mówisz?

– Może kogoś znajdziecie, ale nie sądzę, żeby któryś chciał zawalczyć przeciwko komendantowi policji. Wszyscy prawnicy w Paryżu są skorumpowani, większość policjantów też.

– Skąd wiesz? – Serce jej zadrżało. – Nie możesz tego wiedzieć! Ktoś musi nam pomóc! To potwornie ważne.

– Przez cały dzień słucham, co ludzie mówią. Mieszkam na sądach, więc wiem.

– Przecież z dachu niczego nie słyszysz!

– Słyszę. Stamtąd, gdzie mieszkam, słyszę połowę miasta. To działa jak tunel powietrzny. Słyszę całą muzykę Paryża, wszystkie konie i wszystkie przestępstwa.

Sophie zastygła.

– Słyszysz całą muzykę?

– Tak, oczywiście.

– Jaką?

– Przeróżną. Głównie śpiewające kobiety. Mężczyzn z gitarami i orkiestrę wojskową.

– Słyszysz muzykę wiolonczelową? Słyszałeś *Requiem* Faurégo?

– Nie rozpoznałbym *Requiem* – odparł Matteo. – Co to jest? Brzmi jak choroba skóry.

– Mogę ci zagrać. – Sophie wstała, żeby pójść po wiolonczelę, a potem się zawahała. – Jeśli teraz zagram, ludzie usłyszą, a wtedy mogą przyjść na górę i cię znaleźć.

– To chodź na dach. Ja pójde pierwszy, a ty podasz mi swoją... wiolonczelę, tak to się nazywa, prawda?

Kiedy byli już na zewnątrz, Sophie usiadła na kominie i postawiła sobie wiolonczelę między nogami. Znała *Requiem*, ale nigdy nie grała go w dwa razy szybszym tempie.

– Mogę trochę fałszować, ale myślę, że to szło mniej więcej tak. Słuchaj uważnie, dobra? Potem mi powiesz, czy to kiedyś słyszałeś.

Palce trochę jej się plątały, ale uznała, że jej dokonania przynajmniej trochę przypominały magiczną muzykę, która wyszła spod palców *monsieur* Esteoule'a. Kiedy skończyła, Matteo wzruszył ramionami.

– Możliwe.

– Możliwe że co?

– Że to już kiedyś słyszałem. Co mówiłaś?

– Nic.

W rzeczywistości szepnęła: „Nigdy nie przekreślaj możliwego”, ale to nie było przeznaczone dla jego uszu.

– Nie znam się na muzyce – powiedział Matteo. – Chyba że chodzi o ptaki. Musiałabyś przyjść i sama posłuchać.

– Mogę? Naprawdę? Kiedy?

Znowu prychnął.

– Kiedy chcesz. Nie mam zbyt napiętego terminarza.

– Jutro?

– *D'accord.*

– Nie mówię po francusku.

– Powiedziałem, że może być. Przyjdę po ciebie.

– O północy? – spytała.

Zaczęło padać, ale Matteo nie zwracał na to uwagi.

– *Non.* O północy jest za mało ciemno. O wpół do trzeciej. Nie zaśnij. I włóż coś ciepłego. Tu na górze może być wietrznie.

– Tak, oczywiście! – Deszcz mocniej się rozpadał. – Zaczekaj chwilę. Deszcz źle robi drewnu.

Sophie opuściła wiolonczelę do swojego pokoju. Kiedy wróciła pod komin, Matteo już nie było.

Zeskoczyła na łóżko, zamknęła okienko i wcisnęła się w wygrzane miejsce na łóżku, ale znowu nie mogła zasnąć aż do świtu. Leżała i słuchała, jak deszcz bębni o szkło. Serce jej tańczyło w dwa razy szybszym tempie.



ROZDZIAŁ 16

Gdyby Sophie posłuchała Charlesa i całą dobę przebywała w swoim pokoju, to pewnie by zwariowała. Usiłowała sobie wmówić, że nie łamie żadnego zakazu. Nie otwierała drzwi swojego pokoju. Dzięki myśli o dachach jako tako funkcjonowała w ciągu dnia. Odliczała godziny do zachodu słońca.

O zmierzchu było już zimno i Sophie włożyła pod nocną koszulę dwie pary pończoch. Zapakowała za mało ciepłych ubrań, więc zdjęła z poduszek poszewki i związała je razem, żeby zrobić z nich szalik. Był wiotki i niezbyt wygodny do noszenia, ale uznała, że lepsze to niż nic. Potem położyła się do łóżka, wsunęła pod szyję szczotkę do włosów, żeby nie zasnąć, i czekała.

Matteo przyszedł, kiedy zegary wybijały wpół do trzeciej. Zastukał w okienko, a potem stał niecierpliwie i wrzucał do pokoju kamyki, dopóki Sophie nie wgramoliła się na górę.

– Cześć – powiedziała. – *Bonsoir*.

– *Oui, bonsoir*. – Miał plecaczek, a szorty zamienił na spodnie. Wyglądały tak, jakby wzięły udział w bójce i przegrały. – Uczysz się francuskiego? – zapytał.

– Trochę. – Sophie poczerwieniała. – Nie jest łatwy.

– Jest. Znam psy, które mówią po francusku. A nawet gołębie.

– To co innego.

– Czemu? Czym to się różni?

– Tym, że nie jestem gołębiem. – Przyszła jej do głowy pewna myśl. – Jak długo ci zajęło nauczanie się angielskiego? Wszyscy Francuzi mówią po angielsku tak jak ty?

– *Je ne sais pas*. Zawsze trochę znałem ten język. Jest taki bar, do którego chodzą angielscy dyplomaci. Z ogródkiem. Z mojego dachu słyszę ich rozmowy. I nauczyłem się czytać po angielsku, kiedy byłem w...

Urwał.

– Kiedy byłeś gdzie?

– W sierocińcu. – Potrząsnął głową, jakby wychlapywał sobie wodę z uszu, i zmienił temat. – Słuchaj, chciałem cię o coś zapytać. Budynek, na którym mieszkam, jest jednym z najwyższych w Paryżu. Masz lęk wysokości?

– Nie wydaje mi się. Przecież jestem tutaj, prawda?

– Tutaj nie jest wysoko! Prawie jak na chodniku. Chodzi mi o to, czy dobrze sobie radzisz z prawdziwą wysokością.

– W każdym razie nie radzę sobie źle.

Spuściła wzrok.

– Aha.

– Myślę, że radzę sobie całkiem dobrze.

– W takim razie nie możesz ze mną pójść. Całkiem dobrze nie wystarczy. Przykro mi.

Odwrócił się, ale go powstrzymała.

– Zaczekaj! Staralam się tylko być skromna!

– Przecież właśnie powiedziałaś...

– Radzę sobie świetnie. Genialnie. – Matteo najwidoczniej nie należał do chłopców, którzy wiedzą, co to jest skromność, ale ona nie mogła ryzykować, że chłopiec ją zostawi. – Genialnie – powtórzyła.

– Nie powinnaś mówić czegoś innego, niż myślisz. Jesteś gotowa?

– Tak. – Uznała, że rozsądnie będzie zmienić temat. – W jakiej okolicy mieszkasz? Gdzieś w pobliżu?

– Tak, ale nie przy tej ulicy. Ta ulica jest za biedna.

– Naprawdę? Aha. – Na Sophie wysokie latarnie i szykowne kamienice robiły całkiem silne wrażenie. – Dlaczego to jest ważne? – Spojrzała na jego ubranie i błoto, przyklepione do końców włosów. – Nie wyglądasz mi na snoba.

– Z wielu powodów – odparł Matteo z wyniosłą miną.

– Na przykład jakich? Proszę cię, powiedz mi. Ciekawi mnie to.

– Biedne budynki na ogół mają spadziste dachy, a bogate budynki płaskie. Spadziste dachy są do niczego. Biedne budynki są... nieprzewidywalne. Nie można mieć pewności, że stopa nie przejdzie na wylot. I są za niskie. A na... *banlieues*, przedmieściach, chyba tak to się nazywa? Tam, gdzie nie ma biur ani kościołów, tylko domy. Nigdy tam nie chodzę, bo budynki są za niskie.

– Naprawdę? Wszędzie?

– Prawie wszędzie. Tak jak z ludźmi: bogate budynki są wysokie, biedne niskie.

– Dlaczego to ważne?

– A jak myślisz?

Spojrzała w dal nad dachami.

– Bo jak jesteś na niskim budynku, to widzą cię z ulicy?

– *Oui*. Poza tym mogę chodzić prawie wszędzie. W nocy. Nigdy za dnia.

– Chodzisz do parków?

Ja bym chodziła, gdybym mogła, pomyślała.

– *Non*. Oczywiście, że nie.

– Dlaczego? Byłoby cudownie mieć cały park dla siebie. I pewnie znalazłoby się tam jedzenie.

– Nigdy nie schodzę na ziemię. Od lat. Na dachu nie można wpaść w pułapkę.

Zatrzepotała powiekami.

– Nigdy? – Wydawało się to niemożliwe. – Co robisz, kiedy chcesz przejść na drugą stronę ulicy? Między dachami?

– Idę po drzewach. Albo po latarniach.

– Nigdy po prostu nie... przechodzisz przez ulicę?

– *Non*.

– Dlaczego?

– To niebezpieczne.

– Aha... – Matteo odpowiadał coraz bardziej zniecierpliwionym tonem, ale Sophie nie mogła się powstrzymać. – Większość ludzi by powiedziała, że jest na odwrót.

– Większość ludzi jest głupia. Na ziemi łatwo dać się złapać. Na ziemi wszystkich łapią.

– Łapią? – Próbowwała rozszyfrować w ciemnościach jego minę. Wyglądał poważnie. – Ktoś cię poszukuje?

Zignorował to pytanie.

– Chcesz zobaczyć, gdzie mieszkam, czy nie?

– Tak! Teraz?

– Teraz!

Nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy Sophie za nim idzie, Matteo ruszył w drogę.

Kiedy stał bez ruchu, zwracał uwagę, a gdy się poruszał, wyglądał naprawdę niesamowicie. Sprawiał takie wrażenie, jakby był zrobiony z kauczuku. Biegł schylony i używał dłoni w roli dodatkowych stóp. Sophie podążała za nim tak cicho i szybko, jak potrafiła, potykając się na szorstkiej łupkowej powierzchni dachu. Zostawiła za sobą całkiem sporo zdartej z kolan skóry.

Matteo biegł przez dziesięć minut, a Sophie balansowała za nim po szpicach spadzistych dachów, cwałowała po płaskich i przeskakiwała przez wąskie przerwy między nimi. Kiedy budynki zrobiły się wyższe, Matteo dwa razy jej pokazał, jak wdrapać się po rynnie na następny dach.

– Podstawowa zasada wchodzenia po rynnach – wyjaśnił, wisząc na jednej z nich do góry nogami – jest taka, że nie wolno wsuwać nogi w okno. Ludzie z reguły to zauważają.

Sophie radziła sobie z rynnami w milczeniu. Paznokcie okropnie zgrzytały o metal, ale poza tym rynny nie różniły się aż tak wiele od drzew. Kiedy usiadła na dachu obok Matteo, pokiwał głową i prawie się uśmiechnął.

– Nieźle – powiedział. – Następnym razem ściśnij jeszcze rynnę kolanami. Będzie ci łatwiej. Ale było dobrze. A w każdym razie nie najgorzej.

Sophie zaczerwieniła się z radości. Matteo pobiegł dalej. Pod ich stopami Paryż spał.

Dotarli do okolicy pełnej flag i ogromnych, dystyngowanych gmachów. Kiedy dachy zrobiły się szersze i dłuższe, Matteo zwiększył tempo. W pewnym momencie na niewygodnym dachu jakiejś kaplicy Sophie się potknęła i żołądek podjechał jej do gardła. Chwyciła za krzyż, żeby nie upaść i próbowała złapać oddech.

Wiał silny wiatr i po drugiej stronie ulicy jakiś cień kołysał się, zwisając z wierzchołka latarni. Sophie to zobaczyła. Z całą pewnością. Ale zanim zdążyła odsunąć włosy z twarzy i spojrzeć znowu, cień zniknął.

Sophie dogoniła Matteo dopiero po kilku minutach.

– Widziałeś? Kto to był?

– Nie widziałem. To mogło być wszystko. Na przykład papierowa torba.

– To było większe od papierowej torby. To była dziewczyna!

– Może zepsuty latawiec. Albo poszewka na poduszkę. Chodź.

Zgiął z trzaskiem palce i pobiegł dalej.

Minęło dziesięć minut, zanim Matteo znowu się zatrzymał. Dzielił ich skok od wysokiego, zakrzywionego dachu, który błyszczał zielonkawo w świetle księżyca.

– Zaczekaj tutaj. – Matteo skoczył, a potem schylił się i lekko zastukał w dach. Odpowiedział mu głuchy brzęk. – Miedz. Zdejmij buty. Skocz najciszej jak umiesz.

Sophie zdjęła buty.

– Co mam z nimi zrobić?

– Rzuć do mnie. Nienawidzę miedzi.

Sophie wykonała polecenie. Bogu dzięki, że Charles nauczył mnie rzucać, pomyślała.

– Miedziane dachy są najgorsze? – spytała.

– *Non*. Najgorsze są stare, kamienne dachówki z dawnych czasów. Cichsze od miedzi, ale łatwo jest je... jak to się mówi? Zerwać?

– Strącić.

Wstrzymała oddech i patrzyła na przerwę między dachami. Odległość była niewielka, kilkadziesiąt centymetrów, ale i tak Sophie przeszły ciarki. Skoczyła, wylądowała na czworakach, ale natychmiast wstała.

– Może. Tak, strącić. Najlepsze są płaskie dachy. – Oddał Sophie buty. – Dobrze jest wszystko z dużymi płytami. Kamień, łupek, metal.

– Aha. Tak jak na hotelu Bost?

– Tak. I na większości budynków państwowych. No wiesz, szpitali, więzień. Teatry też są dobre. I katedry. Ale wszystko poniżej pięciu pięter jest za niskie, żeby można tam spać. Zobaczą cię z ulicy, jeśli się przetoczysz za blisko krawędzi. Zaczekaj, nie wkładaj butów. Zawiąż je sobie wokół pasa.

– Dobra. – Sophie obwiązała sznurówki wokół talii. – Ale dlaczego?

Starannie umocowała buty, żeby nie ograniczały ruchów.

– Tu na górze potrzebne są palce u nóg – odparł Matteo. – Nie powinno się chodzić w butach.

– Ale czy nie...

– Ludzie uważają, że palce u nóg są nieprzydatne. Bo są głupi.

– Ale czy stopy nie...

Zrobił surową minę szkolnego wychowawcy.

– Myślałaś, że palce u nóg nadają się tylko do zbierania brudu, *non*?

– Nie całkiem, ale...

– Żadne ale. Palce u nóg to sprawa życia i śmierci. Potrzebujesz ich dla równowagi. Każdy palec złamałem co najmniej dwa razy. Popatrz.

Matteo podniósł stopę. Była czarna, a podeszwa zrogowaciała. Sophie nie widziała ani centymetra miękkiej skóry. Postukał się w podeszwę stopy.

– Słyszysz? Jak blacha. Na moich stopach mogłabyś grać muzykę.

– Nie marzną ci w zimie?

– Marzną.

– Aha. – Czekala, aż Matteo powie coś więcej, ale nie powiedział. – Nie mógłbyś nosić butów, kiedy jesteś na własnym dachu? Mogę dać ci moje, jeśli chcesz. Mam dwie pary.

– *Non, merci.*

– Nie są dziewczynskie. – Sophie wskazała przywiązane do pasa buty. – Takie jak te: chłopięce. Dostałam je w prezencie od Charlesa. Jaki masz rozmiar?

– Tu na górze nie można nosić butów. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie trzeba uciekać.

– A jak spadnie śnieg?

– Żeby nie zmarznąć w zimie, smaruję sobie kostki i łydki gęsim tłuszczem, okładam piórami i bandażuję. To prawie jak chodzenie w butach, ale palce mam swobodne.

– Aha. To działa?

– Nie do końca. Prawie.

– Dlaczego akurat gęsi tłuszcz?

Matteo wzruszył ramionami.

– Bo dobrze trzyma ciepło. Gęsi jest najlepszy, ale można też użyć gołębiego, jeśli gęsiego nie ma. Gołębie mają na sobie za mało tłuszczu. Mięso wiewiórki jest za suche. Potrzeba czegoś tłustego. – Na twarzy Sophie pojawił się wyraz obrzydzenia. Matteo to zobaczył i zrobił naburmuszoną minę. – Nie powiedziałem, że to jest miłe, ale pomaga. Chodźmy. Jesteś gotowa?

Sophie sprawdziła, czy sznurówki są mocno zawiązane wokół pasa.

– Jak się tego wszystkiego dowiedziałeś, Matteo? – spytała.

– W większości przez przypadek. Praktyka. – Podniósł koszulę. Od pępka do piersi biegła fioletowa blizna. – Metoda prób i błędów.

– Rany boskie! Jak sobie to zrobiłeś?

– Przewróciłem się na kurek pogodowy. A to – pokazał jej świeży siniec na ramieniu – mam dlatego, że upadłem na komin.

– Boli?

– Jasne. – Wzruszył ramionami. – Krwawimy częściej niż większość ludzi. To nie jest koniec świata.

– Aha. Matteo?

– *Quoi?*

– Kto to jest my?

Tak nagle zmienił się na twarzy, że Sophie odstąpiła o krok.

– Ja – odparł. – Powiedziałem: ja.

Znowu ruszył przed siebie. Tym razem nie czekał na Sophie ani się nie oglądał, kiedy dotarł

do przerwy między dachami. Sophie musiała za każdym razem stanąć, żeby zebrać w sobie odwagę. Gdyby musiała przeskoczyć przez coś tak wąskiego na ziemi, nie miałaby z tym żadnego problemu, ale tu, na górze, strasznie się bała. Po krótkim czasie została w tyle za Matteo o jeden dach.

– Możemy zwolnić? Chociaż trochę?

– *Non* – odpowiedział Matteo.

Odgarnął włosy z oczu, żeby zgromić ją wzrokiem, i pędził dalej.

Po półgodzinie rzeczywiście zwolnił. Kiedy odwrócił się do niej, zobaczyła, że już się na nią nie gniewa.

– To ostatni przeskok. Komenda jest w następnym budynku.

Na tym etapie Sophie czuła się jak weteran.

– Skaczemy?

Odgarnęła włosy na plecy i kucnęła.

– *Non! Arrêté!* Stój, Sophie!

– O co chodzi?

– Nie możesz skoczyć na ten dach. To jest... nie wiem, jak to nazwać... rozsyпка?

– To znaczy?

– Dachówki są stare i pękają, jak się na nie skoczy.

– Aha. O, Jezu.

Odległość rzeczywiście była niewielka, ale spadek duży.

– Wiem! To jest świetne. Z tego powodu wybrałem to miejsce do mieszkania: nikt nie może za mną pójść, jeśli nie wie. Gdyby nie wiedział i skoczył, to chyba by zginął.

– Zdajesz sobie sprawę, że to nie brzmi zbyt uspokajająco?

Mimo ciemności odniosła wrażenie, że Matteo się uśmiechnął.

– Niezbyt zależy mi na tym, żeby brzmieć uspokajająco.

Sophie uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Łapczywie połknęła powietrze. To niesamowite, jak dobrze tlen robi na odwagę.

– Jak się tam przedostać? – spytała.

– To proste. Trzeba przejść, a nie przeskoczyć.

Skok to pęd, bezdech i ogień w brzuchu. Powolny krok nad pustką to coś zupełnie innego. Próbowwała to sobie wyobrazić.

– Nie dam rady. Muszę przeskoczyć. – Przerazenie podeszło Sophie do gardła. Miało gorzkawy smak. – Jest za szeroko, żeby przejść.

– *Non*, nie dla ciebie. Masz nogi jak rynny.

– Nieprawda!

– To był komplement! Urodziłaś się do chodzenia po dachach. Zresztą twoje nogi mają większy zasięg, niż myślisz.

– Po prostu nie wiem, czy potrafię.

– Mówiłaś, że dobrze sobie radzisz z dużymi wysokościami.

– Bo to prawda! – Jak on śmie, pomyślała Sophie. – Przeszliśmy kilometry! Jestem cała we

krwi i sadzy, ale ani razu się nie zatrzymałam.

– Co z tego? To się nie liczy, jeśli nie dotrzesz do końca.

Położył jej rękę na ramieniu. Sophie odskoczyła.

– Nie waż się mnie pchnąć!

Matteo był nieprzewidywalny. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że dachy i nieprzewidywalni ludzie to niebezpieczne połączenie.

– Nie zamierzałem! – syknął. – I nie krzycz tak.

– Przepraszam. Przepraszam. – Jeszcze raz spojrzała w dół. – Dobra. Powiedz mi, co robimy. Ale nie obiecuję, że przejdę.

– Dobra. Najpierw zamknij oczy.

– Jesteśmy na dachu, Matteo.

– Zamknij oczy. Jeśli będziesz miała otwarte, to spojrzysz w dół, a jak spojrzysz w dół, to spadniesz.

– Aha. – Sophie zamknęła oczy. – Ach.

– Podprowadzę cię do krawędzi. Masz zamknięte oczy?

– Tak.

W rzeczywistości Sophie spozierała pod rzęsami na swoje gołe stopy, które zbliżały się do krawędzi.

– Nie, są otwarte. Zamknij je całkiem. Tak będzie łatwiej, dam ci słowo. *Et maintenant* trzymam cię za tył nocnej koszuli, żebyś nie spadła, a ty zrób krok do przodu.

– Jaki duży?

– Mniej więcej długości świni.

Długości świni, pomyślała Sophie. Umrze, bo nigdy porządnie nie przyjrzała się świni.

– Będzie dobrze. Jesteś bezpieczna. – Matteo mówił nietypowo dla niego poważnym tonem. – Nie otwieraj oczu.

Wyciągnęła jedną nogę nad przepaść.

– Są zamknięte – powiedziała, tym razem zgodnie z prawdą.

Ściskając Matteo za ramię, wystawiła nogę w pustkę i pokręciła nią w powietrzu, ale na nic nie natrafiła. Błyskawicznie cofnęła nogę i odstała od krawędzi.

– To jest szersze od świni, Matteo!

– Mówiłem o długości świni. Świnie są całkiem długie. Musisz bardziej wyciągnąć nogę. Trzymam cię. Spróbuj jeszcze raz. Dalej! Tak!

Sophie prawie zrobiła szpagat, kiedy jej stopa zetknęła się z krawędzią sąsiedniego dachu.

– Co teraz? – próbowała nie okazywać paniki, ale środek ciężkości jej ciała przeniósł się gdzieś nad kolana, za bardzo do przodu, żeby wrócić, i czuła, że w każdej chwili może runąć na chodnik. Gdyby wążutką uliczką w dole ktoś w tej chwili siedł, mógłby zobaczyć jej majtki pod nocną koszulą. Dlatego wszyscy powinni nosić spodnie, pomyślała. Właśnie dlatego.

– A teraz mnie puść – powiedział Matteo – i...

– Co? Nie! Ani się waż...

– Tylko na chwilę. – Matteo już się z nią rozdzielił. – Ja przejdę... – Cichutko stuknęło.

Wiewiórka zrobiłaby więcej hałasu. – ...ty podasz mi rękę... – Sophie podała mu moką od potu rękę i poczerwieniała. – ...a ja cię przeciągnę. – Okazał się zaskakująco silny i przetransportował ją nad przerwą między budynkami. – Teraz wstań i wytrzymaj rękę. – Uśmiechnął się szeroko. – Mogłabyś podlewać dłońmi kwiatki. Chodź, jesteśmy już prawie na miejscu.

– Powiedziałeś, że to już ten budynek!

– *Oui*. Kłamałem.



ROZDZIAŁ 11

Matteo poprawił plecaczek i ruchem ręki przywołał do siebie Sophie.

– Jak wszędzie księżyc, to zobaczysz. Tam. – Pokazał i wyprężył pierś. – Mieszkam na tamtym dachu.

– Bardzo ładny – pochwaliła uprzejmie Sophie.

Oczy miała zamknięte, ale tak się mówi, kiedy ktoś ci pokazuje swój dom.

– Bardzo ładny? To wszystko?

– Przepraszam. – Sophie od dłuższej chwili walczyła o to, żeby wróciły jej oddech i odwaga. Otworzyła oczy. Potem otworzyła je jeszcze raz, szerzej. – Mieszkasz tam?

Budynek był piękny. Tej samej zawrotnej wysokości co gmach, na którym siedzieli, ale zbudowany z piaskowca, rozjarzonego na żółto światłem księżycy. Płaskorzeźby przedstawiające wojowników i kobiety zdobiły ściany. Budynek wyglądał na taki, w którym są żyrandole i ludzie znajdujący się u władzy. Na samej górze, na błyszczącym, srebrnym maszcie powiewała francuska flaga.

– To jest sąd – powiedział Matteo. – Najważniejszy budynek w Paryżu.

– Mówisz jak pośrednik handlu nieruchomościami.

– Bo to prawda! – Matteo miał wściekłą minę. – To najpiękniejszy budynek w Europie. Tak piszą w przewodnikach.

– Jak się tam dostaniemy?

Przerwa między ich budynkiem a domem Matteo była za szeroka, żeby przez nią przeskoczyć, a żadne drzewo na świecie nie sięga tak wysoko.

– Gdybym był sam, poszedłbym od tyłu i wszedł po dębie i rynnie. – Matteo zdjął plecaczek.

– Ale skok z drzewa na rynnę wymaga praktyki. Zobacz. – Podwinął rękaw. Miał bliznę od

nadgarstka do łokcia. – Bolesnej praktyki. – Otworzył plecaczek. – Więc przyniosłem to ze sobą.

– Lina? – Sophie spojrzała na gruby zwój w ręce Matteo. Taka długa lina musiała być ciężka, a Matteo silniejszy, niż wyglądał. – Po co jest hak na końcu?

– Zaraz zobaczysz.

– Będziemy się wspinać po tej linie?

Sophie miała wrażenie, że Matteo musi słyszeć strach w jej głosie. On się chyba urodził z większym niż normalnie przydziałem odwagi, pomyślała z zazdrością.

– Powiedziałem, że zaraz zobaczysz.

Matteo podszedł na sam skraj budynku i owinął palce u nóg wokół krawędzi. Żołądek Sophie zaprotestował gwałtownie, ale Matteo sprawiał wrażenie tak spokojnego, jakby stał na krawężniku.

– Odsuń się – polecił.

Splunął na dół, zakręcił liną nad głową i rzucił nią daleko. Zahaczyła o obejmę rynny po drugiej stronie.

Matteo szarpnął za linę. Miał ten sam zasłuchany wyraz twarzy co Charles podczas koncertów.

– Jest dobrze.

Naprężył linę i przywiązał do zagiętego w łuk gwoźdźca w ścianie. Splunął na węzeł, bo to przynosi szczęście.

– Idziemy – powiedział.

Sophie wytrzeszczyła na niego oczy.

– Żartujesz.

– Chciałaś zobaczyć, gdzie mieszkam. Tak można się tam dostać. To łatwe!

– To jest sznurek! Kawałek sznurka między niebem a chodnikiem. Sznurek, Matteo.

– Lina.

Z miejsca, gdzie stała Sophie, wyglądało to zdecydowanie jak sznurek. Niemożliwa sprawa.

Matteo miał sfrustrowaną minę.

– Jeśli chcesz, mogłabyś spróbować skoczyć z drzewa na rynnę, ale to byłoby głupie. Tak jest bezpieczniej.

– Chodzenie po linie – po linie, której prawie nie widziała, szarej kresce w ciemnościach – to jest twoje bezpieczniejsze rozwiązanie!

Matteo spojrział na nią zimnym wzrokiem.

– Jeśli tego nie zrobisz, nie pomogę ci. Tchórze nie zasługują na pomoc.

– Nie nazywaj mnie tchórzem. Nie jestem tchórzem.

– *Oui, je sais.*

– Co?

Matteo trochę przepaszająco wzruszył ramionami.

– Niekoniecznie uważam cię za tchórze.

– W takim razie już nigdy tak nie mów.

– Popatrz, to proste. Pokażę ci.

Matteo znowu splunął i wytarł nos kciukiem. Wszedł na linę. W pierwszej chwili się zakołysał, a potem stawiał jedną stopę przed drugą, aż znalazł się pośrodku między budynkami. Ramiona miał rozpostarte. Jak skrzydła, pomyślała Sophie. Jego ciało poruszało się do rytmu z wiatrem, przez co Matteo wyglądał tak, jakby balansował w powietrzu. Wiatr marszczył mu ubranie i stawiał włosy dęba.

Najniezwyklejszy widok na świecie. Widok, który pozbawił ją oddechu.

Matteo odwrócił się bardzo powoli – strach ścisnął Sophie za gardło, ale chłopiec nie zachwiał się ani odrobinę – i wrócił do niej.

– Idziesz? – zapytał i wyciągnął do Sophie rękę.

Najbardziej zdumiała ją to, że nawet nie musiała się zastanawiać. Może dlatego, że budynek był taki piękny. Może dlatego, że czasem każdy musi się zdobyć na głupią odwagę i lekkomyślność.

– Tak, idę.

Podeszła do krawędzi dachu. To było łatwe. Zawinęła palce u nóg wokół krawędzi i spojrzała w dół. To nie było łatwe. Ręce miała rozgrzane. Spokojnie, pomyślała.

– Powoli – powiedział Matteo. – Zaczynasz powoli. Możesz postawić jedną stopę na linie?

Lina była ostra i sprężysta pod gołą stopą Sophie.

– O, matulu!

W piersiach miała wichurę.

– Podaj mi obie ręce. Ja balansuję za nas oboje, *oui*?

– *Oui* – zgodziła się Sophie. – Tak.

– Teraz druga stopa.

Prawa stopa Sophie opuściła suchy ład, a ona sama zawisła w powietrzu.

– Och – sapnęła. – Ty chyba jesteś szalony. Oboje jesteśmy szaleni. O, Boże.

– To dobrze – odparł Matteo. Sophie się zachwiała, a on ją unieruchomił. – Trochę szaleństwa nie zaszkodzi. Nie patrz w dół.

– To skąd będę wiedziała, gdzie stawiać stopy?

Jej głos zabrzmiał bardziej piskliwie niż zazwyczaj.

– Trzymaj się mnie. Trzymaj się moich ramion. Ja pójdę tyłem. Balansuję za nas oboje, okay? Nie wolno ci patrzeć w dół. Czujesz stopami linę?

– Tak. – Wbiła kciuki w jego skórę. – Tak.

– Teraz lewa stopa – dyktował jej Matteo. – Prawa. Owijaj palce wokół liny. Lewa. Prawa. Nie patrz w dół. Patrz do góry. Na czubek mojej głowy. Czujesz równowagę?

Włoski liny łaskotały Sophie w stopy.

– Chyba. Tak. Może.

– Bien – powiedział. Wydawał się przerażająco chudy i lekki. Sophie pomyślała, że jego obojczyk musi być wydrążony jak u ptaka. – Oddychaj. Ruszamy dalej.

W połowie drogi zwolnił i zatrzymał się.

– Dlaczego stajemy? – spytała Sophie z nutką strachu w głosie. – Chyba wolałabym iść dalej.

– Żebyś mogła popatrzeć. Zobacz, Sophie! Ale nie patrz w dół! Widać stąd cały Paryż!

Sophie spojrziała i sapnęła. Pod jej stopami Paryż ciągnął się w stronę rzeki. Był ciemniejszy od Londynu – miasto oświetlone błyskami i migotem. I piękny jak jajko Fabergé. Albo jak miasto w jakiejś baśni z czarodziejskim dywanem.

– Widzisz? Najlepsze miasto na świecie – zachwycał się Matteo. – Nigdzie indziej nie można się poczuć tak bardzo jak król.

To było lepsze niż bycie królem. Królowie mają posiniaczone palce od tysiąca uścisków dłoni dziennie, pomyślała Sophie. To przypominało raczej bycie wojownikiem, chochlikiem, ptakiem.

Wydawało jej się, że w oddali nad rzeką widzi hotel Bost i swoje okienko.

– Nie jestem pewna, czy nie zapomniałam zgasić świecy. Chyba ją widzę.

Matteo to zignorował. Twarz miał bielszą, a oczy jaśniejsze niż zazwyczaj. Wyglądał tak, jakby słuchał liny.

– Nakarmimy ptaki? – zaproponował.

– Tak. – Podmuch wiatru szarpnął Sophie za nocną koszulę, skutkiem czego zmieniła zdanie. – Albo nie. Wolałabym iść dalej. Proszę cię!

– Ach, *non!* Nakarmić ptaki, kiedy jesteś na niebie! Nawet król nie ma takiej możliwości.

– Ale jest już po północy. Ptaki... – Lina zakołysała się i kropelka czegoś gorzkiego podeszła Sophie do gardła. – Ptaki już śpią.

– Tylko podrzemują. Obudzą się, jeśli je zawołam. Jeszcze tylko dwie minuty, Sophie! Trzymam cię mocno. Nie spadniesz, skoro cię trzymam.

– Tylko szybko, dobrze?

– Musisz mnie puścić jedną ręką. W kieszeni mam ziarno. Położę ci je na dłoni, tak? Trzymam równowagę, Sophie. Nie zginaj nóg. Nie, nie patrz w dół.

Sophie próbowała zabrać ziarno z ręki Matteo bez patrzenia w dół, ale jej się nie udało. Cały świat zanurkował. Poczuła, że połowa ziarna przesypuje się między jej spoconymi palcami. Kolana się pod nią ugięły i zadrżała.

– Pomóż mi, Matteo!

Matteo nigdy nie wyglądał tak spokojnie jak w tej chwili.

– Trzymaj pion. – Ścisnął ją mocniej i przywrócił do równowagi. – Panikujesz?

– Nie – skłamała Sophie.

– Jeśli zaczniesz spadać, to cię zatrzymam. Rozumiesz, *oui*? Tak? Jeszcze nigdy nie spadłem z liny. Przynajmniej nie z wysoka. W każdym razie nie z bardzo wysoka. Oddychaj.

– Oddycham! Przestań mi mówić, żebym oddychała! – Lina wbiła jej się w podeszwy stóp. – Przecież oddycham!

– Jeszcze tylko minuta. Rozluźnij kolana. Dobrze. Zawołam ptaki.

– Chyba chcę zejść na dach, Matteo. – Sophie próbowała nie myśleć o piętnastometrowych spadkach, ale jej się nie udało. – Proszę cię, chodźmy dalej.

– *Non*. Jeszcze tylko minuta.

Matteo zagwizdał melodię, złożoną z trzech coraz wyższych nut. Ostry, czysty dźwięk leciał w ciemnościach i ciszy całe kilometry. Zgasił panikę Sophie. Brzmiał jak nadchodzący deszcz.

– Umiesz gwizdać? – spytał Matteo.

– Tak.

Wzmógł się wiatr, kołysząc liną. Sophie zamknęła oczy.

– To naśladowaj mnie.

Sophie chwyciła linę palcami u stóp. Zagwizdała. To było jak granie na wiolonczeli: reszta świata zniknęła.

– Dobrze. – Matteo był wyraźnie zaskoczony. – *C'est très bien*. Nie mówiłaś mi, że tak dobrze gwizdziesz.

– Dziękuję.

Zagwizdała jeszcze raz, pomogło jej to uspokoić oddech. Próbowiła rozwibrować gardło, tak jak to robią słowiki.

– Otwórz oczy. – Matteo uśmiechał się radośnie. Sophie nigdy wcześniej nie widziała go takiego uśmiechniętego. – Popatrz do góry!

Popatrzyła. Nad głową Matteo krążyły trzy ptaki.

– One mnie znają – powiedział. – Wyciągnij przed siebie ziarno. Wyżej. Musi być wyżej niż ramię, bo inaczej wejdą ci po ręce na głowę.

Jeden z ptaków usiadł na jej dłoni, a potem drugi.

– Och – sapnęła. Ptaki były ciężkie, ale ciężar ten sprawił jej przedziwną przyjemność. Pazury drapały ją w skórę. – Witam – szepnęła. – *Bonsoir*.

Lina się zakołysała, kiedy trzeci ptak usiadł na nadgarstku Sophie.

Matteo trochę przesunął ich wspólny środek ciężkości. Nawet na chwilę nie tracił koncentracji.

– Lubię cię – powiedział Matteo. – Popatrz!

Popatrzyła. Jeden z gołębi trzepotał skrzydłami i przemieszczał się w stronę jej barku. Jakby sprawdzał, czy jestem silna, pomyślała.

– Zostańcie, proszę – szepnęła do ptaków. Ptaki wyraźnie ją zaakceptowały. – Nie odlatujcie. Zostańcie.

Największy dziobał ziarna z jej dłoni. Chyba mają smak potu, pomyślała.

Matteo znowu zagwizdał. Następny ptak sfrunął na dół i wylądował na głowie Sophie. Potem na ramieniu Matteo usiadła sikorka i dziobnęła go w kark.

– Znam go. Dałem mu na imię Elisabeth.

– Mu?

– Jest stary. Kiedy go poznałem, był jeszcze dzieckiem. Wtedy jeszcze nie umiałem odróżniać płci. Myślałem, że to dziewczynka.

– Jest piękny.

– Tak, wiem. Nie sądziłem, że przyleci. Nie lubi obcych. – Elisabeth przefrunął z głowy Matteo na obojczyk Sophie. Spojrzał jej w oczy. Zakolebał głowę. – Wydaje mu się, że cię zna.

– Bo może zna!

– Niby skąd? Głupiutki Elisabeth.

Elisabeth zatrzepotał skrzydłami, muskając nimi o policzek Sophie, ale nie odleciał. Być akceptowaną przez ptaki!, pomyślała Sophie. Być w górze na środku nieba!

– To jest zbyt piękne, Matteo! – Nie przychodziły jej do głowy słowa, które by to opisały. – To jest jak muzyka. To miasto jest inne, niż sądziłam – szepnęła do siebie Sophie. – Życzliwsze. – Na jej dłoni wylądowała sikorka. Sophie poczuła się jak obwieszona klejnotami. – Sikorka jest lepsza od pierścionka. I dziksza – uznała, kiedy ptak dziobnął ją w ucho.



ROZDZIAŁ 18

Minęło pół godziny, zanim Sophie pozwoliła Matteo zaprowadzić się na drugą stronę. Skapitulowała dopiero wobec groźby, jaką stwarzało wschodzące słońce. Jak tylko Matteo wszedł tyłem na dach i wciągnął Sophie za sobą, nogi zaczęły jej się trząść. Postawiła trzy chwiejne kroki w stronę środka dachu i upadła.

– Nic ci nie jest? – spytał Matteo. – Potrzebujesz pomocy?

– Nie, myślę, że ze mną jest wszystko w porządku. Tylko moim nogom coś dolega. – Stuknęła w mięsień łydki, który skurczył się spazmatycznie. – Myślę, że za chwilę wrócą do normy. Trochę posiedzę, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Masz dziwną minę. Chcesz się chwilę przespać? Mam koc. To znaczy tak naprawdę to jest worek, ale...

– Nie, nie potrafiłabym zasnąć. Tylko posiedzę.

– Dobrze. Rozpalę ognisko.

– Gdzie? Tutaj?

– Oczywiście, że nie! Nie bądź głupia. Koło komina, bo wtedy to tak wygląda, jakby dym szedł z komina. Ty zostań tutaj. Nigdzie się nie ruszaj.

Po kilku minutach nogi nareszcie pozwoliły jej wstać. Rozejrzała się dookoła. Dach z gładkiego łupku był duży jak miejski plac. Postawiła na próbę kilka kroków. Jej nogi znowu wydawały się solidne. Ze środka dachu wzbil się pióropusz dymu. Sophie pomaszzerowała – a raczej pokuśtykała – w tamtą stronę.

Matteo stał koło komina i dokładał do ognia drewno. Na oko kawałek krzesła. Na ramiona założył worek.

– Matteo! – Sophie wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. – To wszystko twoje?

Miała nadzieję, że Matteo nie zauważy w ciemnościach, jak ogromne wrażenie zrobiło na niej jego mieszkanie.

– Oczywiście. A czyje?

Koło komina leżała wiązka strzał. Były też równiutko ułożona sterta jabłek, blaszany rondel i czajnik, kupka niezbyt równo wyrzeźbionych drewnianych łyżek i słoik z orzechami. Stały tam również dwa worki i Sophie do nich zajrzała. W jednym zobaczyła liście, w drugim kości.

– Masz. Usiądź sobie.

Podał jej poduszkę.

– Sam ją zrobiłeś?

Poduszka była z worka, ale miękka i gruba.

– Oczywiście.

– Co jest w środku?

Sophie zaczęła ugniatać poduszkę. Była bardziej miękka od wszystkiego, co mieli w domu.

– Gołębie... farfocle. Nie wiem, jak to się nazywa.

– Pierze?

– Jak to pierze? Kto pierze? Chodzi mi o to miękkie białe coś pod piórami gołębi. Ale zewnętrzne pióra też oczywiście wykorzystuję. Wszystko wykorzystuję. Nawet kości.

– Nie puszczasz ich, kiedy zabierzesz im pióra?

– Puszczam? Jasne, że ich nie puszczam. Przecież już nie żyją. Nie skubię żywych gołębi. Dla mnie to byłoby bardzo trudne, a dla gołębia bardzo zaskakujące.

– Zjadasz je?

– Tak. Gotuję i zjadam. – Wyjął nóż i podsunął jej pod oczy. – Tym. Czasami, jeśli pada, a ja jestem bardzo głodny, pomijam gotowanie.

– Zjadasz kości?

– Gotuję na nich zupę.

– Dobra jest?

– *Non*. Paskudna. Jak klej. Ale lepsze to niż nic.

– Co robisz z piórami?

Matteo był tak przedziwnym stworzeniem, że Sophie by się nie zdziwiła, gdyby nosił pióra w roli płaszcza. Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby uszył z nich sobie skrzydła.

– Popatrz tam. Nie, tam.

Kawałek dalej między kominami wisiała jakaś płachta. Sophie potruchtała tam, żeby przyjrzeć się z bliska. Płachta okazała się uszyta z kolejnych warstw gołębih piór. Była dziwnie tłusta, ale piękna. Osłaniała legowisko z worków. Sophie pomacała materac. Był wypchany takim samym miękkim puchem jak poduszka.

– Pióra są wodoodporne – powiedział Matteo. Nie słyszała, jak chłopiec do niej podchodził. – To działa jak namiot. Tyle że nic mnie nie to kosztowało.

Ale nie chroni przed zimnem ani przed wiatrem, pomyślała Sophie.

– Co robisz w zimie, Matteo? żeby ci było ciepło?

– Nie jest mi ciepło. – Wzruszył ramionami. – Można się do tego przyzwyczaić. Nie można tego polubić.

– Nie mógłbyś na zimę wracać do sierocińca?

– Nie.

– Ale...

– Raz tak zrobiłem. Na dachu na północy była bójka i miałem ranę. Paskudną. Zaczęła się jątrzyć. – Wsunął prawą dłoń pod lewą pachę. – Myślałem, że nie mam wyboru. – Trochę za mocno pogrzebał w ogniu. Sypnęło iskrami i Sophie się uchyliła. – W oknach były żelazne pręty. Umiem pokonać zamek, ale nikt nie umie pokonać żelaznego pręta.

– Po co te pręty? Ludzie próbowali włamać się do środka?

– *Non*. Dzieci próbowaly wydostać się na zewnątrz. Ale jak oni tylko się dowiedzą, że istniejesz, to cię nie puszczają. We Francji bycie bezdomnym jest nielegalne, wiedziałaś o tym?

Nie wiedziała. Pomyślała, że to najbardziej idiotyczny przepis na świecie.

– Ale ty stamtąd wyszedłeś, prawda?

– Tak. Przez komin. Nie należało tam w ogóle iść. Dalej mnie szukają. Mnie i kilku innych. Dają ogłoszenia o zbiegach na pocztach, wiedziałaś o tym?

– Ale dlaczego? To znaczy dlaczego uciekłeś? Co się stało?

– Nic się nie stało. Tam było jak w piekle. Codziennie to samo. Krzyczeli na nas, jeśli rozmawialiśmy ze sobą podczas posiłków. Krzyczeli na nas, jeśli się śmialiśmy.

– Naprawdę? – Sophie osłupiała. – To znaczy dosłownie?

– *Oui*. Nie masz pojęcia, Sophie. To jest tak, jakby cię gdzieś zamurowali. Nie mogę ryzykować i znowu schodzić na ziemię. Lepiej żeby ludzie nie wiedzieli o moim istnieniu.

Odwrócił głowę i przeciągnął gałązką pod paznokciami palców u nóg.

Sophie nie była głupia. Znowu podeszła do namiotu z piór.

– Myślę, że tu, na górze, jest cudownie! Myślę, że na twoim miejscu nigdy nie opuszczałabym tego dachu. – Pogłaskała pióra. Błyszczały na nich kropelki wody, ale pod spodem były suche. – Fantastyczne! Chciałabym tu mieszkać. Idealne!

Wzruszył ramionami.

– W lecie śmierdzi – powiedział, ale z taką miną, jaką miał Charles, kiedy się z czegoś w środku ucieszył. – Najlepsze są pióra mew. Tam. – Pokazał na białe łaty namiotowej płachty. – Bo są tłuste i woda z nich spływa. Ale nie przylatuje tu zbyt wiele mew, chyba że po burzach. Gołębie pióra nie są złe. Są gęste i smaruję je kaczym tłuszczem, jeśli mam.

– Ale jak je łapiesz?

Matteo spojrział na nią bardzo ostro.

– A jak myślisz?

– Zastawiasz pułapki?

Sophie nie miała pojęcia. Nożem? Rękami? Zębami? Nic by jej nie zaskoczyło.

– Pokażę ci. Zresztą jeszcze dzisiaj nie jadłem.

Matteo sięgnął do komina i wyjął z niego łuk. Wyciągnął wiązkę strzał.

– Strzały mógłby porwać wiatr, gdybym ich nie związał – wyjaśnił. – Czasami mocno tutaj wieje.

Nałożył strzałę na cięciwę i przybrał tę zaszuchaną minę, którą Sophie widziała na linie. Zupełnie się od niej odgradził, jakby zamknął drzwi. Odwrócił się do niej plecami. Na dachu,

z którego przyszli, trzy gołębie siedziały na kominie. Nagle Matteo odciągnął rękę do tyłu, strzała pofrunęła z furkotem i trafiła środkowego gołębia w szyję. Dwa pozostałe odleciały, skrzecząc ze strachu.

– Zawsze celuję w środkowego, jeśli jest ich kilka. – Nie zwracał uwagi na zszokowaną minę Sophie. – To zwiększa szansę trafienia. I celuję pod wiatr.

Matteo podbiegł do krawędzi dachu, kucnął i spojrział w dół. Potem wychylił się do przodu. Sophie była pewna, że chłopak się zabije, ale w ostatniej chwili złapał za linę i ręką po ręce przedostał się na drugą stronę. Podciągnął się, schował gołębia pod koszulę, co – jak pomyślała Sophie – wyjaśniało czerwone plamy, i tym samym sposobem wrócił na swój dach. Cała wyprawa zajęła mu mniej niż dwie minuty.

Rzucił jej ptaka pod nogi.

– Tak je łapię. – Wytarł zakrwawione dłonie we włosy. – Nigdy nie mówiłem, że jestem miły.

Sophie starała się zachować niewzruszoną minę.

– Mogę ci pomóc w jego oskubaniu? – spytała.

– *Non*.

– Dlaczego? Proszę cię.

– Nie możesz mi pomóc. Możesz oskubać. To nie jest proszona kolacja.

Na szczęście Sophie czytała o skubaniu ptaków. Zaczyna się od szyi i idzie do tyłu.

– Nigdy nie jadłam gołębia. – Wyrwała garść piór. Skóra gołębia przypominała skórę starca. Niewiele brakowało, a Sophie szarpnęłaby się do tyłu z obrzydzenia. – Jak smakuje?

Starła się skubać jak najszybciej.

– Jak wędzony kurczak – odparł Matteo. – Bosko. Ale nie powinniśmy rozmawiać.

– O, przepraszam! Ktoś nas usłyszy?

– *Non*. Jesteśmy za wysoko. Chodzi mi o to, że miałaś nasłuchiwać muzyki.

Kiedy Matteo patroszył ptaka i piekł na ruszcie, Sophie nasłuchiwała. Słowa Matteo się potwierdziły. Stojąc albo kucając w różnych miejscach dachu, mogła usłyszeć urywki rozmów i strzępy muzyki z odległości kilometra.

Krążyła po dachu na czworakach i słuchała dźwięków, które przynosił wiatr. Usłyszała kłótnię – pełną nieznanym jej słów, przypuszczalnie francuskich przekleństw – pijackie śpiewy i szczekanie psa. Przede wszystkim jednak otaczały ją nocna cisza i śpiewy słowików.

Przeżyła szok, kiedy Matteo zawołał:

– Sophie!

– Tak? O co chodzi? Usłyszałaś coś?

– *Non*. Jedzenie gotowe.

Zachowanie Matteo przy stole nie było szczytem kultury. Szarpał gołębia zębami, jadł z otwartymi ustami. Sophie też zaczęła jeść, ale tłuszcz był piekielnie gorący, poparzyła podniebienie.

Rozejrzała się po dachu i dobytku Matteo.

– Masz widelec, Matteo?

– Nie. Po co?
– Nie potrzebujesz?
– Przecież mam palce. I zęby.
– Nie parzysz się?
– Nigdy. – Wyciągnął dłonie w jej stronę. – Widzisz? Żaroodporne. – Skóra była gruba i zrogowaciała. – Nie parzę się.
– Ja bym chciała widelec. Przepraszam. Mam pęcherze. – Potrzebowała sprawnych palców do gry na wiolonczeli. – Masz jakąś wodę?
– Do picia czy do twoich palców?
– Do jednego i drugiego.
– Pokaż mi je. – Chwytał ją za dłoń. – Twoje ręce są za delikatne.
Splunął w dłonie i wytarł je w ręce Sophie.
– Dużo na nie spluwaj – poradził jej. – To pomaga. Tu masz wodę do picia. – Podał jej blaszany dzbanek do połowy wypełniony wodą. – To jest deszczówka. Nie mogę jej marnować na pęcherze. Nie wypij całej.
Sophie spróbowała. Mimo rdzawego posmaku woda okazała się całkiem niezła.
– Dobra – powiedział Matteo. – Zrobię ci widelec.
Rozkroił gołębia i wyjął z niego mostek i długą kość nogi.
– Podaj mi czajnik – poprosił.
Zanurzył kości w czajniku – najwyraźniej mu nie przeszkadzało, że woda wrze – dosypał szczyptę sadzy i zaczął skrobać je.
– Sadza zadziała jak mydło – wyjaśnił.
– Naprawdę? – Spojrzała na jego twarz, czarną od brudu. – Jesteś pewien, że nie masz na myśli... właśnie mydła?
– Zobaczysz. – Skrobał dalej. – Mam rację.
Rzeczywiście miał rację. Po niedługim czasie kości zrobiły się zupełnie białe. Potem wyjął z kieszeni trochę sznurka.
– Sznurek to jedyna rzecz, która nigdy, ale to nigdy się nie znudzi. Sznurek i ptaki.
Przywiązał mostek do kości nogi, robiąc ze sznurka ósemkę.
– Widelec! *Voilà*.



ROZDZIAŁ 19

Sophie spała przed większość dnia i obudziła się we własnym łóżku. Na zewnątrz padało. Wieczorem rozpętała się burza. Sophie odliczała sekundy między błyskawicą a grzmotem. Jeden, dwa, a potem: bum! Nie odważyła się wejść na dach. Następnego dnia nie było lepiej. Charles wyszedł z hotelu w kusym, pożyczonym płaszczu przeciwdeszczowym, żeby poszukać prawników.

– Będę stała na czatach, jeśli pozwolisz mi skorzystać ze swojego okna – powiedziała mu Sophie. – Wracaj szybko, dobrze? Nie daj się zauważyć.

Potała rękawy jego płaszcza, który był o kilka centymetrów za krótki.

– Będę uważał. A ty nie wychodź z tego pokoju. Chyba że to będzie absolutnie konieczne. Jeśli będziesz musiała się wysikać, użyj nocnika. Nie chcę, żeby inni goście cię zobaczyli.

No i Sophie przez cały dzień siedziała w oknie Charlesa z kubkiem kakao na kolanach i pełniła straż. Wypatrywała policjantów i wiolonczelistów. Prawie nikt tamtędy nie przechodził, a ci, którzy przechodzili, byli ukryci pod parasolami. Sophie nasłuchiwała muzyki wiolonczelowej, aż w końcu zaczęło jej huczeć w głowie i odgłosy każdego powozu brała za *Requiem*. Co kilka minut zaciskała i rozprostowywała palce.

Na kakao pojawił się kożuch, a potem wystygło. Sophie tego nie zauważyła. Nie przestawało padać.

Zanim Sophie poszła do łóżka, deszcz zamienił się w ulewę. Obudziła się, kiedy zegar wybił drugą, a z nieba już tylko trochę kapało. Przed księżycem przesuwały się kolejne chmury, toteż jego światło migotało w jej pokoju jak alfabet Morse'a.

Sophie zerwała z siebie pościel i wstała. Ani trochę nie chciało jej się spać. Naciągnęła pończochy, włożyła spodnie i dwie bluzki. Potem rozciąła pończochy przy palcach u stóp, żeby

je odsłonić. Wyszła przez okienko i zostawiła je otwarte, przez co na łóżko kapała woda.

Matteo siedział po turecku przy ognisku, oparty plecami o największy komin. W jednej ręce miał nóż, a w drugiej coś różowawego, podejrzenie podobnego do obdartego ze skóry szczura. Sophie gwizdnęła, a Matteo upuścił tajemnicze coś do ognia i podbiegł do krawędzi dachu, żeby przeprowadzić Sophie po linie.

Kiedy dotarli do ogniska, zwierzę dymiło. Matteo zaklął.

– Ach. Szczur nigdy nie jest pyszny, ale spalony szczur jest ohydny.

– Jak smakuje szczur?

Matteo usiadł i pociągnął ją na dół.

– Siadaj. Nie myślałem, że przyjdziesz, skoro pada. Szczur smakuje jak jeź.

– Jeża też nigdy nie jadłam.

– A królika?

Położył jej na kolanach worek, a drugim przykrył sobie ramiona.

– Tak, królika jadłam.

Worek był mokry, ale Sophie nic nie powiedziała. Zauważyła, że worek Matteo jest jeszcze bardziej mokry.

– No to szczur nie smakuje jak królik, ale jeśli ktoś nie wie, co je, mógłby się pomylić. Masz, spróbuj. – Sophie wzięła szczura do ręki i powąchała. Nie pachniał zachęcająco. – Tylko zostaw trochę dla mnie. Więcej niż połowę. Jestem większy od ciebie.

– To jest śniadanie czy kolacja? – spytała.

– Obiad. Śniadanie zjadłem, jak się obudziłem. W każdym razie można to nazwać śniadaniem.

– Kiedy to było? – Sophie ostrożnie wbiła zęby w udo szczura. Smakował jak węgiel drzewny i pokrzywa. Przełknęła z wysiłkiem. – Smakuje... nie najgorzej. – Ale masz, jest twój.

– Nie wiem. O zachodzie słońca. Czyli koło dziewiątej. – Matteo zacisnął szczęki na szczurze.

– Kolację jem o piątej rano. Jeśli w ogóle jest jakaś kolacja.

– Dlaczego miałyby nie być?

Wzruszył ramionami.

– Mam kiepski tydzień, jeśli chodzi o jedzenie. – Z bliska zobaczyła, że Matteo ma wychudzoną twarz, a rysy napięte. – Jestem zmęczony. Wolałbym, żebyś nie zostawała długo.

– Tak mi przykro! – Zakląła w duchu. – Mogłam przynieść jedzenie. – Zapomniała, że może być głodny. – Nie miałam świadomości. Ale pozwól mi zostać. Chciałam posłuchać. – Skóra jej płonęła, jak zawsze, kiedy Sophie myślała o matce. – Proszę cię.

– Dobrze. – Matteo położył się na plecach i patrzył na gwiazdy. – Ale jestem za bardzo głodny, żeby rozmawiać.

– Dlaczego jest gorzej niż normalnie?

– Dlaczego? – podparł się łokciami i spojrział na nią z niedowierzaniem. – Przez deszcz! To chyba oczywiste.

Sophie położyła się obok niego. W świetle księżycy twarz Matteo wydawała się szara.

– W deszczu trudniej się poluje? – spytała.

– Tak. Ptaki chowają się na dworcu, a ludzie zamykają w nocy okna, więc nie można nic

zabrać z parapetów.

– Co ostatnio jadłeś?

– Mewę, we wtorek. Przywiała ją burza. I tak była już prawie martwa. I sikorkę na śniadanie. Było mi żal. Całkiem je lubię, to znaczy żywe. Nieszczególnie lubię je jeść. Poza tym mają za mało mięsa, żeby opłacało się je skubać.

Sophie była skonsternowana.

– To wszystko? Przez trzy dni tylko tyle?

– *Oui. A non*, w niedzielę zjadłem lizaka. Anastasia i Safi zostawiły go dla mnie na dębie koło opery. W każdym razie myślę, że dla mnie. Jeśli nie, to nie mój problem.

Sophie obróciła się na brzuch.

– Kto to jest Anastasia i... Jakie było to drugie imię?

Matteo zrobił obojętną minę.

– Nieważne. Masz może przy sobie jakieś jedzenie?

– Raczej nie. – Sophie pogrzebała w kieszeniach. – Zaczekaj, mam rodzynki. Przyniosłam je dla ptaków, ale lepiej będzie, jak ty zjesz.

– Tak, lepiej. Jestem głodny. Poza tym gdybym dał ptakom rodzynki i tak bym je potem zjadł, więc pomijam tylko jeden krok. Coś jeszcze?

Sięgnęła głębiej. To właśnie kieszenie dają spodniom taką przewagę nad spódnicami, pomyślała.

– Tak! – Wyjęła z kieszeni lewą dłoń. – Odrobinę czekolady. Może być trochę stara. Roztopiła się i zlepiała ze spodniami. Ale chyba nadaje się do jedzenia?

– Tak. Daj mi.

Ku zdziwieniu Sophie Matteo nie włożył sobie czekolady do ust, tylko zdjął z ognia patelnię, rzucił na nią czekoladę i zamieszał zastruganym patykiem.

– Czekoladę najlepiej ugotować. Wtedy się wydaje, że jest jej więcej. – Dosypał rodzynki. – Powąchaj. Ładnie pachnie.

Zapach roztopionej czekolady rozwiewał się nad dachem. Ciało Matteo rozprostowało się i zrobiło o kilkanaście centymetrów dłuższe. Po raz pierwszy tej nocy Sophie zobaczyła na twarzy chłopca uśmiech.

– Następnym razem spróbuj przynieść więcej jedzenia – powiedział. – Na górze łatwiej się żyje z pełnym żołądkiem.

Charles nie miał szczęścia do prawników.

– Nie jest łatwo. Żaden z nich nie weźmie sprawy przeciwko komendantowi policji. Zdaje się, że większość prawników ma tyle przyzwoitości i odwagi co papier toaletowy. Ale kogoś znajdziemy, skarbie. – Jedli śniadanie. Charles rozsmarował na rogaliku słoik dżemu i zamoczył całość w kawie. – Wielkie nieba! Ty nic nie jesz?

– Pomyślałam, że zostawię sobie na później.

Sophie położyła swój rogalik na kolanach, a potem schowała do kieszeni.

– Nie jesteś głodna?

– Nie, dziękuję. Jestem napchana.

Charles przestał jeść.

– Naprawdę? – Uniósł brew. – Schowałaś już do kieszeni bułkę, a jeśli się nie mylę, w skarpetce masz jabłko. Czym się napchałaś, jeśli można wiedzieć?

Jak zawsze w takich sytuacjach, myśli Sophie runęły w bezładną stertę.

– Ciasteczkami – odparła.

– Na śniadanie? Nietypowe.

– Pomyślałam, że sprawdzę, jak to jest najeść się ciasteczek na śniadanie.

– I jak było?

– Dobrze. Zjadłam ich całe mnóstwo. I teraz trochę mi niedobrze. – Zaczęła wstawać. – Mogę iść?

– Jeszcze nie. Usiądź, Sophie. Powiedz mi, jakie to były ciasteczka?

– Z kremem czekoladowym.

– Te okrągłe z nadzieniem na wierzchu?

– Tak.

Uśmiechnął się.

– I nic dla mnie nie zostawiłaś?

– Przepraszam. Były za bardzo pyszne.

– Wiem, że są pyszne. A skąd się wzięły te pyszne ciasteczka z kremem czekoladowym?

– Oczywiście z piekarni.

Sophie pokazała ruchem głowy na pomarańczową markizę piekarni za oknem. Za późno zauważyła, że markiza jest zwinięta, a w oknach nie palą się światła.

– Jaka jesteś zaradna. – Brwi Charlesa zjeżyły się ironicznie. – W niedzielę piekarnia jest nieczynna, Sophie.

– Wiem o tym. Kupiłam je wczoraj.

– W soboty też jest nieczynna.

Cholera, pomyślała Sophie. Swędziało ją pod pachami, a na czole poczuła kropelki potu. Nie zносиła kłamać. Nie miała pewności, czy jest w tym dobra. Podejrzewała, że nie.

– Już sobie przypomniałam: kupiłam je w piątek.

– A czym zapłaciłaś? O ile mi wiadomo, nie masz francuskich pieniędzy. – Sophie nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi, więc milczała. – Chciałabyś mi coś powiedzieć?

Chciała mu powiedzieć setki rzeczy. Ale dorośli są nieprzewidywalni, nawet ci najlepsi. Nigdy nie wiadomo, kiedy każą ci przestać robić to, co robisz. Wsunęła palce za spódnice i mocno je zacisnęła.

– Nie, zupełnie nic – odparła. – Mogę iść?

– Oczywiście. – Charles ułożył brwi w odwrócone do góry nogami litery V. – Bardzo kiepsko kłamiesz, Sophie. Nie polecam kariery aktorki. Ale jeśli nie robisz czegoś zbyt ostentacyjnie nielegalnego, nie przeszkadza mi, że masz swoje tajemnice.

– To nie jest nielegalne.

A jeśli jest, to nie powinno, pomyślała.

– W takim razie zachowaj swoje tajemnice, Sophie. Wszyscy ich potrzebujemy. Dzięki nim

jesteśmy twardzi i przebiegli. – Zaczekał jeszcze chwilę, ale Sophie nie odrywała spojrzenia od szczebelków jego krzesła, więc machnął ręką, żeby sobie poszła. – No to leć do siebie. I poćwicz przed lustrem kłamanie.

Jednak po kilku minutach zapukał do jej drzwi.

– Czy twoja tajemnica jest związana z jedzeniem?

– Hm, tak. W pewnym sensie.

– A z twoją matką?

– Tak. Chyba.

Mam taką nadzieję, pomyślała.

Zacisnęła wszystkie palce u rąk i nóg.

– Zaangażowana jest w to inna dorosła osoba?

– Nie, dorosła nie.

Charles chciał chyba powiedzieć coś jeszcze, ale potem pokręcił głową.

– Dobra, zachowaj swoją tajemnicę.

– Dziękuję ci.

– Ale Sophie?

Charles stał już plecami do niej, więc nie widziała jego twarzy.

– Tak?

– Jeśli zrobisz sobie jakąś krzywdę, to obedrę cię żywcem ze skóry.

Kiedy tego wieczoru Sophie poszła do swojego pokoju z umyтыми zębami i francuskim słownikiem pod pachą, na łóżku leżała jakaś paczka z przyczepioną na wierzchu karteczką.

Sophie rozpoznała charakter pisma Charlesa. „Wszyscy potrzebują tajemnic. Ale żeby to były dobre tajemnice, Sophie”. Na odwrocie zauważyła *post scriptum*. „Nigdy w życiu nie zjadłem dosyć kiełbasek na jedno posiedzenie”.

Sophie podniosła paczkę. Była ciężka, miejscami chlupiąca, a u dołu coś brzęknęło. Chciała zajrzeć do środka, ale się powstrzymała. Uznała, że lepiej będzie zrobić to razem z Matteo. Musiała jednak znaleźć w sobie mnóstwo silnej woli, żeby nie otworzyć paczki przed dotarciem do liny.

Księżyc nie świecił. Matteo siedział z nogami zwieszonymi poza krawędź dachu i gwizdał.

– Popatrz, co mam! – zawołał. Przebiegł po linie, zeskoczył na drugi dach i wziął Sophie za rękę. – Chodź i popatrz! Pomidory! Nigdy nie miałem tylu pomidorów.

Stos pomidorów sięgał Sophie prawie do kolan. Błyszczały od porannej rosy.

– Piękne – powiedziała najzupełniej szczerze. Były dojrzałe, ale nie przejrzałe, wielkie i trochę spłaszczone, należały do odmiany o charakterystycznym smaku. Sophie wzięła do ręki jednego pomidora i powąchała. – Skąd je wzięłeś?

– Uprawiam...

– Nie mów, że sam je uprawiasz, bo ci nie uwierzę. To jest odmiana szklarniowa.

– Brawo – zripostował Matteo kpiącym, a jednocześnie trochę wyzywającym tonem. – Wziąłem je z parapetu. Z mieszkania na piątym piętrze bloku w ósmej dzielnicy.

– Czyli ukradłeś?

– *Non*. Wziąłem.

– To nie to samo?

– Jeśli coś jest pod gołym niebem, każdy może to zabrać. To się nazywa polowanie.

Sophie pomyślała, co by na to powiedziała panna Eliot, i prychnęła.

– Co zamierzasz zrobić z setką pomidorów? – spytała uśmiechnięta.

– Jest ich trzydzieści cztery – odparł wyniośle. – Policzyłem. – Przerzucił uwagę z pomidorów na przyniesioną przez Sophie paczkę. – Co tam jest?

– Nie wiem. Pomyślałam, że razem otworzymy.

– Dlaczego?

Teraz, kiedy Matteo ją o to zapytał, Sophie stwierdziła, że nie umie tego wyjaśnić. Poczula, że robi się czerwona i zakłęła w duchu.

– No wiesz, jak w Boże Narodzenie.

– Nie rozumiem. Co to ma wspólnego z Bożym Narodzeniem?

– No wiesz, chciałam, żeby to było jak wspólne odpakowywanie prezentów w Boże Narodzenie.

– Nie wiem – odparł Matteo ze zdenerwowaną miną. Może podejrzewał, że Sophie sobie z niego żartuje. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Myślę, że to jest jedzenie. Od Charlesa.

Jedzenie doskonale robi na zły nastrój. Usta Matteo rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Jakie jedzenie? – Wziął paczkę i ścisnął. – Mięso? – Podniósł ją wysoko nad głowę. – Chyba zatrzymam to dla siebie.

– Oddawaj!

Matteo wzrostem przewyższał Sophie o głowę, więc nie było sensu walczyć o paczkę, ale i tak spróbowała.

– Otworzymy razem – zaproponował wielkodusznie. Kiedy Sophie do niego podeszła, szarpnął paczką do tyłu. – Ja zacznę.

W środku było mnóstwo mniejszych pakunków, zawiniętych w papier śniadaniowy. Matteo pochylił się, powąchał, a potem wyjął pierwszy pakunek. Cztery bułki, miękkie w środku i posypane z wierzchu mąką. Jeszcze ciepłe, pachnące niebiańsko. I posmarowane masłem przez wielkiego zwolennika tego tłuszczu – warstwa masła miała grubość pierwszego stawu kciuka Sophie.

– Zawsze myślałam – powiedziała Sophie – że gdyby miłość miała zapach, to pachniałaby jak ciepłe pieczywo.

– Co? – Matteo już jadł. – O czym ty mówisz?

Z górnej wargi wisiał mu kawałek masła.

– Nieważne – odparła.

Matteo wyglądał na zajętego, więc Sophie rozwinęła z papieru następny pakunek. Jej dłoń zrobiła się lepka.

– Mięso! – zawołał Matteo.

Nie odrywał wzroku od trzymanyh w dłoniach bułek, ale z jego głosu przebijały zachwyty

i pewność.

– Skąd wiesz?

– Po zapachu.

Matteo miał rację. Spod papieru wyłonił się kawał brązowego mięsa, pokrojony na grube plastry. Sophie nie rozpoznała, jakie to mięso. Podsunęła je pod nos Matteo.

– Co to za mięso? Poznajesz?

Matteo wziął największy plaster i odgryzł kawałeczek.

– *Non*. Nigdy takiego nie jadłem. Ale dobre. W każdym razie nie jest to gołąb ani szczur.

Sophie też trochę spróbowała. Smakowało dymem i solą. Na dachu pośród nocy było przepyszne.

– Czy to nie jest dziczyzna? Nigdy nie jadłam, ale wyobrażam sobie, że tak właśnie smakuje.

Matteo zanurzył głowę w paczce. Po chwili wyłonił się z dwiema szklanymi butelkami w rękach.

– A to? Co jest w tych butelkach?

– Może wino? – Butelki były schłodzone i pociły się w ciepłym powietrzu. Sophie przyłożyła sobie jedną do policzka. – W każdym razie wyglądają jak wino. Ale Charles wie, że ja nie lubię wina, nie licząc szampana z jeżynami.

Matteo wzruszył ramionami.

– Nigdy nie piłem wina.

Otworzył jedną z butelek, bąbelki poleciały mu do nosa i kichnął jak kot.

Sophie się roześmiała.

– To chyba lemoniada.

Na dnie paczki była połowa ciasta czekoladowego, nadal mokrego i lepkiego w środku, a także wypełniony śmietaną słoik po dzemie i gruby pakunek, zawinięty w papier śniadaniowy i gazetę.

– Parówki! – zawołał Matteo.

Były grube jak nadgarstek Sophie.

Sophie je policzyła.

– Dwadzieścia dwie. Po jedenaście na głowę.

– *Mon Dieu!* – zachwycił się Matteo. Dorzucił coś jeszcze po francusku. Sophie nie znała tego słowa i nie potrafiłaby go powtórzyć. – Kimkolwiek jest twój opiekun, kocham go.

– Wiem! Ja też. – Sophie uśmiechnęła się w stronę ognia. Kto inny dałby ci więcej kiełbasek, niż masz palców u rąk i nóg? – Moim zdaniem powinniśmy je ugotować wszystkie naraz. Moim zdaniem on miał na myśli nas oboje.

– *Non* – sprzeciwił się Matteo. – Powinniśmy odłożyć część na później.

– Przecież nie masz lodu. Jeśli ich nie ugotujesz, to się zepsują. Jestem głodna jak wilk. No weź, Matteo!

Lewy kącik ust zadrgał chłopcu w powstrzymanym uśmiechu.

Sophie uznała to za zgodę.

– Mogłabym też ugotować zupę pomidorową.

– Umiesz gotować zupę pomidorową?

– Tak – skłamała Sophie. – W każdym razie jestem pewna, że potrafiłabym wymyślić, jak to się robi. – Parówki nie miały w sobie tłuszczu ani chrząstek. Sophie je szturchnęła. – Jak je zrobimy? Masz patelnię?

– Nie, ale zbieram kurki pogodowe.

Sophie pomyślała, że może mu się coś poplątało z angielskim.

– Zbierasz kurki pogodowe?

– Mam kilkanaście.

Matteo sięgnął do worka za plecami, wyjął garść długich, metalowych szpikulców i rzucił Sophie pod nogi. Większość z nich przypominała strzały, ale był też jeden maszt statku i jedna kura. Kurki były wypolerowane i połyskiwały w świetle księżyca.

– Patrz. – Matteo wziął trzy parówki i nabił je na najdłuższą strzałę. – Ty też kilka nabij.

– Skąd je bierzesz? – spytała Sophie.

– Z dachów, a skąd?

– Czy to nie jest kradzież?

Nadziała na srebrną strzałę cztery parówki i położyła je na ogniu.

– Nie, nie jest. Oni ich nie używają, tylko pozwalają im zardzewieć. Ja ich używam.

– Nieprawda, używają. Używają ich do...

– Do czego?

Sophie umilkła na chwilę.

– Jak to, do określania, skąd wieje wiatr.

– Jeżeli są tacy głupi, że potrzebują do tego kurków, to na nie nie zasługują.

– Ale wtedy na dachach nie byłoby kurków i nie miałbyś co kraść.

– Znajdować, nie kraść. – Popłuł na inny metalowy szpikuliec i wytarł go koszulą. – W każdym razie jak chcesz wiedzieć, skąd wieje wiatr, to popatrz na drzewa! Albo poliz palec i poczuj wiatr. Albo przytrzymaj włosy nad głową.

Z parówek zaczął kapać przezroczysty sok. W powietrzu unosił się fantastyczny zapach.

Sophie wypłukała deszczówką największy garnek Matteo. Miał kształt kociołka, był z mosiądzu i dźwięcznie zadzwonił, kiedy stuknęła o niego słoikiem po drzemie.

– Masz coś, żebym mogła obrać pomidory? – spytała.

– *Non*. Ale pomidorów się nie obiera. Pomyliłaś z pomarańczami.

– Do zupy chyba się obiera – powiedziała niepewnie. – Ale nieważne. Nic nie powinno się stać, jeśli nie obiorę, prawda? – Wsypała do garnka wszystkie pomidory z wyjątkiem dwóch. Jednego rzuciła Matteo, a drugiego wzięła dla siebie i zjedli je na surowo. – Teraz chyba czekamy, aż się zagotują. – Potem przyszło jej jednak do głowy, żeby wlać do garnka pół kubka deszczówki. Przez następne pół godziny pomidory rozgotowały się na papkę. Skórki wypłynęły na powierzchnię, a oni zaczęli je łowić – Sophie gałązką, Matteo palcami – i rozdali kilkunastu gołębiom, które zgromadziły się wokół nich, czekając na okruszki.

– Możesz mi podać śmietanę? – poprosiła Sophie.

– Nie zużyj całej!

Matteo wypił szybki łyk, zanim podał jej słoik.

– Nie zużyję. – Wlała do garnka prawie cały słoik, ale zostawiła trochę do ciasta czekoladowego. Co jeszcze daje się do zupy? – Masz sól?

– Oczywiście, że mam sól! Jestem dacholazem, Sophie, nie dzikusiem.

Matteo trzymał sól w wyszorowanej doniczce, owiniętej niebieskim kwadratem płótna. Miał też pieprz w doniczce, owiniętej czerwoną szmatą. Sophie rozpoznała, skąd wzięło się płótno – z szortów, które Matteo miał na sobie, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

– Nie przepadam za pieprzem – powiedziała. – Jeśli ci to nie przeszkadza, dodam tylko soli. Popieprzysz sobie swoją zupę.

– Nieprawda, lubisz pieprz. Tyle że w Anglii macie niedobry. Wiem o tym, bo czasem dojadam różne rzeczy po Anglikach. Wsypiemy tylko trochę. – Zabrał jej donicę z pieprzem, rozgniół kilka ziaren między dwoma kawałkami łupku i wsypał do zupy. – Zaufaj mi.

Sophie posoliła zupę. Zapach był tak intensywny, że poczuła łaskotanie w nosie.

– Myślę, że jest gotowa – oceniła.

Siedzieli obok siebie plecami do wiatru i pili zupę z blaszanych kanek. Sophie zakreśliło się w głowie od tego smaku. Zachciało jej się śmiać. Matteo wkładał do ust całe parówki. Sophie zrobiła sobie kanapki z parówkami i dziczyzną. Dla zaostrzenia smaku połała jeszcze kanapki gęstą zupą jak sosem i zaczęły jeść rękami. Włosy zasłaniały Sophie usta i w końcu zawiązała je z tyłu jedną z cięciw Matteo. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek była taka szczęśliwa.

Spałaszowali czternaście parówek i nawet Matteo zaczynał zwalniać, kiedy Sophie zastygła.

– Słyszysz?

– Szo szłyszę? – Matteo mówił z pełnymi ustami. – Cho chylko wiatr.

– To nie wiatr. – Dźwięk był zbyt klarowny i piękny jak na wiatr. – To muzyka. Wiolonczela. Słyszysz niskie tony?

Sophie odłożyła jedzenie na kawałek łupku i wyteńczyła słuch. Nad dachami doleciała do niej jakaś melodia.

– *Requiem* Faurégo grane w podwójnym tempie! – Zerwała się na nogi, niechcący wrzucając parówki do ognia. – To idzie stamtąd!

Podbiegła na drugi koniec dachu i stanęła na palcach, żeby jak najlepiej słyszeć. Moja matka! Słyszę moją matkę, pomyślała. Ta myśl wstrząsnęła nią do głębi.

– Słyszysz? – Wstrzymała oddech. Muzyka przestała grać. – Jezu, Matteo! Proszę cię, powiedz, że słyszałeś!

Matteo wstał i wytarł usta.

– Słyszałem.

– Jak myślisz, jak daleko to było? Pójdziemy tam teraz? Chodź! Pójdziemy od razu! Którędy będzie najszybciej?

– Nie wiem.

– Co? Na pewno wiesz! Powiedziałeś, że znasz cały Paryż! Musimy iść, teraz!

– Nie.

– No co ty! Posłuchaj, chodź szybko! No chodź!

– Nie możemy tak po prostu pobiec.

– Nieprawda, możemy!

– Przestań, Sophie! Zresztą nadstaw uszu. Już nie słychać. – Matteo zbladł. – To mogło być wiele kilometrów stąd. Nie możesz mieć pewności, skąd przyleciało. Nie wiedziałaś o tym? Na dachach dźwięk kręci, odbija się, zwodzi.

– Ale ja słyszałam, że przyleciał stamtąd! – Sophie pokazała. – Stamtąd! Od Gare du Nord! Od dworca kolejowego!

Matteo nie patrzył na nią.

– Wiem.

– To dlaczego właśnie powiedziałaś, że nie wiesz!? Chodźmy.

– Nie chodzę na dworzec. Ty możesz iść, jeśli chcesz. Ja nie mogę.

– Nieprawda, możesz! Potrzebuję cię! Musisz!

– Nie mogę. Tamte dachy należą do kogoś innego.

– Do kogo?

Pokręcił głową.

– Nie mogę ci tego wyjaśnić.

– W takim razie możemy tam pójść?

Serce dudniło jej w uszach. Słyszała, jak matka gra na wiolonczeli.

– Możemy, ale nie dzisiaj. Jeśli chcesz iść na dworzec, potrzebujemy innych.

– Innych? – Matteo był denerwująco zagadkowy. – Jakich innych?

Westchnął.

– Innych dacholazów.

– Przecież mówiłaś, że nie ma żadnych innych.

– Wiem. Kłamałam. – Potem spojrzał na nią tym wzrokiem, który widzi twoją duszę, przez co nie wiesz, co masz zrobić z rękami. – Mówiłaś, że umiesz pływać, prawda?



ROZDZIAŁ 20

Dwa dni później Sophie siedziała na ławce w ogrodzie Tuileries i bawiła się ubraniami. Serce biło jej szybko jak u kolibra. Matteo wysłał ją tutaj, żeby spotkała się z kimś o zmierzchu.

– Wysłałem wiadomość – powiedział. – Dałem sygnał. Może przyjdą, może nie.

– Kto? – Sophie patrzyła, jak Matteo opłukuje ślimaki z błota w garnku wody. Nie patrzył na nią, kiedy mówił. Czowała, że coraz bardziej ściska ją w piersiach. – Jak długo mam czekać?

– Może cztery godziny, od zachodu słońca.

– Cztery godziny?

– Albo pięć, na wszelki wypadek.

– Pięć!

– Czekać trzeba umieć. Musisz się tego nauczyć. – Każdego umytego ślimaka kładł do góry nogami koło ognia. W całym rzędzie Sophie doliczyła się jedenastu ślimaków. Muszle były cętkowane i piękniejsze, niż myślała. – To jest jak gra na wiolonczeli.

– Nieprawda.

– Przyda ci się w życiu.

– Co mam powiedzieć Charlesowi? Nie wolno mi wychodzić na ulicę, bo mnie złapią.

Od samego słowa „złapią” Sophie zrobiło się zimno.

– Cokolwiek. Albo nic. Co chcesz. Okłam go. To nie ma znaczenia. Będzie ciemno.

To ma ogromne znaczenie, pomyślała Sophie. Ale Matteo był dacholazem i nie wiedział, jak to jest okłamywać osobę, która najbardziej cię kocha.

Sophie postanowiła nic nie mówić Charlesowi. Uznała to za lepsze od kłamstwa. Poza tym mogła obwiązać głowę chustą, skoro to za moimi włosami się rozglądają, pomyślała. Mogłaby też trochę wywatować ubranie, żeby wydawała się grubsza. Albo się garbić, żeby wydawała się

niższa. Mimo wszystko była obolała ze strachu.

– Nie mógłbyś pójść i poczekać razem ze mną? – spytała.

Matteo zrobił taką minę, jakby go poprosiła, żeby zjadł gołębia razem z piórami.

– Nie schodzę na ulicę. Nigdy.

– W takim razie nie moglibyśmy spotkać się z nimi na moim dachu? Albo na twoim. Inaczej mogę się zgubić. Albo dać się złapać. Proszę cię, Matteo. Tutejsi policjanci wyglądają na okrutnych.

– *Non*. One nie przepadają za dachami. Lubią otwarte przestrzenie.

– Jak to? Powiedziałeś, że to dacholazy.

– W pewnym sensie.

– Może mi to po prostu wytłumaczysz!

Wzruszył ramionami i wrzucił ślimaki do garnka z wrzącym bulionem.

– Nigdy nie wiadomo, kto doniesie. Ci, którzy budzą największe zaufanie, często są najgorsi.

– Myślisz, że doniosę?

Zrobił uspokajającą minę.

– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Sophie siedziała tutaj od godziny. Nie było jej łatwo wyrwać się z hotelu. Zaczekała w swoim pokoju na zachód słońca, wdrapała się na dach i zsunęła na dół po rynnie.

Pod drzwiami Charlesa zostawiła kartkę:

Poszłam wcześniej do łóżka. Nie budź mnie.

Całusy, S.

Gnębiła ją myśl, że Charles jej nie zastanie. Za każdym razem, kiedy mijał ją jakiś mężczyzna w mundurze, szarpała się i zagryzała wewnątrz policzka.

W końcu zaczęła szukać czegoś, co odwróciłoby jej myśli od policjantów. Park pustoszał, ponieważ robiło się ciemno. Nie było zbyt wiele do oglądania, tylko gazony kwiatów, które są nudne, jeśli nie wolno zrywać kwiatów, wróble i bułka z serem na kolację, która leżała obok Sophie na ławce. Sophie odłamała kawałek bułki i rzuciła ptakom.

– To na nic – odezwał się jakiś głos za jej plecami. – Te wróble jedzą tylko rogaliki.

Sophie gwałtownie się odwróciła.

Jakaś dziewczyna siedziała na oparciu ławki ze stopami na siedzeniu. Jej blond włosy niemal muskały Sophie, która nie słyszała jednak żadnego szelestu, stuknięcia czy szmeru.

– Jak to zrobiłaś? Niesamowite.

Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie.

– Tak w ogóle to dobry wieczór. Ty musisz być Sophie. – Zsunęła się z oparcia i usiadła obok niej. – Tutejsze ptaki są strasznie rozpieszczone. Jedna gołębicą je tylko *pain au chocolat*. – Zabrała Sophie bułkę, ale zamiast rzucić ją gołębiom, ugryzła kawałek. – Pycha. Boskie. Od tygodni nie miałam w ustach pieczywa.

– Jest sucha – odparła Sophie, bo nie przyszło jej do głowy nic lepszego.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Polizała bułkę, żeby ją zwilżyć.

– Sucha znaczy stara, prawda? A stare jest mądre. Mądra bułka. To jest Safi, moja siostra. Powiedz *bonsoir*, Safi.

Sophie skoczyła parę centymetrów do góry. Dziewczyna z ciemnymi włosami uwiesiła się na oparciu ławki. Nic nie mówiła.

– W ogóle cię nie usłyszałam! – zdziwiła się Sophie. – Jak to zrobiłaś?

Pierwsza dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Praktyka.

Brunetka usiadła koło siostry, prawie na jej kolanach. Zadzwoił zegar i jakiś mężczyzna zaczął zapalać latarnie. Sophie nareszcie mogła wyraźnie zobaczyć obie dziewczyny.

Okazały się niskie i brudne. Blondynka miała na sobie bawełnianą sukienkę, zielonkawo-brązową, ale sądząc po szwach, kiedyś była biała. Sprawiała takie wrażenie, jakby ktoś specjalnie poplamiał ją trawą. Na rąbku siedział żuk. Dziewczyna jakimś sposobem umiała sprawić, żeby sukienka wyglądała na uszytą z najdroższego chińskiego jedwabiu.

– Jestem Anastasia – przedstawiła się. Dziwny akcent, niby francuski, ale z nietypowym przeciąganiem samogłosek, pomyślała Sophie. Dziewczyna rozpostarła ramiona, jakby była właścicielką parku. – Witamy w Paryżu.

– Dziękuję. Jestem Sophie.

– Tak, to już ustaliliśmy. – Anastasia położyła dłoń na ramieniu siostry. – Safi też cię wita.

Brunetka sprawiała wrażenie kogoś, kto dużo widział i najchętniej dałby większości po gębie. Miała na sobie chłopięcą koszulę i męskie spodnie z zawiązaną na supeł taśmą mierniczą w roli paska. Na jej policzku Sophie zobaczyła jakąś czerwoną plamę, być może krwi, ale pod spodem Safi była równie piękna jak blondynka. Sophie skrzywiła się z zazdrości.

– Matteo powiedział, że łatwo cię będzie rozpoznać – stwierdziła z uśmiechem blondynka. – Kazał mi się rozglądać za oczami koloru światła świecy.

– Matteo tak powiedział?

– Oczywiście. A kto inny?

Sophie zmrużyła oczy.

– W jaki sposób ci to powiedział?

– Dajemy sobie sygnały. Świecami. No wiesz, alfabetem Morse’a, tak to się chyba nazywa. Ucisz się na chwilę.

Obejrzała Sophie od stóp do głów, a potem wstała i poszła za ławkę, żeby popatrzeć na nią od tyłu, nie krępując się tym, że jej zachowanie nie jest zbyt grzeczne. Sophie starała się nie okazywać po sobie żadnych emocji.

– Jesteś zupełnie taka, jak mówił – oceniła Anastasia. – Całkiem dużo o tobie gadał.

Druga dziewczyna uniosła brwi, ale nadal milczała.

Z bliżej nieznanego powodu Sophie poczerwieniała.

– Co o mnie mówił?

Anastasia pokręciła głową.

– To tajemnica.

Sophie zrobiła wściekłą minę. Czuła się głupio i ze złością patrzyła w ziemię.

– Mówił o tobie ciekawe i w większości dobre rzeczy – dodała Anastasia.

Druga dziewczyna pokiwała głową i jeszcze dobitniej milczała. Sophie próbowała się uśmiechnąć.

– Safi chciałaby, żebyś wiedziała, że bardzo się cieszy ze spotkania z tobą – zakomunikowała Anastasia.

W takim razie Safi dobrze to ukrywa, pomyślała Sophie, ale powiedziała tylko:

– Dlaczego?

– Matteo z reguły nie lubi ludzi, więc jak kogoś polubi, to jest wielkie wydarzenie.

Sophie płonęła. Schowała się za swoimi włosami i próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć.

– Mogę cię o coś zapytać? Jesteś Francuzką, prawda?

– Oczywiście – odparła Anastasia, a Safi stuknęła się w piersi. – *Vive la France!*

– W takim razie kto cię nauczył angielskiego?

– Amerykańscy turyści.

– Naprawdę? – Sophie nie spodziewała się takiej odpowiedzi. – Aha. To miło z ich strony.

– Nie wiedzą, że to robią, ale przesiadują w parkowych restauracjach albo na ławkach i bez przerwy gadają.

– A wy siadacie na ławkach koło nich?

– *Non!* Oczywiście, że nie! Parkowi strażnicy zaczęliby nas rozpoznawać. Siedzimy na drzewach. Oni nigdy nas nie widzą. Amerykanie są mało spostrzegawczy.

– Naprawdę?

Sophie nigdy nie spotkała Amerykanina.

– W każdym razie ci dorośli. Dzieci mają bystre oczy. Na dzieci trzeba uważać. Mówimy też po rosyjsku i albo po włosku, albo po hiszpańsku, nie mamy pewności. Matteo mówi po niemiecku, ale nie tak dobrze, jak twierdzi.

– I jesteście siostrami?

– Tak. Safi chyba jest młodsza ode mnie – odparła Anastasia. – W każdym razie chyba pamiętam czasy, kiedy jej nie było, a ona nie pamięta świata beze mnie. Czyli musi być młodsza.

Sophie uznała to za niezwykle.

– Nie wiesz na pewno, czy Safi jest młodsza? Nie wiesz, ile masz lat?

Anastasia wzruszyła ramionami.

– *Non.* Nie pamiętamy, żebyśmy miały matkę. Matteo też nie. Powtarza, że ma czternaście lat, ale zapomina, że co dwanaście miesięcy musi sobie dodać rok. – Anastasia znowu obejrzała Sophie od stóp do głów. W jej spojrzeniu była bezpośredniość, jakiej Sophie nigdy nie widziała u dziewczyn w swoim kraju. Anastasia sprawiała wrażenie nieustraszonej. – Ile masz lat? Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, prawda?

Sophie pokręciła głową.

– Po wzroście nie da się powiedzieć, ile ktoś ma lat. Jestem wysoka jak na swój wiek. Wyglądasz mi na jakieś trzynaście lat.

– Dobra. W takim razie mam trzynaście lat. A Safi... Jak myślisz?

– Jedenaście? Może dziesięć?

– Powiedzmy dziesięć – uznała Anastasia. – Lubię być starsza. – Przyglądała sukienkę jak księżniczka na przyjęciu urodzinowym, a nie dziewczyna z brudem za paznokciami. – Wybacz mi sukienkę. Kiedyś to był biały brokat. Piękna sukienka, znalazłam ją w kubie na śmieci. W Paryżu ludzie mnóstwo rzeczy wyrzucają. Nie można chodzić na biało, jeśli ktoś chce być bezpieczny. Więc plamimy wszystko tym, no... jak to się nazywa?

– Farbą? Trawą?

– Jest taki zielony pył na drzewach. Tak jakby drzewny puder, no wiesz.

– Tak! Wiem, o co ci chodzi! Jest też biały, na wierzbach. Charles, mój opiekun, nazywa to dziką farbą. Nie wiem, jak naprawdę się nazywa. – Sophie spojrzała na swój kremowy blezer. – A jak z moim ubraniem?

– Spodnie w porządku, góra nie bardzo. Białe i żółte są najbardziej widoczne w nocy. A dalej kremowy i różowy. Tak jakbyś nosiła znak: „Popatrz na mnie”. To są kolory dla ludzi, którzy chcą być w centrum uwagi.

Sophie nie zgadzała się z tym. Jej kremowy blezer był bardzo skromny, sama go udzierniała grubym i nierównym ścięciem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że blezer może przyciągać uwagę. W obronnym geście skrzyżowała ramiona na piersiach.

Anastasia się roześmiała.

– To bardzo dobry sweterek. Nie obrażaj się, ale jeśli nie chcesz zostać złapana, to nie możesz pozwolić ludziom, żeby za dużo na ciebie patrzyli. W zamian mamy niebo. *Tu comprends, non?* Rozumiesz?

Sophie pokiwała z powątpiewaniem głową.

– Tak. To znaczy nie do końca. – Anastasia patrzyła na nią spokojnym wzrokiem. – W sumie nie rozumiem. – Sophie uśmiechnęła się szeroko. – Nie rozumiem, jak możecie mieć niebo.

– Niebo należy bardziej do nas niż do innych.

Matteo powiedział coś takiego o dachach.

– Dlaczego? – spytała Sophie. – W jakim sensie?

Safi stuknęła Sophie w łokieć, potarła się o ramiona i pokazała na niebo.

Anastasia się uśmiechnęła.

– Safi mówi, że dlatego, że mieszkamy bliżej nieba niż inni. Mówi, żebyś popatrzyła do góry.

Sophie spojrzała w kierunku wskazywanym przez palec dziewczyny. W koronie najwyższego drzewa w parku, górującego nad wszystkimi okolicznymi budynkami, wisiły dwa hamaki. Były szarobrązowe i – Sophie osłoniła oczy przed zachodzącym słońcem – wyglądały na zrobione z płótna workowego. Nigdy by ich nie zauważyła, gdyby jej nie pokazano, gdzie ma patrzeć.

– Są uszyte z żagli statku, który wyrzuciło na brzeg w dole rzeki – wyjaśniła Anastasia. – Wcześniej używałyśmy zasłon z teatru, który spłonął, ale żagle są lepsze. Brezent jest bardzo mocny, zwłaszcza jeśli zszyje się ze sobą dwie warstwy. Pofarbowaliśmy hamaki atramentem kałamarnicy. – Twarz Anastasii rozświetliła taka duma, jakby dziewczyna pokazywała Sophie swoją wiejską posiadłość. – W roli koców używamy worków. Wystarczy sześć czy siedem, żeby było ciepło. W lecie nie są nam potrzebne i chowamy je na dachu opery, żeby nikt nam ich nie

ukradł.

– Kto by ukradł worek?

Anastasia miała zaszokowaną minę.

– Setki ludzi. Na przykład ja. Worki są cenne.

Hamaki kołysały się lekko na wietrze. Sprawiały wrażenie bardzo wygodnych. Serce Sophie ścisnęło się z zazdrości.

– Matteo jest dacholazem, ale my wolimy drzewa od budynków – powiedziała Anastasia. – Mówią na nas *arbrosiers*, czyli drzewiarki. Są też chłopcy, którzy mieszkają na dachach dworców kolejowych. Dworzec to po francusku *gare*, więc mówimy na nich *gariers*. – Skrzywiła się. – *Gariers* są... *pas bien*, wiesz? Żli. Kradną, oszukują, kroją.

– Co kroją?

– Ludzi. Czasem siebie nawzajem. Kiedyś pocięli Matteo. Ale i tak są niebołazami. Tak nazywamy dzieci, które mieszkają na zewnątrz, ale nie są bezdomne. To znaczy z wyjątkiem dzieci ulicy. Dzieci ulicy są złe. Ulice nie mogą być domem, bo inni ludzie cały czas z nich korzystają, a dom musi być prywatny. Drzewa to nasz dom, mój i Safi. Rozumiesz?

– Ale dlaczego tak żyjecie? Wasze hamaki wyglądają pięknie, ale nie marzniecie? Nie jesteście głodne? Jak się myjecie? I co z... toaletą? Musi wam być trudno.

Spojrzenie Anastasii przeniosło się z oczu Sophie nad jej głowę. Przybrała nieprzeniknioną minę.

– Tak wolimy. Na drzewie nikt nie może cię zamknąć.

Sophie nie była głupia. Zmieniła temat.

– Powinнам popłamić blezer, zanim pójdziemy?

Safi spojrzała na słońce i pokręciła głową. Pokazała na swoją pierś i Anastasia przytaknęła.

– Safi mówi, że nie, bo nie ma czasu. Jeśli chcesz pójść z nami, możesz włożyć jej zapasowy sweter. Trzyma go na dębim koło pomnika Napoleona.

– Naprawdę? – To potężne drzewo u dołu było szerokie jak jakiś olbrzym. – Potrafi na nie wejść?

– Tak. Obie potrafimy. Ja mam szalik i rękawiczki w dziupli cedru. Trzymamy rzeczy w różnych miejscach. Wszystkie niebołazy tak robią, żeby wszystko naraz nie zginęło. – Jeszcze raz spojrzała na blezer Sophie. – Sweter Safi jest szary. Tak będzie lepiej. Tam, dokąd idziemy, jest bardzo szaro.

– Dziękuję – powiedziała Sophie. Z powątpiewaniem popatrzyła na plamę na policzku Safi. – Jesteście pewne? Znaczą: to bardzo miło z waszej strony.

– Safi pójdzie teraz po niego. – Wydawało się, że dziewczyny na coś czekają. – Musisz dać jej w zamian swój blezer – wyjaśniła Anastasia.

– Aha. – Sophie mocno poczerwieniała i zaczęła zdejmować blezer. – Oczywiście – dodała głosem stłumionym przez wełnę. – Przepraszam.

Kiedy Safi pobiegła z blezerem w rękach, Sophie zebrała się na odwagę i spytała:

– Ona nie mówi?

– Czasem mówi, ale nie przy innych ludziach.

Sophie próbowała zrobić taką minę jakby to rozumiała.

– Zawsze tak z nią było?

Anastasia sprawiała takie wrażenie, jakby rozważała, czy się nie obrazić.

– My, niebołazy, jesteśmy inni. Człowiek robi się dziwny, nawet jeśli na początku nie był.

Sophie uznała to za sensowne. Już wcześniej się nad tym zastanawiała.

– Myślę, że na początku każdy ma w sobie coś dziwnego. Potem jedni to zachowują, a drudzy nie.

– Może. Tak. Potrafię w to uwierzyć.

Patrzyły, jak Safi rozgląda się wokół, a potem zaczyna wchodzić na dąb. W dolnych partiach drzewa nie było gałęzi, ale ścisnęła pień kolanami i wbiła paznokcie w korę. Po dziesięciu sekundach zniknęła pośród liści.

Sophie kręciło się w głowie od tych wszystkich rewelacji.

– Jak ona to zrobiła?

– Praktyka – wyjaśniła Anastasia.

Słońce już prawie zaszło. Sophie opasała kolana ramionami i zadygotała. Zachód słońca to dobra pora na zadawanie pytań, pomyślała.

– Do czego jest mi potrzebny szary sweter? – spytała. – Dokąd idziemy?

– Matteo ci nie powiedział?

– Nie. Niewiele mi mówi. Jest trudny do rozgryzienia.

– Aha, wiem! Safi też. Matteo lubi koty, *non*? Kogoś odwiedzimy. Kogoś walecznego. Na dworzec trzeba iść dużą grupą.

– Czy ta osoba mieszka w rzece?

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Matteo mnie pytał, czy umiem pływać.

– Aha. Człowiek, z którym się zobaczymy, nie umie pływać i zawsze chce pieniędzy.

– Skąd weźmiemy pieniądze? Dlaczego to jest ważne, że on nie umie pływać?

– Zobaczysz. Matteo chyba nie chciał, żebym ci to powiedziała.

– Czy ten człowiek, który chce pieniędzy, jest żebrakiem? Widziałam, że dzieci ulicy żebrzą.

– Oczywiście, że nie! – Anastasia zgromiła ją wzrokiem i przesunęła się o kilka centymetrów na ławce. – Mówiłam ci, że nie jesteśmy dziećmi ulicy. Żebranie byłoby nudne, głupie i niebezpieczne. Kupujemy jedzenie jak normalni ludzie. Tyle że przede wszystkim na straganach w nocy, bo... – Uniosła dłonie, całe zrogowaciałe. – Przez te ręce łatwo mnie zapamiętać. To jest niebezpieczne. Ale muszę tak wyglądać, żebym mogła się wspinać. To jest jak wchodzenie w rękawiczkach. Safi nie zbliża się do właścicieli straganów.

– Dlaczego? Co jest nie tak z właścicielami straganów?

– *Rien*. To znaczy nic. – Anastasia wzruszyła ramionami. – Safi jest jak Matteo. Nie chce w swoim życiu zbyt wielu ludzi. Woląaby, żeby była tylko ona i ja.

Sophie znała to uczucie. Ale zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś postukał ją w ramię. Stała za nią Safi, przyciskając do piersi jakąś szarą szmatę.

– Nie rób tak! – zawołała Sophie. – Omal nie dostałam zawału!

Anastasia się roześmiała. Nawet usta Safi zadrgały.

– Chodźmy – powiedziała Anastasia. – Matteo spotka się tam z nami pół godziny po zmroku. Powinno być ciemno, zanim tam dotrzemy.

– Dokąd idziemy?

– Niedaleko Pont de Sainte Barbara. To jest most. – Wzięła Sophie za rękę. – Spodoba ci się. Jest piękny. Właściwie to taki jak ty.



ROZDZIAŁ 21

Most rzeczywiście był piękny, chociaż nie za bardzo przypominał Sophie, a w każdym razie ona tego nie dostrzegała. Podziwiała misternie kute żelazo i pomalowane na złoto poręcze. Na obu końcach mostu siedziały gołębie.

Trzy dziewczyny zbiegły na dół po kamiennych schodach i stanęły pod mostem. Matteo nigdzie nie było widać.

– Powiedział, że będzie czekał? – spytała Sophie. – Widzicie go gdzieś?

– Na pewno gdzieś tu jest – odparła Anastasia.

Zagwizdała – niezbyt dobrze – ten sam sygnał, którego Matteo użył do przywołania ptaków. Czekwały. Matteo ciągle się nie pojawiał.

– Ty spróbuj – poprosiła ją Anastasia. – Powiedział, że dobrze gwizdziesz.

Sophie próbowała sobie przypomnieć, jaki kształt miały wtedy jej usta. Zagwizdała, a potem jeszcze raz. Głośniej i ostrzej.

– Jeszcze raz – ponaglała ją Anastasia.

Sophie gwizdała, aż w końcu usta jej wibrowały, a uszy ją bolały. Miała już dać za wygraną, kiedy usłyszały stuknięcie i pojawił się Matteo, który szedł szybko po poręczy mostu.

– *Bonsoir!* – Usiadł na poręczy i zawołał do nich: – Jesteście gotowe?

– Na co? Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć? – syknęła Sophie. – I nie krzycz tak, nikt nie może mnie zobaczyć.

– Pomyślałem, że mogłabyś nie pójść, gdybym ci powiedział. Zdejmij buty.

– Dlaczego miałabym nie pójść?

Sophie się schyliła, żeby rozwiązać sznurówki.

– Dlatego, że woda jest taka zimna – wyjaśnił rzeczowym tonem. – To jest jak pływanie z odmrożoną skórą. Idziemy na czesanie rzeki.

– Czesanie rzeki?

Sophie znieruchomiała z jednym butem w ręce.

– Nurkowanie w poszukiwaniu monet. Jeśli koniecznie potrzebuję pieniędzy, zbieram pod mostami monety. Czasami trafiają się obrączki ślubne. Ludzie wrzucają je do rzeki, nie wiem dlaczego... – Wzruszył ramionami. – Czasem udaje się je sprzedać.

– Przecież te monety to są życzenia! Kradniesz ludziom życzenia!

Rzucił jej tak kamienne spojrzenie, że mogłaby połamać sobie na nim zęby.

– Jeśli ktoś może marnować pieniądze na życzenia, to nie potrzebuje życzeń tak bardzo jak ja potrzebuję pieniędzy.

Stanął na poręczy, odbił się i dał nura do rzeki idealnym łukiem.

Sophie stała na brzegu i czekała. Minęły prawie dwie minuty, zanim wynurzyła się głowa Matteo. Podpłynął do brzegu i rzucił jej pod nogi garść miedziaków.

– Powiedziałas, że umiesz pływać. Safi i Anastasia nie za bardzo umieją.

– Tak, umiem. Może bym się nie przyznała, gdybym wiedziała, dlaczego pytasz.

Kucnęła. Woda miała kolor ciemnogrnatowy, a na jej powierzchni lśniły gwiazdy. Wyglądała na pełną tajemnic. Sophie pochyliła się, aż zobaczyła swoje odbicie. Ona również wyglądała na pełną tajemnic i ładniejszą, niż sądziła. Zanurzyła w wodzie palec.

– Jezu, Matteo!

Woda była lodowata. Palce u stóp Sophie skurczyły się w ramach protestu.

– No to wskakuj – zakomenderował Matteo. – Jest tu mnóstwo forsy. Jeśli ją tak zostawimy, *gariers* ją zabiorą. Najpierw zdejmij drugi but! – syknął. – Tylko po cichu.

– Miałam taki zamiar!

Ściągnęła drugi but, spodnie i sweter – złożyła je na kupkę w kącie pod mostem – i została w majtkach i podkoszulku. Zgromiła Matteo wzrokiem i zanurkowała z lekkim chlupnięciem, ale i tak całkiem niezłe, jak uznała.

– Łe. Lodowata!

Sophie prychała i parskała. Wypluła trochę wody.

– Zupełnie jak bawół wodny – zakpił Matteo, idąc po dnie. – Chodź w tę stronę. Prądy znoszą większość monet na lewo, tam. Cały czas się ruszaj, bo inaczej serce ci się zatrzyma.

Zanurkował i Sophie czekała, wierzgając zmarzniętymi stopami, dopóki się nie wynurzył.

– Słuchaj, Matteo! – zawołała. – Nie pomogę ci, dopóki mi czegoś nie powiesz.

– Czego? Wnętrznosci mi zamarzają, Sophie. To nie jest dobry moment.

– Ci chłopcy, którzy mieszkają na dworcu. Co jest z nimi nie tak?

Wzruszył ramionami, co nie jest łatwe, kiedy z wody wystaje ci tylko głowa.

– Są brudni – odparł.

Sophie milczała. Z trudem powstrzymywała się od spojrzenia w stronę dziewczyn, które stały na brzegu ubłocone i ubrane w szmaty.

Zauważył to. Matteo wszystko widzi, pomyślała Sophie. To było bardzo denerwujące.

– Jest dobry brud i zły brud – wyjaśnił. – *Gariers* to zły brud.

– Ale który jest który? – spytała. – Co się liczy jako dobry brud?

– *Je ne sais pas.* – Matteo się nastroszył, tak jak zawsze to robił, kiedy Sophie zadawała mu pytania. – Nie wiem. *Je m'en fous.*

– On mówi, że nie wie i nic go to nie obchodzi! – zawołała Anastasia, która najwyraźniej im się przysłuchiwała. – Myślę, że dobry brud to ziemia. I pył dachowy. – Safi zrobiła w powietrzu jakiś znak. – No i pył drzewny.

– I żwir, który zostaje ci na ręce, jak nią pociągniesz po kamiennym moście – powiedział Matteo. – Zły brud to zaschnięta krew.

– I ścieki. I dym z kominów w złe dni.

Sophie już to wiedziała. Dym z komina potrafił być żrący dla nosa.

– Na ogół nie jest aż tak źle – stwierdziła Anastasia – Ale kiedy nie ma wiatru i powietrze jest wilgotne, pochłania dym i rozmazuje go na twarzy.

Sophie już to zauważyła. Zauważyła też, że Matteo dłubie w nosie częściej niż większość ludzi, a przy gęstym smogu kozy są czarne.

– I gołębi tłuszcz – dorzuciła Anastasia. – Gołębi tłuszcz to zły brud.

– *Non!* – zaprotestował Matteo. Odwrócił się i odpłynął od brzegu. – Nie, gołębi tłuszcz to dobry brud.

Anastasia i Sophie wymieniły znaczące spojrzenia.

– Odrobina gołębiego tłuszczu może jest w porządku, ale więcej niż odrobina i zaczynasz cuchnąć jak otwarta rana. Zresztą nie chodzi tylko o brud. *Gariers* są brutalni. Są jak zwierzęta.

Sophie to zastanowiło. Matteo od początku kojarzył jej się ze zwierzęciem: kotem albo lisem. Z kolei Anastasia i Safi miały w swoich ruchach coś małpiego.

– Czy to źle być jak zwierzęta?

– Oni są jak psy – wyjaśniła Anastasia. – Widziałaś kiedyś wściekłego psa? Mają w oczach okrucieństwo.

– Czy oni... gryzą?

Sophie oczekiwała, że dziewczyny się roześmieją, ale one tylko patrzyły na nią bez ruchu i bez śladu uśmiechu.

W końcu Safi pokiwała głową. Zdyszany Matteo wyskoczył z wody koło Sophie i powiedział:

– Tak, gryzą. No chodź, zanim dolne zęby przymarzną mi do górnych.

Prąd był słaby, więc łatwo się pływało, ale w mętnej wodzie i ciemnościach prawie nie sposób było zobaczyć błysku miedzi. Sophie po omacku badała dłonią dno. Oboje zanurkowali sześć, a potem siedem razy i podpływali do brzegu, kiedy udało im się nazbierać garść monet. Sophie z satysfakcją zauważyła, że jej kupka miedziaków jest dwa razy większa od jego.

– To przez te moje palce – tłumaczył się. Sophie i Anastasia znowu wymieniły spojrzenia. – Nie odróżniam monety od kamienia.

– Jasne, oczywiście – odparła Sophie.

Kiedy Anastasia zawołała, że mają ponad trzy franki, Matteo uznał, że to wystarczy. Chociaż się na to nie umawiali, ścigali się do brzegu. Sophie była szybsza, ale kiedy wyciągała rękę, żeby złapać za murek, Matteo wcisnął ją pod wodę.

– Oszust! – Sophie się wynurzyła i parsknęła wodą. – Jesteś wstrętnym oszustem.

– Dla dachogazów oszukiwanie nie istnieje – powiedział Matteo. – Albo żyjesz, albo jesteś

martwy.

– To nie oszukiwanie, tylko walka – włączyła się Anastasia. – Walka jest lepsza od oszukiwania.

Wyciągnęła Sophie z wody i podała jej kosteczkę czekolady.

Matteo został w rzece. Jemu też Anastasia dała czekoladę i zjadł ją, stojąc w wodzie.

– Dziękuję – zaskrzeczała Sophie. – Od pływania zawsze chce mi się pić. Mogę się napić wody z rzeki?

– Nie! – zawołała Anastasia. – Przykro mi. Szczurza choroba. Nawet Matteo jej nie pije, a on jest odporny na prawie wszystko. Ale będzie woda, jak dotrzemy do katedry.

– Do katedry? – Sophie naciągnęła pożyczony sweter i wsunęła mokre stopy do butów. – Jakiej katedry?

– Jak by ci to powiedzieć? Paryskiej. Matteo spotka się tam z nami.

– Jak to? Przecież on jest tutaj...

Odwróciła głowę, ale Matteo już nie było.

– On taki jest – stwierdziła Anastasia. – Najpierw popłynie rzeką, a potem przedostanie się po drzewach.

Safi po cichu podeszła do Sophie, przeczesała jej palcami włosy i wyciągnęła z nich wodorosty. Podniosła z ziemi chustę Sophie i obwiązała jej wokół głowy.

– O rany, zapomniałam o włosach! – przeraziła się Sophie. Przeszedł ją dreszcz, kiedy naciągała chustę na uszy. – Co za głupota. Dziękuję ci.

Safi się uśmiechnęła, a potem nagle poczerwieniała. Pomknęła po schodach na górę i zniknęła pośród liści jednego z drzew, które tworzyły szpaler przy jezdni.

– Da sobie radę? – spytała Sophie.

Anastasia pobierała monety i schowała je do kieszeni.

– Oczywiście. Ona też przedostanie się po drzewach. *Allez*. Jeśli pójdziemy szybko, to wyschniemy, zanim dotrzemy do Notre Dame. Ścigamy się po schodach!



ROZDZIAŁ 22

Nocne chodniki to jedno z najlepszych miejsc na świecie do rozmowy. Szły szybko, żeby Sophie nie zmarzła. Anastasia nuciła pod nosem. Sophie odczekała chwilę, chcąc mieć absolutną pewność, że Matteo ich nie słyszy.

– Anastasia? Jeśli cię o coś zapytam, mogłabyś nie mówić Matteo, że chciałam to wiedzieć?

– Może. Przypuszczalnie. W każdym razie spróbuję. O co chodzi?

– O *gariers*... Dobrze mówię? O chłopców z dworca kolejowego. Dlaczego Matteo ich nienawidzi? Twarz mu się robi jak z kamienia, kiedy o nich mówi.

– Aha, czyli o to chodzi. Skoro tego nie wiesz, to chyba nie powinnam ci mówić.

– Proszę cię. To mnie przeraża. On ma wtedy taką mroczną minę.

Anastasia przebiegła paznokciami po żelaznych poręczach, które zagrały muzykę pod jej palcami.

– Kilka lat temu była bójka. *Gariers* nie chcieli nikogo innego na dachach. Safi i ja nie przejęliśmy się tym za bardzo. Przeniosliśmy się na drzewa. Drzewa są lepsze. Ale Matteo kocha bycie dacholazem. Dachy są... – Urwała i skrzywiła się. – To zabrzmiało za bardzo poetycko.

– Nie wstydź się, powiedz.

– Dachy są wszystkim, co on ma. – Anastasia poczerwieniała. – Przepraszam. *Alors* nie mógł z nich zrezygnować.

– I co się stało?

– Nikt nie wygrał. Odgryźli...

– Co odgryźli? – Sophie spojrzała na Anastasię, która odwróciła wzrok. – Co odgryźli?

– Nic. Matteo stracił koniec palca, a jeden z *gariers* stracił dłoń. No i widziałaś tę bliznę na brzuchu Matteo?

– Powiedział mi, że upadł na kurek pogodowy!

– Tak? No to skłamał. O mało nie umarł. Musiał iść do sierocińca po lekarstwa. Wiesz o tym, *non*? Od tej pory nie zbliża się do dworca i nigdy nie schodzi na ziemię. – Anastasia się zatrzymała i chwyciła Sophie za ramię. – Stój. Jesteśmy prawie na miejscu. Matteo będzie gdzieś w pobliżu. – Jej twarz wyglądała niespokojnie w świetle gwiazd. Anastasia zagryzła dolną wargę. – Obiecujesz, że mu nie zdradzisz, że ci powiedziałam?

– Oczywiście – odparła Sophie, ale budynki dookoła ją rozpraszały. Anastasia i Sophie stały u stóp wielkiego, białego gmachu, który wznosił się ku nocnemu niebu majestatyczny jak jakiś bóg. – Co to jest? Gdzie my jesteśmy?

– Notre Dame oczywiście! A Matteo jest na tym drzewie, widzisz? Koło wejścia. – Sophie nie widziała Matteo, ale pod drzewem stała Safi i patrzyła do góry. Plac katedralny był pusty. – Chodźmy.

Na Notre Dame przyjemnie się patrzyło, ale boleśnie wchodziło. Wspinaczka potrwała dwa razy dłużej, niż spodziewała się Sophie.

Pierwszy wchodził Matteo, a za nim Safi. Wyglądało na to, że znają katedrę tak dobrze jak Sophie swój londyński dom. Ich ręce bez chwili wahania znajdowały w kamieniu miejsca zaczepienia. Sophie podążała za nimi trochę wolniej. Anastasia zamykała tyły, radziła Sophie, czego ma się uchwycić, i kierowała jej stopami, kiedy Sophie utknęła.

Na tym etapie balansowanie przychodziło Sophie łatwiej. Kamień nadal był trochę za twardy dla jej stóp i palce odrobinę krwawiły, ale postanowiła, że nie będzie krzywić się z bólu przy dacholazach. Uznała, że nie należą do takich, co się krzywią. Popłuła na dłoń i wytarła ją w stopę. Zagryzła policzek od środka. W połowie drogi wewnątrz jej ust było zmasakrowane. Dwa razy stopa jej się omsknęła, ale chyba nikt tego nie zauważył.

Życie na ogół nie wymaga żadnych sztuczek, ale z balansowaniem jest inaczej, pomyślała Sophie. Sztuka polega na tym, żeby znaleźć środek ciężkości. Doszła do wniosku, że u niej środek ciężkości leży gdzieś pomiędzy żołądkiem a nerkami. Miała poczucie, że pośród brązowych narządów nosi w sobie bryłę złota. Środek ciężkości trudno znaleźć, ale jak się już go znajdzie, jest jak zaznaczone miejsce w książce – łatwo do niego wrócić. Balansowanie polega również na tym, żeby myśleć o czym innym. Sophie próbowała myśleć o matkach i muzyce, a nie o spadaniu na chodnik.

Paryż leżał pod nimi bez ruchu. Z miejsca, w którym stała Sophie z rękami opasanymi wokół szyi wyrzeźbionego świętego, wyglądał jak jednolita masa srebra, poza tymi miejscami, gdzie rzeka błyszczała rdzawozłociście w świetle latarni ulicznych.

– Jest piękna – powiedziała Sophie. – Nie zdawałam sobie sprawy, że rzeka jest taka piękna!

– Tak... – Anastasia sprawiała wrażenie skonsternowanej. – Przeważnie jest... brązowa.

Dotarły pod wieżę. Matteo i Safi kucali blisko siebie i wydrapywali paznokciami w kamieniu kółka i krzyżyki. Patrząc na ich twarze, można by pomyśleć, że mają za sobą jeden odcinek schodów.

– Remis. – Matteo starł grę ze ściany. – Możesz zagwizdać, Sophie? Musimy wezwać Gérarda.

– Jasne. – Cała trójka czekała. Sophie poczuła się skrępowana. – Hm, ten sygnał, którym przywołujesz ptaki?

– Tak. Tylko głośno, najgłośniej jak potrafisz. On może teraz spać.

Sophie zagwizdała trzy nuty, które usłyszała na linie między dachami. Po chwili dało się słyszeć dwa gwizdnięcia w głębszej i dźwięczniejszej wersji.

– To było echo?

– *Non*. – Matteo złożył dłonie w miseczkę i dwa razy zahuczał jak sowa. – To był Gérard.

Z dzwonnicy na górze poszła lawina kurzu i pojawił się jakiś chłopak. Opuszczał się na rękach, a stopy stawiał w otwartych paszczach gargulców. Ostatnie dwa metry pokonał saltem i wylądował twarzą do Sophie.

– *Bonsoir* – przywitał się.

Wydawał się młodszy od Matteo, ale jego nogi były takie długie, że wzrostem przewyższał oboje. Jaki on chudy, mogłabym go złamać jedną ręką, pomyślała Sophie. Nie wyglądał na walecznego.

– *Salut*, Gérard – odpowiedział Matteo. – Chcemy cię wypożyczyć.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

– *Bon*. Wiem. Anastasia mi sygnalizowała.

Miał na sobie zatechłą, zjedzoną przez mole marynarkę, która wyglądała tak, jakby sam ją uszył z różnych wycieraczek. Sophie natychmiast zapragnęła tej marynarki.

– Cześć, jestem Sophie.

– *Oui*, wiem. – Po angielsku trochę dukał, ale miał przyjemną twarz i łagodne oczy. Jego rzęsy były takie grube, że można by nimi polerować buty. – Chcecie iść na dworzec, tak? – Zawahał się. Sophie pomyślała, że jest za bardzo uprzejmy, żeby dobrze sobie radzić w życiu. – Przynieśliście mi... coś?

– Tak, oczywiście – odparła Anastasia.

Wysypała jeszcze mokre monety na jego złączone w miseczkę dłonie.

– *Merci!* Wiedzieliście, że świece w katedrze podrożały do dwudziestu centymów? *C'est fou!*

– Nie mógłbyś po prostu... zabrać kilku, skoro potrzebujesz? – spytała Sophie. – Jestem pewna, że nie mieliby nic przeciwko.

– *Non!* Nie można kraść z kościoła! To jest grzech.

– W takim razie co robisz, jeśli nie masz pieniędzy na świece?

– Na ogół nic nie robię. Oczy przyzwyczajają się do ciemności. Widzenie w ciemnościach to jest umiejętność. Można też włożyć namoczone w oliwie płótno do blaszanej puszkę i zapalić.

– Jeśli ma się płótno – powiedziała Anastasia.

– Jeśli ma się oliwę – dodał Matteo.

Gérard roześmiał się niezbyt radośnie.

– Czyli idziemy na dworzec, tak? Żeby walczyć, *non*?

– Może walczyć, ale miejmy nadzieję, że tylko posłuchać – odparła Anastasia i odwróciła się w stronę Sophie. – Gérard jest dobry w słuchaniu.

Matteo nie sprawiał wrażenia zazdrosnego. Skinął głową.

– To prawda. Słuchanie to rzadka umiejętność. Zwierzęta ją mają. Większości ludzi tylko się tak wydaje.

- Potrafię usłyszeć, jak ktoś gra na harmonijce w klasie kilka kilometrów w dół rzeki.
- Przecież to niemożliwe! – zdziwiła się Sophie.
- Nie niemożliwe, tylko nietypowe – poprawił ją Gérard.

Szeptanie w szerszym gronie jest nieuprzejme, ale musiała to zrobić. Odciągnęła Anastasię na bok i zwinęła dłonie w rurkę na jej uchu.

– Gérard mówi prawdę czy tylko się przechwala? To strasznie ważne. Czy on zdaje sobie sprawę, jakie to jest ważne?

Gérard parsknął śmiechem. W ciemnościach trudno to było rozpoznać, ale chyba się zaczerwienił.

– Tak, mówi prawdę i zdaje sobie sprawę – powiedział. – Przy mnie szeptanie nic nie da. Nie prosiłem o to, żeby się taki urodzić, trudno mi się przez to śpi. Muszę wkładać sobie do uszu żołądźcie. Ale to prawda. To chyba wzięło się z tego, że mieszkam na kościele.

– Gérard też śpiewa – dodała Anastasia. – Każdego wieczoru po wyjściu chóru ćwiczy ich pieśni.

– Przecież mówiłem, że śpiewa, prawda, Sophie? – zezłościł się Matteo.

Anastasia przewróciła oczami.

– Ach, ci chłopcy. Śpiewa to mało powiedziane. To jest jak pierwszy śnieg. Zaśpiewaj coś, Gérard.

Gérard zmarszczył nos.

– *Non*.

Safi stuknęła się w pierś, wyciągnęła dłoń w jego stronę i odchyliła głowę na bok.

– Proszę cię, Gérard! – powiedziała Sophie. – Jedną piosenkę. Na szczęście.

– Ach, *d'accord* – odparł Gérard. – Dobra. Połowę piosenki.

Rozejrzał się dokoła i polizał palec, żeby sprawdzić, z której strony wieje wiatr. Przełknął ślinę.

Pierwsze dźwięki, które wyszły z ust Gérarda, były takie czyste i piękne, że ciarki przeszły Sophie od stóp do głowy. Śpiewał po francusku. Z całą pewnością nie była to pieśń kościelna. Chciało się zakasać spódnicę i zatańczyć z kimś bliskim. Sophie miała ochotę wirować. I potwornie zatęskniła za matką.

Kiedy Gérard przestał śpiewać, zapadła cisza. Nawet rzeka umilkła.

Potem Sophie i Anastasia zaczęły wiwatować, klaskać i tupać o dach katedry. Z gardła Safi dobył się chrapliwy dźwięk, pierwszy odgłos, który wydała z siebie przy Sophie.

Ktoś odchrząknął.

– Gdybyście nie robili hałasu, który wskrzesiłby świętych z grobu – zauważył Matteo – tobyście usłyszeli, że zegar wybił północ. Musimy ruszać, jeśli chcemy dotrzeć na dworzec o drugiej.

– Dlaczego o drugiej? – spytał Gérard. – To nie jest dobra godzina dla *gariers*. Powinniśmy pójść tam później.

– O drugiej Sophie ostatni raz usłyszała tę muzykę. – Matteo prychnął. – Wiem, że to zbyt wiele nie znaczy, ale pomyślałem, że lepsze to niż nic.

– Możliwe, że znaczy. Nigdy nie przekreślaj możliwego – powiedziała Sophie tak cicho, żeby

inni jej nie usłyszeli.



ROZDZIAŁ 23

W okolicy dworca dotarli tuż przed drugą w nocy. Im dalej od Notre Dame, tym niższe były dachy, co powodowało u wszystkich, z wyjątkiem Sophie, rosnącą nerwowość.

Dwa razy musieli przekroczyć ulicę między budynkami. Matteo, Gérard i Safi przeskoczyli z cedru na latarnię, a potem się rozkołysali i bez problemu dolecieli do rynny po drugiej stronie. Anastasia i Sophie zsunęły się po rynnie, przebiegły przez ulicę i zaczęły wchodzić po innej rynnie. W regularnych odstępach zamontowane były na niej uchwyty, ale wchodzenie w nocy po rynnie najlepiej ze wszystkiego przypomina, jak bardzo potrafi być ciemno.

Cała piątka zatrzymała się na dachu szkoły. Czwórka dacholazów kucała i patrzyła czujnie na następny dach, a Sophie usiadła trochę z boku, wstrzymała oddech i zaczęła się modlić.

– Proszę, pozwól mi ją znaleźć – szepnęła do siebie. Serce waliło jej tak mocno, że o mało nie pękło, ale wypowiedziane przez nią słowa wydawały się zbyt słabe w nocnym powietrzu. Sophie zacisnęła dłonie w pięści i usiadła na nich.

Minęła godzina. Sophie zrobiła się niespokojna. Przez cały ten czas żadne z dacholazów się nie odezwało ani nie poruszyło.

W końcu Sophie szepnęła:

– Mogę zadać wam wszystkim pytanie?

Matteo się zachnął, ale Gérard powiedział:

– Oczywiście, że możesz. O co chcesz zapytać?

– Co się dzieje, kiedy dacholazy dorastają?

– O! – zdziwił się Matteo. – Myślałem, że zapytasz o toalety.

– Większość schodzi na ziemię – wyjaśnił Gérard – ale dalej prowadzą trochę dzikie życie. Łatwiej jest być trochę dzikim dorosłym niż dzieckiem.

Anastasia prychnęła wyniośle jak Kleopatra.

– Zwłaszcza jeśli przypadkiem jesteś chłopcem.

– Byli też inni? – spytała Sophie. – W przeszłości?

Padło jednocześnie „nie” ze strony Anastasii i „tak” ze strony Matteo.

– Tak – powtórzył Matteo. – Myślę, że tak. Popatrz. Znalazłem to na moim dachu, kiedy się tam wprowadziłem. – Matteo wyjął z kieszeni mały nóż, ozdobny i ciężki. – Widzisz uchwyt?

Nóż wyglądał na co najmniej stuletni. Na ręczce zostały wyraźne wyżłobienia po palcach. Dłoń, która je zrobiła, była mniejsza od dłoni Sophie.

– Czyje to? – spytała.

– Jakiego dziecka. – Wzruszył ramionami. – Sprytnego. Znalazłem ten nóż zawinięty w linę. To najlepszy sposób przechowywania noża. Nie wszyscy o tym wiedzą.

– Próbowaleś szukać właściciela? – Sophie pomyślała, że tak właśnie by zrobiła. – Czemu po niego nie wrócił?

– Nóż miał na sobie centymetr rdzy. To musiało być lata temu.

– Jak myślisz, co się stało z tym dzieciakiem?

Matteo znowu wzruszył ramionami.

– Może został złapany. Może wyruszył na południe. Na południu słońce mocniej grzeje i jest mniej ludzi.

– Jak myślicie, ilu jest dachogazów?

– Sądzę, że więcej niż dziesięciu i mniej niż stu – odparł Gérard.

Dziewczyny pokiwały głowami. Safi wyciągnęła przed siebie wszystkie palce u rąk i nóg, a potem zamknęła i otworzyła jedną dłoń.

– Ja też tak myślę: około dwudziestu albo trzydziestu – poparła ją Anastasia. – Czasem widzę cienie. Myślę, że ktoś może mieszkać na Luwrze.

Znowu ucichli. Minęły dwie godziny. Sophie nadstawiła uszu.

Nie pojawili się żadni *gariers*. Nie rozbrzmiała muzyka. O piątej rano Sophie była już taka zmarznięta i zmęczona, że chciało jej się płakać.

– Chodźmy już – zaproponował Matteo. Uklęknął i strzepnął z siebie kurz. – Wschodzi słońce.

Wstał.

– Zaczekaj chwilę! – Gérard ściągnął go na dół. – Słuchajcie!

– Wiolonzela? – Sophie poderwała się czujnie i zwinęła dłonie w pięści. – *Gariers*? Muzyka? Słyszysz muzykę?

– Nie słyszę ani jednego, ani drugiego, ale słuchajcie.

W głębokiej ciszy z daleka dofrunął do nich dźwięk, który mógł pochodzić od konia, kogoś kaszłającego albo czegoś zupełnie innego. Potem pojawiła się chmura, szara chmura, która wirowała i zygzakowała po niebie.

– Ptaki – szepnęła Anastasia.

– Szpaki – sprecyzowała Sophie.

Zrobiło się od nich gęsto w powietrzu. Było ich pięćset, tysiąc. Ich skrzydła furczały. Ptaki bez śladu strachu przefrunęły tuż nad głowami dzieci niczym nad kominami.

– To wygląda jak balet! – zachwycała się Sophie.

- Może – powiedział Matteo. – Nigdy nie widziałem baletu. Wyglądają jak szpaki.
- Jak się mówi na grupę szpaków? – spytała Sophie.
- Na szpaki chyba mówi się szpaki, nie? – zdziwiła się Anastasia. – Nie wiem, o co ci chodzi.
- Na stado wron mówi się morderstwo. Grupa sów to parlament.
- Aha, *je comprend*. Ale nie wiem tego.
- Balet szpaków – wyjaśniła Sophie.

Rozmawiali bez poruszania czymkolwiek, nawet wargami. Ptaki krążyły lub nurkowały. Za każdym razem, kiedy się zbliżyły, Sophie wzdychała z zachwytem. Inni tego nie robili, ale ona nie potrafiła się powstrzymać. Był to dla niej cudowny i odświętny widok. Poza tym odbierała go jako znak. Serce miała gorące i wielkie.

- Armia szpaków – powiedział Matteo.
 - Tornado szpaków – zaproponował Gérard.
 - Lawina szpaków – wymyśliła Sophie.
 - Fontanna szpaków – dorzuciła swoje Anastasia. – Słoneczny promień szpaków.
- Chłopcy się zachnęli, ale Sophie broniła Anastasii:
- Mnie się podoba. Albo orkiestra szpaków.
 - Dach szpaków – powiedział Matteo.



ROZDZIAŁ 24

Do domu wracali powoli. Poziom adrenaliny opadł i Sophie czuła się jedynie wykończona. Szli nieznaną jej trasą, gęsiego. Matteo pierwszy, Safi ostatnia. Nikomu nie chciało się rozmawiać.

Matteo i Sophie zostawili dwójkę niebołazów i Gérarda koło katedry, i ruszyli dalej na północ.

Kiedy byli już sami, Sophie spytała:

– A tak z ciekawości, Matteo: co z toaletami?

– Rynny.

Matteo nie rozwinął tematu. Sophie się roześmiała i odwróciła wzrok. Okoliczne budynki wyglądały coraz bardziej znajomo.

– To nie jest moja ulica, prawda? – Sophie się zawahała. – Gdzie my jesteśmy, Matteo?

Matteo podrzemywał.

– Blisko rzeki. – Ocknął się. – Idziemy skrótem. Jesteśmy już całkiem blisko ciebie. Jeszcze dziesięć minut.

– Na jakim jesteśmy budynku?

– Na komendzie policji. Powinnaś to wiedzieć. Mówiłaś, że byłaś tu już dwa razy.

– I jesteśmy... na dachu?

– Tak – odparł Matteo z zaskoczoną miną. – Jesteśmy na dachu.

– Ile mamy czasu do wschodu słońca?

Matteo poruszał ustami, licząc gwiazdy, które zostały na niebie.

– Pół godziny, może czterdzieści minut.

– Miejskie archiwa są na najwyższym piętrze komendy, prawda?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem, że są. Moglibyśmy rzucić okiem? Zajrzeć przez okno?

– Jeśli chcesz, to tak.

Położyła mu rękę na nadgarstku, żeby się skupił.

– Ale w jaki sposób? Jak byś to zrobił?

– Połóż się na brzuchu i zwieś w dół, ja potrzymam cię za nogi.

– Nie upuścisz mnie?

– Nic ci się nie stanie. – Sophie pomyślała, że to nie jest odpowiedź. – Musisz liczyć na to, że nie mają zasłon.

Uwierzyła mu, że nic jej się nie stanie. Położyła się blisko krawędzi dachu i podczołgała na brzuchu.

– Trzymaj mnie mocno, dobra?

Sophie podpełzła jeszcze trochę, aż w końcu żebra wisały jej nad przepaścią. Chwyliła za cegły i powoli opuściła głowę w dół, ale nie mogła zajrzeć do środka, bo okno było trochę niżej. Pilnowała się, żeby nie patrzeć w dół.

– Jeszcze kawałek. – Krew napłynęła jej do głowy. – Jeszcze trochę! – Nic to nie dało. Okno było za nisko. – Wciągnij mnie z powrotem, szybko!

Matteo stęknął i dźwignął ją do góry. Po drodze na dach Sophie zawadziła podbródkiem o cegłę. Usiadła i wytarła brodę. Krew zmoczyła jej palce.

– Cholera!

Matteo wyciągnął z kieszeni kawałek płótna.

– Popluj i przetrzyj, bo inaczej będziesz miała w strupku ceglany pył.

– Dziękuję.

Powiedziała to do tyłka Matteo, który wychylił się za krawędź. Po chwili jego stopy zaczęły bębnić o dach. Jeśli odgłos stóp może wyrażać podniecenie, to tak właśnie było.

Matteo się wyprostował.

– Masz rację, za nisko, żeby się wychylić, ale mogę cię chwycić za kostki.

– Co? Nie!

– Dlaczego? Przysięgam, że będę mocno trzymał. Jestem silny.

– Za kostki?

– Widzisz jakieś inne wyjście? Przecież mówiłaś, że chcesz zajrzeć do środka.

– Bo chcę. – Skóra zaswędziała ją z przerażenia. Poczula się tak, jakby miała na sobie kombinezon z papieru ściernego. Jednak to byłoby okropne, gdyby teraz zrezygnowała. – Dobra. Tylko żeby ci się ręce nie spociły. Nie chcę umrzeć do góry nogami, dziękuję, postoję.

Znowu poczołgała się w stronę krawędzi dachu i Matteo chwycił ją za kostki, odcinając dopływ krwi.

– Teraz opuszczę cię na dół – powiedział.

Pchał ją do przodu, aż w końcu dachu dotykały tylko jej kolana, a potem palce u stóp. Sophie czuła, że jego mięśnie ramion drżą, więc przytrzymała się ściany, żeby mu ulżyć.

– Nie patrz w dół – szepnęła do siebie. Jej włosy wisały nad Paryżem. Strząsnęła je z oczu i zajrzała przez okno.

Archiwum ciągnęło się przez całą długość budynku. Rzędy szafek na dokumenty, setki szafek

jedna obok drugiej. Na środku pomieszczenia stał duży stół. Sophie podmuchała w szybę, a potem wytarła ją palcami. W archiwum nie paliło się światło. Przed oczami Sophie zaczęły pływać czerwone plamy.

– Muszę cię wyciągnąć – usłyszała głos Matteo. – Chyba że chcesz ekspresowo znaleźć się na dole.

Kiedy cała krew w ciele Sophie wróciła na swoje miejsce, poszli dalej. Poruszali się teraz szybciej, ze strachu przed wschodzącym słońcem.

– Szafy miały zamki – powiedziała. – Myślisz, że mogłabym otworzyć je młotkiem?

– *Non* – odparł Matteo. – Cały Paryż by cię usłyszał.

– Cholera. W takim razie jak je otworzyć? Łomem?

– Nie trzeba na siłę, każdy zamek da się otworzyć.

– Jak? Auć!

Nos Sophie napotkał na swojej drodze stopę Matteo. Czołgali się po spadzistym dachu rzeźni. Matteo się zatrzymał i spojrzał na Sophie zdumionym wzrokiem.

– Nigdy nie otwierałaś zamka bez klucza? – Sprawiał wrażenie jakby autentycznie nie dowierzał. – Myślałem, że to jest jak, no nie wiem, oddychanie.

– Skąd miałabym wiedzieć, jak to się robi?

– Naprawdę nie umiesz? Ja to potrafię zrobić zębami.

– Na litość boską! Nie, nie umiem!

Widzieli już hotel Bost.

Matteo świdrował ją wzrokiem. Poczuela, że się czerwieni. Zasłoniła włosami twarz, żeby to ukryć.

W końcu Matteo się nad nią zlitował:

– W takim razie chyba cię nauczę. To łatwe. I pożyteczne. Bardziej pożyteczne niż gra na wiolonczeli.

– Kiedy mnie nauczysz? Teraz?

– *Non*. Masz za sztywne dłonie. Najpierw musisz się wyspać. Jutro. – Pokazał głową na hotel.

– Możesz pójść stąd sama? Ja wracam do domu. Słońce wzejdzie za dziesięć minut.

– Do zobaczenia jutro. I Matteo...

Zaczęła przecierać oczy, żeby dać sobie więcej czasu. Szukała odpowiednich słów podziękowania, ale kiedy znowu otworzyła oczy, Matteo już nie było.

Kiedy Sophie opuściła się do swojego pokoju, pierwsze promienie słońca ogrzewały jej łóżko. Wnętrza dłoni miała czarne, a do stóp i kostek przylepiła jej się sadza i zgniłe liście. Łóżko wyglądało cudownie kusząco, ale zanim się położyła, z półki na półpiętrze przyniosła sobie słownik angielski. Wytarła dłonie o nogi za kolanami i zaczęła kartkować słownik.

Stado szpaków nazywa się murmurando.

ROZDZIAŁ 25



Sophie otworzyła oczy i zobaczyła Charlesa, pochylonego nad nią z kubkiem czegoś gorącego. Popołudniowe słońce wlewało się przez okienko w dachu.

– Wróciłaś.

Z niewinną miną Sophie wzięła od niego kubek.

– Skąd wróciłam?

To była gorąca czekolada. Gęsta i kleista, taka, jaką Charles robił w domu. Kiedy Sophie była mała, nazywała to „ekstrawaganckim kakao”. Taką gęstość osiągało się przez pół godziny. Gorąca czekolada pogłębiła wyrzuty sumienia Sophie.

– Nie wiem, ty mi powiedz. – Charles usiadł na łóżku. – Przyszedłem tu wczoraj o jedenastej w nocy, a ciebie nie było.

– Nie było mnie?

– Nie chcę być nudnym, starym pierdołą, kochanie, ale pomyślałem, że cię zabrali. Pomyślałem, że nie... No nie wiem. – Nie uśmiechał się, a w jego oczach nie było blasku. – Gdzie byłaś?

– Nie mogę ci powiedzieć. – Ścisnęła go palcami za nadgarstek. – Strasznie cię przepraszam. Powiedziałabym ci, naprawdę, ale to dotyczy też innych ludzi.

– Czy ty chcesz powiedzieć...

– Ale daję słowo, że nikt mnie nie widział. Przysięgam. Nie wyszłam na ulicę, dopóki nie zrobiło się ciemno. I zasłoniłam włosy.

– Dlaczego przynajmniej mnie nie uprzedziłaś, że wychodzisz z hotelu?

– Nie mogłam. Bałam się, że mi nie pozwolisz.

Charles bez słowa wziął od niej kubek, wypił łyk czekolady i oddał kubek. Brwi uniósł tak wysoko, że znalazły się prawie na czubku głowy.

– Pozwoliłbyś? – spytała Sophie.

– Nie, nie pozwoliłbym.

– O!

Poczucie winy ścisnęło pierś Sophie.

– A przynajmniej taką mam nadzieję. – Wypił jeszcze jeden łyk czekolady. – Może bym nie pozwolił, ale właściwie to nie wiem. Miłość jest nieprzewidywalna.

Miłość jest nieprzewidywalna, pomyślała Sophie, i po chwili wahania powiedziała:

– Mogę cię o coś zapytać, Charles?

– Oczywiście. Zawsze.

Sophie próbowała znaleźć odpowiednie słowa. Żeby zyskać na czasie, dopiła resztę czekolady i pociągnęła palcem wewnątrz kubka.

– Tak sobie pomyślałam, że jeśli ona żyje, a jestem pewna, że żyje, to dlaczego po mnie nie przyjechała?

– Bo jej powiedzieli, że nie żyjesz. Skoro my nie dostaliśmy listy ocalonych, to ona też nie. Nie było cię w żadnym szpitalu. Nikt we Francji o tobie nie wiedział.

– To rozumiem, ale jak mnie powiedzieli, że ona nie żyje, to im nie uwierzyłam. Dlaczego ona uwierzyła? Dlaczego nie szukała dalej?

– Bo jest dorosła, kochanie.

Sophie schowała się za włosami. Twarz miała zaczerwienioną, rysy ściągnięte złością.

– To nie jest powód.

– Jest, kochanie. Dorosli są nauczeni nie wierzyć w niezwykle rzeczy.

– To głupie.

– Smutne, moje dziecko, ale nie głupie. Trudno jest uwierzyć w dziwne rzeczy. Ty masz ten talent, Sophie. Nie strać go.



ROZDZIAŁ 26

Zanim Sophie wyszła tej nocy przez okienko, zostawiła Charlesowi kartkę na poduszce. Napisała, że idzie na komendę – nie dodała, że podniebną drogą – i obiecała wrócić przed świtem. Potem włożyła spodnie i udającą sweter szarą szmatę Safi. Włożyła do kieszeni ogryzek świeczki, kilka razy zgięła i rozprostowała palce, i ruszyła w mrok.

Matteo czekał na nią na dachu komendy, przestępując z nogi na nogę. Jego widok nie zaskoczył Sophie, ale pod kominem siedzieli Anastasia, Safi i Gérard; podawali sobie z rąk do rąk torebkę z rodzynekami. Safi i Anastasia miały na sobie czarne swetry i szare spodnie, z którymi kontrastowały ich srebrzystobiałe twarze. Sophie zapomniała, jakie te dziewczyny są piękne. Zaszokowało ją to. Gérard roześmiał się na widok jej miny.

– Wiem! *Mon Dieu, non?* Ale można się przyzwyczaić.

– Jesteśmy tu po to, żeby trzymać straż – wyjaśniła Anastasia. – Gérard ma słuch królika. Usłyszysz, jeśli ktoś się będzie zbliżał. Przynieśliśmy jedzenie.

Wysypała Sophie na dłoń kilkanaście rodzynek. Zawarty w nich cukier ją rozgrzał. Odwróciła się w stronę Matteo.

– Ja wchodzę pierwsza?

– *Non* – odparł Matteo.

– Proszę cię, bardzo bym chciała.

Wydawało się takie ważne, żeby zrobić to jak należy, ale Sophie nie umiała wyjaśnić, o co jej chodzi. Czowała, że jest bardzo blisko. Na każdą myśl o matce ciarki ją przechodziły.

– Umiesz otworzyć okno od zewnątrz? – spytał Matteo.

– Nie, nie umiem.

– W takim razie ja wchodzę pierwszy.

Matteo zsunął się po rynnie na poziom parapetu. Sophie położyła się na brzuchu i patrzyła. Nie chciała mówić: „Bądź ostrożny!”. Nie chciała wyjść na tego rodzaju osobę. Zawołała:

– Powodzenia! – Po chwili dodała niepotrzebnie: – Będziemy stali na straży!

Matteo wisiał twarzą do ściany. Obejmując obiema rękami rynnę, postawił na parapecie najpierw jedną, potem drugą nogę, przyciśnięty całym ciałem do ceglanej ściany. Jedną ręką puścił rynnę i wczepił się w mur. Sophie zakręciło się w głowie na ten widok. Potem drugie ramię poleciało w bok i Matteo stał wyprostowany na parapecie, balansując na palcach. Powoli zgiął kolana, wpił się palcami w szybę i po chwili wstał. Parapet był szeroki, a mimo to plecy Matteo sterczały nad przepaścią. Twarz miał jednak spokojną jak niedzielne popołudnie.

Zaatakował zamknięcie okna scyzorykiem.

– Otwarte!

– Świetnie! Proszę cię, bądź... – W ostatniej chwili się powstrzymała. – Cudownie!

Wsunął palce między parapet a okno i dźwignął. Sophie usłyszała taki dźwięk, jakby coś się rozdarło. Matteo westchnął.

– Co się stało?

– Nic. Tylko trochę krwi. – Okno się otworzyło. – Zetrzemy, jak będziemy wracali. – Usiadł na parapecie z nogami zwieszonymi do środka. – Dobra! – Poklepał parapet. – Możesz zejść.

Sophie kopiowała jego ruchy. Matteo chwycił ją za stopy i kierował nimi. Zmusiła się do myślenia o wiolonczelach i matkach, a nie o odgłosie czaszki, upadającej na chodnik.

– Matki – szepnęła do siebie. – Na matki warto polować.

Zeskoczyła do środka. W archiwum było chłodno i ciemno. Panowała tam atmosfera tajemnicy i nieufności.

– Wchodzisz?

– *Non*. Nigdy nie wchodzę do środka. – Matteo stuknął piętami o boazerię. – Tak będzie mi dobrze.

Sophie wyjęła z kieszeni świeczkę i zapaliła zapałkę.

– Dobra. – Owinęła dłoń swetrem, żeby воск nie skapywał jej na palce. – Gdzie mam zacząć?
– Spojrzała na napisy na szafkach. – Napisy są po francusku, Matteo!

– A po jakiemu mają być? Odczytuj mi je.

– Tu jest napisane *meurtre*.

– To znaczy morderstwa.

– *Incendiaire*?

– Podpalenia. To raczej nie to.

Przeszła na drugi koniec pokoju.

– *Assurance*?

– Ubezpieczenia. Spróbuj tam.

Sophie pociągnęła za drzwi szafki.

– Zamknięta.

Nie mogła uwierzyć, że o tym zapomniała. Ale na twarzy Matteo malowało się podniecenie.

– Jasne, że zamknięta. Masz szpilkę do włosów?

– Tak.

– Świetnie. Teraz...

– Zaczekaj chwilę. – Sophie pogmerała przy szpilce przytrzymującej z tyłu jej włosy. Palce jej drżały i sprawiały wrażenie grubszych niż normalnie.

– Okej – powiedział Matteo. – *Bon*. Teraz musisz się skupić. Zamek ma w środku *cinq* bolców.

– Sęk?

– *Oui, cinq*. Aha! Pięć. Angielskie liczby są brzydkie. Zamek ma pięć bolców, *oui*? Klucz porusza bolcami i przekręca bębenek. Gdzie jest zapałka, którą zapaliłaś świeczkę? Rzuciłaś na podłogę?

– Nie, mam ją.

– Dobra. Wsuń zapałkę u dołu zamka – tak, dobrze – i przesun w lewo albo w prawo.

Sophie oblizwała palce, żeby je uspokoić, i wsunęła zapałkę w szerszą część dziurki od klucza.

– No to w którą? – szepnęła. – W lewo czy w prawo?

– Poczujesz. To jest jak płynąca woda, więc w jedną stronę jest pod prąd.

Sophie poruszyła zapałką, ale nic nie poczuła.

– Stop! – powiedział Matteo. – Za bardzo się starasz.

Jest to jedna z najbardziej denerwujących uwag, które można usłyszeć. Sophie rzuciła mu rozniewane spojrzenie. Język nadal miała wysunięty między zębami.

– Niezbyt mi pomagasz, Matteo.

– Chodzi mi o to, że robisz to na siłę. Szturchasz zamek jakby to była parówka. Wyobraż sobie, że on jest żywy.

– Nie jest żywy.

– Skąd wiesz? Mówię ci: wyobraż sobie, że jest.

Rada Matteo się sprawdziła. Po prawej zamek stawiał opór, po lewej odrobinę ustąpił. Było to delikatne jak szept i Sophie powtórzyła ruch zapałką kilka razy, żeby mieć absolutną pewność.

– Co teraz? – spytała.

– Przytrzymaj zapałkę w tym miejscu. Nie może się ruszyć ani o milimetr.

– Dobra. – Sophie chwyciła zapałkę lewą ręką. – A teraz?

– Wsuń szpilkę u góry zamka. – Patrzył na nią uważnie, mrużąc w ciemnościach oczy. – Zaczynij z tyłu od piątego bolca. Wsuń szpilkę pod bolec i pchaj do góry, aż kliknie.

– Co to znaczy kliknie?

Sophie miała dłonie mokre od potu. Wytarła je o sweter.

– Nie umiem tego wytłumaczyć. To łatwe. Po prostu...

– Nie mógłbyś tu przyjść i sam tego zrobić?

– *Non*. Ruszaj bolcem, aż zrobi się... twardszy. Poczujesz. Czasami słyhać kliknięcie, ale cichuteńkie, jeśli zamek jest naoliwiony. To jest jak kasznięcie mrówki. – Usta miał trochę otwarte, jakby słuchał muzyki. – Myślę, że ten zamek jest naoliwiony.

– A potem?

– Potem zajmiesz się czwartym bolcem, potem trzecim. A potem...

– Drugim, już rozumiem.

– Czujesz kliknięcie?

Z początku nie czuła. Przesuwała szpilkę z góry na dół, coraz bardziej wściekła. Potem nagle poczuła: zmiana była minimalna, ale boleć sprawiał wrażenie sztywniejszego. Już tak się nie chwiało.

– Myślę, że już! Co teraz?

– Świetnie. Z pierwszym jest najtrudniej. Teraz pociągnij szpilkę do siebie, ale mniej niż o milimetr, i ruszaj następnym bolcem.

Sophie wstrzymała oddech i pociągnęła szpilkę do siebie dosłownie o włos. Wykonywała nią drobne ruchy, żeby umieścić ją pod bolcem. Wypracowała sobie pewien rytm i szło jej łatwiej.

– Trzecia gotowa – oznajmiła. – Druga też. – Ostatni bolec okazał się najtrudniejszy. – Chyba już!

Jeśli oczekiwała gratulacji, to się rozczarowała. Matteo zdawkowo pokiwał głową.

– Dobra – powiedział. – Przytrzymaj szpilkę nieruchomo. Jeśli drżą ci ręce, musisz to powstrzymać. Teraz szarpnij zapalką w lewo.

Zamek otworzył się ze stuknięciem. Sophie przeniosła grubą teczkę do okna i we dwójkę przeglądali dokumenty. Palce Sophie podrygiwały. W półmroku niełatwo było to stwierdzić, ale miała wrażenie, że palce Matteo też podrygują.

– Nie ma tu nic o Queen Mary – stwierdziła rozczarowana. – To są wszystko papiery z ostatnich dwóch lat.

– Nie martw się – uspokajał Matteo. – Mamy czas.

– Ale w tym pokoju są tysiące teczek!

– Mamy czas – powtórzył. – Nie panikuj.

Mówił łagodniejszym głosem niż normalnie.

– Może powinniśmy spróbować poszukać w starszych szafkach? – zasugerowała Sophie. – Tych zielonych. Wyglądają na zardzewiałe. I mniej solidne.

Skinął głową.

– Ale najpierw włóż to z powrotem. Nie mogą wiedzieć, że tu byłaś.

Sophie czytała mu napisy na szafkach. Kieszonkowcy, pożary teatrów, żebracy. Nic obiecującego.

– *Divers?*

– To znaczy „różne”. Mydło, powidło i to trzecie. Spróbuj.

Ten zamek był większy, a bolce łatwiejsze do wycucia. Szpilka Sophie poradziła sobie z nimi w niecałe pięć minut.

W środku leżały grube teczki z datami sprzed dwudziestu lat. Sophie zaczęła gorączkowo szukać odpowiedniego roku. Potem ciarki ją przeszły i zrobiło jej się gorąco.

„*Queen Mary, paquebot anglais*”.

– Co to jest *paquebot*? – spytała.

– Powiedzmy, że duży statek.

Teczka była z marmurkowego kartonu. Sophie podbiegła z nią do okna i podała Matteo swoją

świeczkę. W środku znajdowało się dwadzieścia kilka kartek papieru. Sophie rozdzieliła je na dwie części i połowę dała Matteo.

– Tylko żeby nie wywiało ich przez okno – ostrzegła.

Szybko przerzucała kartki. Zobaczyła wydrukowane listy nazwisk i odręczne listy. Były też zdjęcia kelnerów, którzy bez uśmiechu patrzyli w obiektyw z serwetkami na przedramionach, a na odwrocie widniały ich nazwiska i adresy.

– Ha! – zawołał Matteo. – To chyba jest lista pasażerów.

Sophie wzięła ją od niego. Pod M zobaczyła „Maxim, Charles”, ale pod V nic nie było, żadnej Vivienne Vert. Drżącym palcem przebiegła po spisie załogi, ale z tym samym wynikiem. Zero Vivienne.

– Popatrz! – Matteo podsunął jej pod oczy zdjęcie. – Orkiestra! Ona jest tutaj?

– Dawaj! – Sophie prawie wyrwała mu zdjęcie z rąk. – Tu są sami mężczyźni... – Ciemności w archiwum nagle zrobiły się straszne. – Wiolonczelista to mężczyzna.

– A – zmartwił się Matteo. Mina mu zrzędała. – *Mon Dieu*.

Sophie odwróciła fotografię.

– Tutaj jest napisane, że wiolonczelista to „George Green, Appartement G, rue d’Espoir”.

Był młody i przystojny, spoglądał na świat z taką miną, jakby zaraz miał wybuchnąć śmiechem. Ale jak dla niej równie dobrze mógł być jednooki i spasiony. Zlizwała z nosa łzę. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że płacze.

– To mężczyzna – powtórzyła.

– To dziwne, ale George Green jest bardzo podobny do ciebie – dało się słyszeć jakiś głos.

Sophie o mało nie spadła z parapetu. Z rynnny zwisał jakiś cień.

– Przesuńcie się, chcę usiąść – powiedziała Safi.

Sophie zeskoczyła na podłogę, żeby zrobić na parapecie miejsce dla Safi.

– Ja tego nie widzę. On nie jest do mnie podobny! Uważasz, że jest?

– Ma twoje oczy – odparła Safi. Głos miała głębszy niż Anastasia i bardziej francuski. – Ludzie właściwie nie widzą swoich oczu, więc nic dziwnego, że tego nie zauważyłaś. Ale jestem zaskoczona, że ty tego nie zauważyłaś – skarciła Matteo. – Tyle nam opowiadałaś o oczach Sophie. Myślisz, że to może być jej ojciec?

Matteo poczerwieniał, ale Sophie była zajęta oglądaniem fotografii. Ustawiła ją w stronę księżycy.

– O, Boże – szepnęła. Poczula ciarki na plecach. – On ma na sobie damską koszulę.

– Co? – zdziwił się Matteo.

– Damskie koszule zapinają się z prawej na lewą.

– Skąd to wiesz? – dopytywał Matteo.

– Jak mogłabym nie wiedzieć? Guziki są ważne. To jest damska koszula, Matteo. Dlaczego mężczyzna miałby chodzić w damskiej koszuli?

– Patrzcie na buty – dodała Safi. – Tylko kobiety tak wiążą sznurówki, na krzyż. Widzicie?

Sophie widziała. Widziała również, że spodnie są czarne i wytarte na kolanach.

– I popatrzcie na jego wąsy!

Matteo i Safi popatrzyli.

– Co ci się w nich nie podoba?

– Są za krótkie. Powinny zachodzić na usta. Popatrzcie na wszystkie inne wąsy. Są ogromne. A tutaj widać tylko włoski, jakie mają kobiety, tyle że pomalowane na ciemniejszy kolor.

Safi wzięła od niej fotografię.

– Moim zdaniem to nie jest mężczyzna, tylko bardzo sprytna kobieta – oceniła. Obejrzała zdjęcie, a potem odsunęła Sophie włosy z twarzy. – Podobna do ciebie.



ROZDZIAŁ 27

Sophie nadal się gapiła – na Matteo, na Safi, na fotografię – kiedy dobiegło do nich szurnięcie i łupnięcie, a potem jakiś głos nad ich głowami zawołał:

– Sophie? Jesteś tam na dole?

– Kto to? – spytała Safi.

– Policja! – zawołał Matteo. – Uciekamy!

Sophie złapała ich oboje za nadgarstki.

– Zaczekajcie! Myślę, że to jest...

– Mogłabyś wrócić na górę? – odezwał się ktoś. – Na pewno nie miałaś takich intencji, ale robię przez ciebie w portki, metaforycznie mówiąc. Proszę cię, wróć na górę.

To był Charles.

Cała trójka wdrapała się po rynnie na dach. Matteo starł po drodze krew z parapetu i zamknął za sobą okno. Sophie niosła fotografię w zębach.

Charles opierał się o komin, nieufnie obserwowany przez Gérarda i Anastasię. W ręce miał wiolonczelę Sophie, a pod pachą parasol.

– Ta młoda dama – powiedział, pokazując na Anastasię – najzupełniej słusznie próbowała mnie zabić, dopóki nie wyjaśniłem, że jestem twoim opiekunem. Ten młody dżentelmen przekonał ją, że jestem nieszkodliwy. Myślę, że skłoniła go do takiego wniosku twoja wiolonczela.

– Przyniosłeś wiolonczelę? – Sophie patrzyła na niego osłupiałym wzrokiem. – Po dachach? Jak? I po co?

– Przywiązałem ją sobie do pleców. – Przyjrzał się w zamyśleniu wiolonczeli. – Uznałem, że

może ci się przydać, gdybyś odkryła coś... szarego. – Kucnął i spoglądał Sophie w oczy. – Sądząc z twojej miny, tak się nie stało.

– Mam adres – odparła Sophie. Nadal dygotała od stóp do głów. – To może być ona. Nie wiem.

Matteo wziął od niej adres.

– Rue d’Espoir. To jest rewir *gariers*, blisko kościoła Saint-Vincent-de-Paul. Na wschód od miejsca, w którym byliśmy wczoraj w nocy.

Pozostała trójka pokiwała głowami.

– Skąd wiecie? – spytała Sophie.

Gérard wzruszył ramionami.

– Dacholazy mają mapy w głowach.

– Nie gniewaj się, Sophie – powiedziała Anastasia – ale *gariers* i rue d’Espoir... To jakby wejść do ich przedpokoju i zacząć śpiewać kolędy.

– Nie obchodzi mnie to – odparła Sophie.

– Nie rozumiesz – ciągnęła Anastasia. – Rue d’Espoir to ich główna kwatera. Noszą przy sobie noże.

– Możecie tu zostać, jeśli chcecie. Ja idę.

– Nigdy tam nie chodzimy, Sophie... – tłumaczył Matteo.

– Nie obchodzi mnie to – powtórzyła Sophie.

I rzeczywiście jej to nie obchodziło. W ogóle się nie bała. Może właśnie tak działa miłość. Może miłość nie jest po to, żeby ktoś czuł się wyjątkowy, tylko żeby był odważny. Miłość jest jak woda na pustyni albo jak pudełko zapalek w ciemnym lesie. Miłość i odwaga, pomyślała Sophie: dwa słowa, które oznaczają to samo. Może nawet nie potrzeba, żeby druga osoba była przy tobie. Wystarczy, żeby żyła gdzieś na świecie. Jej matka zawsze w ten sposób funkcjonowała. Była miejscem, w którym Sophie mogła odłożyć swoje serce, przystankiem na odzyskanie tchu. Zestawem gwiazd i map.

Do tej pory Charles uprzejmiem milczał, ale teraz powiedział:

– Jeśli dokądkolwiek się wybieramy, Sophie, to ty i ja powinniśmy zejść na poziom ulicy. Nie chcę przez przypadek rozwalić twojej wiolonczeli o komin.

– Nie, ja zostaję na górze – oświadczyła Sophie.

– Dlaczego? – spytał z napiętą miną Matteo, kopiąc w dach.

– Policja. Jeśli mnie teraz złapią... – Nie dokończyła zdania. – Charles, spotkamy się na miejscu, dobrze?

– Zdecydowanie niedobrze – odparł Charles.

– Proszę cię. – Patrzyła na jego długie nogi, wyraziste rysy twarzy i życzliwe oczy. – Obiecuję, że nie zrobią sobie krzywdy. Powiedziałaś, żeby robić nadzwyczajne rzeczy. To się liczy jako nadzwyczajna rzecz.

Charles westchnął.

– Trudno temu zaprzeczyć. – Próbował unieść brwi, ale tylko lekko drgnęły. – Nawet nie chcę sobie wyobrazić, co by powiedziała panna Eliot, ale niewątpliwie masz rację. – Na jego twarzy pojawił się wymuszony uśmiech. – Do zobaczenia na rue d’Espoir. Jeśli nie będzie cię tam za

godzinę, to... To nie wiem, co zrobię. Bądź ostrożna.

Powiesił sobie wionoczelę z powrotem na plecach i odwrócił się w stronę rynny.

– Nie znasz drogi, Sophie – zauważył Matteo. – Potrzebujesz nas.

– Tak, wiem. Dziękuję.

– *Mais non!* – oburzyła się Anastasia. – Rue d’Espoir...

Zasypała Matteo wściekłą lawiną francuskich słów.

Sophie rozprostowała plecy. Nie zdawała sobie sprawy, jak często się garbi. Z prostymi plecami była wyższa od Anastasii i prawie dorównywała wzrostem Matteo. Uniosła brwi, a Anastasia i Matteo zamilkli.

– Nie musicie ze mną iść – powiedziała. – Ale jeśli idziecie, to już.



ROZDZIAŁ 28

Dwadzieścia minut za ręką plecy Matteo zaczęły się napinać. Szli gęsiego po szerokim dachu szpitala. Gérard zamykał tyły i nucił pod nosem. Poruszali się wolniej i ostrożniej niż normalnie. Sophie szła za Matteo i widziała, jak jeżą mu się włosy na karku.

- Byli tutaj – stwierdził. – Czujesz ten zapach? Tytoń.
- Mnóstwo ludzi pali tytoń – stwierdziła rozsądnie Sophie.
- Ale oni palą kiepy po innych. Podwójnie przepalony tytoń pachnie inaczej.
- Nic nie czuję. Mnie to pachnie jak dym z komina. Ty czujesz, Anasta...

Sophie się odwróciła. Anastasia stała na drugim końcu dachu z poźółkłą z przerażenia twarzą. Była otoczona.

Gariers weszli bezgłośnie po ścianach i po sąsiednim dachu. Byli wysocy i bladzi. Miny mieli aroganckie i nienawistny wzrok. Było ich sześciu. Czterech otoczyło Gérarda. Nikt się nie ruszał.

Matteo cofnął się w stronę Sophie. Pot przykleił mu włosy do czoła. Matteo schylił się i podniósł z dachu kawałek łupku.

- Są wściekli – powiedział. – To był zły pomysł.
- Nikt się nie śmiał, nikt nie szydził. *Gariers* trzymali w rękach kawałki rur.
- Stado wilków, pomyślała Sophie.
- Gdzie Safi? – szepnęła.

Matteo pokręcił głową.

– *Je ne sais pas.* – Popchnął Sophie za komin. – Zostań tutaj. Nie ruszaj się, bo cię później zabiję, *d'accord?* Gdyby przyszła Safi, to ją przytrzymaj, jeśli będziesz musiała. Rozumiesz? Nie pozwól jej walczyć.

Matteo wyjął z kieszeni kość gołębia i złamał na pół. W miejscu pęknięcia była poszarpana

jak szkło. Jedną część dał Sophie.

– Jeśli po ciebie przyjdą, celuj w oczy.

Matteo przestawił się na francuski: krzyknął coś ostrego i agresywnego, a potem rzucił się na *gariers*.

Chmury zasłoniły księżyc i było ciemno, ale oczy Sophie przywykły do tego. Zobaczyła, że Anastasia krzyczy na widok Matteo. Wydawała się wyższa. Jeden z *gariers* odwrócił się i ruszył w stronę Matteo, natomiast Anastasia rzuciła się na drugiego. Walczyła dosyć nieładnie, paznokciami i zębami. Sophie przeraziło to, że prawie nic nie było słychać, tylko stęknienia i sapnięcia. Kiedy Matteo zauważył, że Anastasia ma kłopoty, zdjął z komina daszek i rzucił nim prosto w głowę napastnika.

– Opłaca się wiedzieć – wysapał – które nie są przymocowane. Gérard, pomóż mi!

Sophie zrozumiała, dlaczego mówili o Gérardzie, że jest waleczny. Jego nogi, które na Notre Dame wyglądały tak niezdarnie, okazały się silne i niebezpieczne. Kopnął dwóch *gariers* w twarz, trzymając między palcami stóp ostry kamyk. Ale cztery na jednego to duża przewaga – po chwili Gérard dyszał i trzymał się za lewe ramię.

– Matteo! – zawołał Gérard.

Matteo walczył jak kot. Przyskakiwał i odskakiwał, mierząc kością gołębia i pięściami w oczy, uszy i usta *gariers*. Na dowolnym placu zabaw, przeciwko dowolnemu dziecku, Matteo i Gérard by wygrali, ale *gariers* nie byli dziećmi, tylko brutalnymi chuliganami. Gérard się pośliznął i uderzył tyłem głowy o dach. Jeden z *gariers* zamachnął się, żeby kopnąć go w twarz.

Sophie rozejrzała się za jakąś bronią. Nie miała pojęcia, czy nadaje się do takiej walki, ale po prostu nie mogła dłużej kucać za kominem. Wyskoczyła zza niego i zaatakowała tego *garier* bykiem. Krzyknął i zatoczył się, ale odzyskał równowagę, zanim Sophie zdążyła zetrzeć pył z oczu i odgarnąć włosy z twarzy. Kiedy się do niej zbliżył, kopnęła go kolanem w krocze. *Garier* jęknął i upadł.

Sophie schowała się z powrotem za komin. Zobaczyła, że najwyższy *garier* wyjmuje zza paska nóż, zwykły kuchenny nóż z drewnianą rączką. W Londynie Sophie obierała takim ziemniaki. *Garier* ruszył w stronę Anastasii. Z gardła Sophie wydobyło się coś pomiędzy piskiem a rykiem. Oderwała od dachu kawałek łupka, rzuciła nim w *garier* i trafiła go w dłoń. Zaklął i upuścił nóż. Anastasia natychmiast go podniosła i wrzuciła do komina. *Garier* zaczął biec w stronę Sophie. Ta sapnęła i wypuściła cios pięścią, ale chybiła. *Garier* warknął coś po francusku. Uchyliła się przed jego ciosem.

– On mówi, że jak chcesz boksować, to na poważnie – powiedział ktoś za jej plecami.

Sophie się odwróciła, ale z góry wiedziała, że nie zobaczy za sobą Matteo. Safi położyła jej dłoń na ramieniu i odsunęła ją na bok. Chwilę później jej pięść wylądowała na nosie *garier*. Krew rozpryskała się na dachu.

– Jak nie możesz walnąć go pięścią, to go kopnij – doradziła Safi. Jej głos był łagodny, ale wyraz twarzy już nie. – Kopanie jest mniej osobiste. – Safi najpierw kopnęła *garier* kolanem, a potem huknęła go pięścią w oko. – Musisz to robić na poważnie.

Upadł i zaczął się krztusić. Safi nad nim przeskoczyła.

– Gdzie jest Anastasia? – spytała Safi.

– Tutaj. – Anastasia szła w ich stronę na czworakach. – Uważaj, Sophie! Po lewej!

Pod presją Sophie zawsze miała kłopoty z przypomnieniem sobie, która jest lewa, a która prawa. Na szczęście Anastasia też. Włosy przesłoniły Sophie widok, więc na oślep kopnęła w prawo i poczuła, że jej stopa trafia w czyjś goleń. Zanim *garier* się przewrócił, Safi zdążyła jeszcze uderzyć go łokciem w twarz.

Tylko jeden *garier* nie leżał na dachu. Gérard stał zgarbiony i kaszłał, a Matteo odciągał od niego napastnika. Matteo był biały jak płótno. W każdej ręce trzymał gołębią kość, ale *garier* miał kawałek rury. Matteo wycofywał się w stronę krawędzi dachu.

Safi wyjęła z kieszeni kamień, zmrużyła oczy, rzuciła i trafiła *garier* w skroń. Wrzasnął i obrócił się na pięcie.

Zobaczył trzy dziewczyny, które patrzyły na niego wyzywająco. U ich stóp leżało dwóch nieprzytomnych *garier*.

– Nie zadzieraj z dziewczyną, która szuka matki. Nie zadzieraj z dachołazami – szepnęła Sophie. – Nie lekceważ dzieci. Nie lekceważ dziewczyn.

Garier przeskoczył na następny dach, odwrócił się, splunął i zniknął w ciemnościach.

– Chodźmy – powiedział Matteo do Sophie, stojąc za jej plecami. – Szybko. Nie chcę być tutaj, kiedy odzyskają przytomność.

– Jesteś pewien? Jeśli chcesz, to wracaj. Mogę pójść dalej sama. – W świetle księżyca dziewczyny wyglądały krucho jak porcelanowe lalki. – Nic wam się nie stanie?

Porcelanowe lalki nie wycierają nosa we włosy, tak jak to teraz zrobiła Anastasia. Uśmiechnęła się radośnie.

– Chodźmy, zanim zrobi się jasno. Nic nam nie będzie, Sophie. Jesteśmy dachołazami.



ROZDZIAŁ 29

Na rue d'Espoir było pusto. Charles czekał, przestępując z nogi na nogę, przed kamienicą G. Sophie wychyliła się znad krawędzi dachu i gwizdnęła.

– Zajęło ci to dłużej, niż myślałem! – zawołał.

Potem zobaczył zakrwawioną skroń Gérarda i dłonie Matteo. Nic już więcej nie powiedział, tylko założył sobie wiolonczelę na plecy i wszedł do nich po rynnie.

Cała szóstka siedziała na dachu pod gwiazdami. Noc była piękna, ale za cicha. Ani jednego kota, pijaka czy choćby uniesionego przez wiatr śmiecia. Sophie spojrzała w dół.

– Gdzie są ludzie?

– Była tutaj epidemia cholery – wyjaśnił Gérard. – Trzy razy w ciągu czterech lat.

– To dlatego *gariers* lubią tę ulicę – dodała Anastasia. – Nikt nie chce tu mieszkać. Ludzie myślą, że ta ulica jest przeklęta.

– Ludzie są głupi – żachnął się Matteo. – Włamiemy się do środka?

– Nie, zawołamy ją – odparła Sophie.

Zwinęła dłonie w trąbkę, a potem się zawahała. Co powinna krzyknąć? W końcu zdecydowała się na „*maman*”.

Matteo pokręcił głową.

– Połowa paryżanek zareaguje na „*maman*”.

– Vivienne! – zawołała Sophie. – Spróbujmy wszyscy razem. Na trzy. Raz, dwa, trzy... – Cała szóstka ryknęła: – Vivienne!

Nie było odpowiedzi i Sophie słyszała tylko swoje serce, którego odgłos przypominał blaszany bębenek.

Charles podał jej wiolonczelę.

– Masz, zagraj *Requiem*.

– Dlaczego? Nie mogę, Charles.

Czuła się niezręcznie. Ku jej zaskoczeniu dachowały kiwali głowami.

– Graj – powiedziała Safi.

– Ale dlaczego?

– Muzyka czasem działa jak magia – wyjaśniła Anastasia.

Matteo przytaknął.

– Tylko idiota tego nie wie. Graj, Sophie.

Sophie nigdy w życiu nie była taka zdenerwowana. Serce powędrowało jej do żołądka, a palce zeszywniały i drżały.

– Graj – powiedziała do siebie. – Przypomnij sobie, jak to brzmi w twoich snach.

Pierwsze nuty zagrała niemrawo i Gérard się skrzywił. Charles chyba nic nie zauważył.

– Tak! Szybciej, Sophie!

Sophie splunęła na ziemię i wyprostowała plecy. Przyspieszyła.

– Głośniej! – ponaglał Matteo.

Anastasia zaczęła podskakiwać i wirować.

– Szybciej! – zawołała.

Sophie ich nie słyszała. Namawiała swoje palce, żeby szybciej się poruszały.

– Postarajcie się, proszę was! – zaklinała je cichuteńko.

Kiedy ramię za bardzo ją bolało, żeby dalej ciągnąć smyczkiem, przestała grać. Matteo zaklaskał. Charles gwizdnął. Safi i Anastasia pohukiwały. Gwiazdy przestały wirować.

Ale muzyka grała dalej.



ROZDZIAŁ 30

– Czy to jest echo? – Sophie rozejrzała się za Charlesem. – Czy to jest echo? – Uszy ją zabolowały od własnego głosu. – Nic nie słyszę! – krzyknęła. – Przestało?

Nie przestało, tylko przycichło.

– Nigdy w życiu nie słyszałem takiego echa – odparł Charles. – Echa nie zmieniają tonacji.

W końcu Matteo pomógł im otrząsnąć się z szoku. Szturchnął Sophie w krzyż. O mało nie puściła wiolonczeli.

– Idź! Teraz! *Vite! Mon Dieu*, głucha jesteś? Idź!

– Skąd to leci? – spytała. – Skąd? Szybko!

– Z północnego zachodu – powiedziała Anastasia. Podbiegła do Sophie i chwyciła ją za rękę. – Najpierw kieruj się na zachód.

– W którą stronę jest zachód? – gorączkowała się Sophie. – W lewo czy w prawo?

– W lewo – odparła Safi. – Widzisz ten dach z czarnym kurkiem? Dalej jest łaźnia publiczna. Potem musisz skoczyć.

Sophie odwróciła się i pobiegła. Charles popędził za nią. Dachówki pękały im pod stopami. Kroki pozostałych ucichły za ich plecami.

– Sophie! – zawołał Matteo – Biegniesz za szybko!

Sophie nie uważała, że biegnie za szybko, tylko za wolno, bo muzyka nabrzmiewała tak, jakby zbliżała się do końca. Sophie przeskoczyła przez prawie metrową szparę między łaźnią a następnym budynkiem. Dalej ciągnęła się ulica dwuspadowych dachów. Sophie biegła wzdłuż nich wyprostowana, nie dbając o to, czy ktoś ją zobaczy. Każdy, kto podniósłby wzrok, ujrzałby poruszającą się bezgłośnie ciemną plamę.

– Stój, Sophie!

Sophie gwałtownie się zatrzymała. Od sąsiedniego budynku oddzielała ją przecznica. Następny dach był płaski, ale przerwa dwa razy dłuższa niż ciało Sophie.

Sophie krztusiła się własnym oddechem. Próbowwała przygotować się do skoku, ale jej nogi nie chciały się zgiąć.

– Nie dam rady – szepnęła.

– Dasz radę. – Charles stał tuż za nią. – Przerzucę cię na drugą stronę. Zwiń się w kulkę.

Nie rozumiała.

– Co?

– Kucnij!

Brzmiał jak starszy sierżant. Sophie kucnęła.

– Zrób tak, żebyś wylądowała na stopach i dłoniach, a nie na kolanach – polecił. – Kolana są kruche. Nie na kolanach, rozumiesz?

Skinęła głową.

– Szybko!

Muzyka zanikała.

– Na trzy, Sophie. Raz. Dwa... – Charles uniósł ją i wziął zamach. – Trzy!

Sophie nie wiedziała, że Charles, chudy jak patyk, jest taki silny. Tymczasem rzucił ją bez żadnego problemu. Wiatr dmuchnął jej w twarz, a potem łupnęła o sąsiedni dach i zdarła sobie skórę z dłoni.

Ktoś inny krzyknął: „Trzy!” i usłyszała, że coś zadudniło. Matteo wylądował koło niej.

– To ty! Skąd się tu wzięłeś?

– Pomyślałem, że cię dogonię. Nie chciałem tego przegapić.

Potem skoczył Charles, jego rozciągnięte w szpagat nogi pokazały się na tle latarni ulicznej. Wylądował niezgrabnie na jednym kolanie i starł sobie trochę kurzu z brwi.

– Proponuję, Sophie – powiedział niezadowolonym tonem – żebyś o tym nie wspominała władzom oświatowym. Mam wrażenie, że rzucanie dziećmi z dachu na dach nie jest przez nie dobrze widziane. – Sophie wytrzeszczyła na niego oczy. – Biegnij! – zawołał.

Sophie ruszyła dalej. Jej dyszenie chwilami zagłuszało wszystko inne i wydawało jej się wtedy, że muzyka przestała grać, ale wciąż grała, coraz szybciej, chociaż nie powinno to już być możliwe.

Matteo utykał na lewą nogę i stękał z bólu, ale twarz miał spokojną.

Potem Sophie usłyszała sapanie Matteo. Odwróciła się i zdążyła zobaczyć, że się poślizgnął i stracił równowagę. Charles był bliżej – wyciągnął parasol w stronę Matteo, który zdążył uchwycić za rączkę, zanim zsunął się z dachu.

– Trzymaj... mocno... Jesteś... masywniejszy... niż... wyglądasz... – wystękał Charles, wciągając chłopca na górę.

Posługując się Charlesem jak drabiną, Matteo stanął na nogi. Charles chyba zobaczył błąd na jego twarzy, bo uśmiechnął się mimo wysiłku.

– Anglik bez parasola to mniej niż pół człowieka – powiedział.

Spod stopy Matteo wysliznęła się dachówka i spadła z hukiem na ulicę. Ktoś krzyknął i pokazał do góry.

– Moim zdaniem zalecana jest jak największa prędkość – doradził Charles.

Sophie pobiegła.

Za muzyką trudniej się podążało, niż sądziła, ale teraz słyszała ją wyraźniej. Płynęła gdzieś z bliska i była piękna.

Potem do muzyki dołączył głos, który zaśpiewał po francusku. Gwiazdy nie śpiewają, chyba że w kiepskiej poezji, pomyślała Sophie. Ale gdyby zaśpiewały, zabrzmiałyby to właśnie tak.

Pokonała wierzchołek dwuspadowego dachu i zatrzymała się.

Po drugiej stronie, o jeden skok od jej dachu, siedziała kobieta, plecami do Sophie.

Miała pod pupą odwróconą do góry dnem skrzynkę i przyciskała do siebie ciemny, krągły korpus wiolonczeli.

Mimo ciemności Sophie zobaczyła, że kobieta ma włosy koloru błyskawicy.



ROZDZIAŁ 31

Sophie zadrżało serce.

– Charles! – zawołała. Głos wyszedł z niej popękany i obcy, jakby wygłodzony. – Charles! Czy to ona? Czy to ona?

A co, jeśli to nie ona, pomyślała. Zrobiło jej się niedobrze. A co, jeśli to ona?

– Idź tam, Sophie. – Charles popchnął ją bardzo delikatnie. – Tylko uważaj. Skacz ostrożnie. My zaczekamy tutaj.

Skoczyła. Trzasnęła lewym kolanem o dachówkę i strużka krwi popłynęła jej w stronę kostki. Sophie to zignorowała.

Zdała sobie sprawę, że nie wie, co powiedzieć. W swoich wyobrażeniach nigdy nie wyszła poza ten etap. Ale coś powiedzieć musiała. Co się mówi w takich sytuacjach? „Dobry wieczór”? „Kocham cię”? „Przepiękna pogoda”?

Niepotrzebnie się martwiła. Dzięki latom spędzonym z Charlesem, Sophie była wyprężona jak kurek pogodowy i uśmiechała się jak kot, kiedy szła w stronę pleców wiolonczelistki.

– Przepraszam? – powiedziała Sophie. Muzyka grała dalej. Sophie postawiła jeszcze jeden krok i drżącym palcem dotknęła ramienia kobiety. – Przepraszam – powtórzyła. – Przepraszam? *Bonsoir?* Przepraszam.

Muzyka ustała. Kobieta się odwróciła.

– Dobry wieczór – przywitała się Sophie. Przełknęła ślinę. – Poszukuję... Poszukuję matki. Myślę, że to ciebie szukałam.

Księżyc świecił na nie obie. Oczy, nos i usta kobiety były oczami, nosem i ustami Sophie. Kobieta pachniała żywicą i różami. Jej oczy miały kolor, który spodziewamy się zobaczyć tylko we snach. Ma taką twarz, jakby dwadzieścia kilka razy okrążyła świat, pomyślała Sophie.

Charles obserwował to wszystko z przeciwległego dachu. Zobaczył, że kobieta coś woła,

pochyla się i wytrzeszcza oczy, całuje Sophie w uszy, oczy i czoło, a potem chwyta ją w ramiona i kręci nią w kółko, aż w końcu wyglądały nie jak dwie obce osoby, tylko jak jedno roześmiane ciało.

Charles kucnął pod kominem.

– Siadaj, Matteo. – Poklepał dach obok siebie i wysupłał z kieszeni fajkę. Potrzebował dwóch zapalek, żeby zapalić tytoń – pierwszą zgasiły łzy, które z jakiegoś powodu popłynęły mu po nosie. – Chodź i usiądź. Tu koło mnie. Buchnij sobie z fajki. Nie chcesz? Zostawmy je na chwilę.

Charles wiedział, że muzyka przestała grać, bo wiolonczela leżała na dachu zapomniana, ale wydawało się, że muzyka nadal gdzieś gra, coraz szybciej i szybciej, w podwójnym tempie.